

Sc. 7N

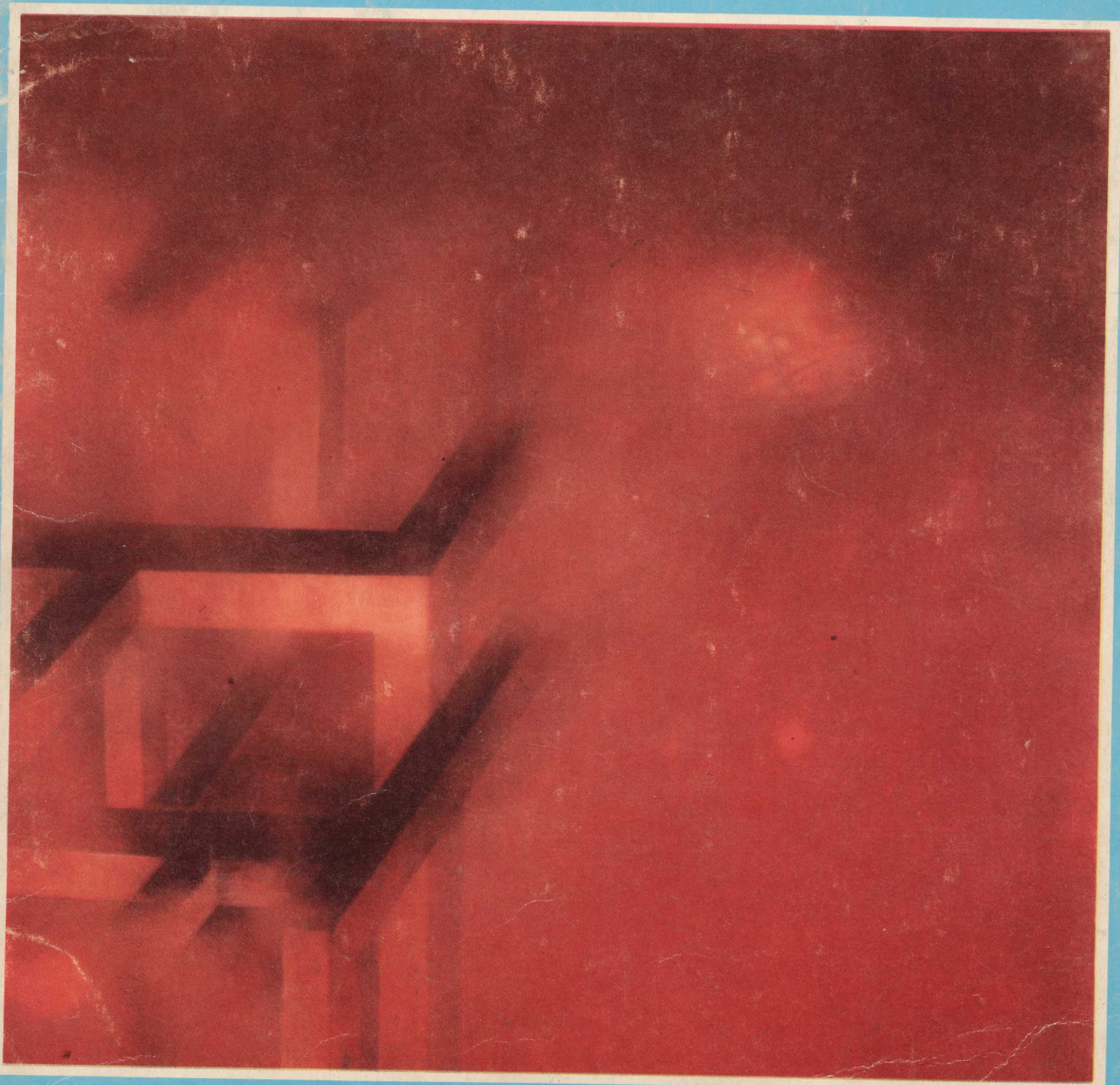
Marsz (nowy tytuł)



morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

Foto. S. Pleśniarowicz
RYSZARD KIEŁTYKA
Grand Prix Ministerstwa Kultury i Sztuki
IX Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego



Egz. obow. 1461/78



9. 1978 (nr 1?)

morze i ziemia

ALMANACH
SPOŁECZNO-KULTURALNY

Zamek Książąt Pomorskich
ul. Korsarzy
70-540 Szczecin

REDAKCJA:

Władysław Daniszewski,
Ryszard Dżaman
Janusz Janowski (Red. graficzny)
Jerzy Jurczyk
Zbigniew Kosiorowski (Red. Naczelny)
Marian Kowalski (Sekretarz)
Kazimierz Kozłowski
Stefan Pleśniarowicz (Fotoreporter)
Lidia Wójcik (Red. techniczny)

RADA PROGRAMOWA:

Janusz Bukowski
Henryk Chmielowski
Doc. dr hab. Bogdan Dopierała
Doc. kpt. ż.w. Eugeniusz Daszkowski
Prof. dr hab. Michał Hempoliński
(Przewodniczący Rady)
Doc. dr Erazm Kuźma
Jerzy Pachłowski
Walerian Pawłowski
Guido Reck
Prof. dr inż. Jerzy Piskorz-Nałęcki
Romuald Sawicki
Prof. dr hab. Aleksander Winnicki

WYDAWCA:

Szczecińskie Towarzystwo Kultury
Zamek Książąt Pomorskich
Krajowa Agencja Wydawnicza
plac Orła Białego 5, 70-562 Szczecin
SZGraf. 1172/I/A 2350+25 A-10/119
Cena zł 20.—

W NUMERZE

<i>Alina Głowacka, Halina Lizińczyk: Ziemia i morze</i>	Franciszka Gila	2
<i>Władysław Daniszewski: Przeciw faktom</i>		4
<i>Marian Kowalski: Stanisława Hebanowskiego obszary zainteresowań</i>		6
<i>Joanna Kulmowa: od apokalipsy kołysanka, ulubieńców bogów paciorek, chrystus i panienska — dudzie graczowi piosenka, śpiewka o nagłym zastępstwie</i>		10
<i>Miroslaw Gruszczyński</i>		12
<i>Zbigniew Kosiorowski: „Pan Tadeusz” a więź społeczna</i>		14
<i>Zdzisław Sośnicki: Publiczność a „Pan Tadeusz”</i>		14
<i>Hanna Orska: Twórcy nieprofesjonalni</i>		15
<i>Tadeusz Piotrowski: Decyzja</i>		17
<i>Henryk Brzozowski: Portret optymistyczny</i>		20
<i>Włodzimierz Kaczmarek: Nie mam tak dużych kolan</i>		20
<i>Eugenia Łazuka: Rozmowa</i>		21
<i>Teresa Tyran: ***</i>		21
<i>Marian Yoph-Zabiński: Pamięci Jana Papugi</i>		22
<i>Jan Papuga: Chłopcy z „Komarów i Posejdonów”</i>		22
<i>Stanisław Wit Wiliński: Morze</i>		23
<i>Michał Hempoliński: Między naturą i kulturą: Homo sapiens in statu nascendi czyli rzecz o kłopotliwym położeniu człowieka (Część I)</i>		24
<i>Aleksander Rajski: — Ziemia jako środowisko życia człowieka</i>		26
<i>Jerzy Jurczyk: Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego</i>		28
<i>Jacek Sawaszkiewicz: List, Odpowiedź, Rękopis</i>		30
<i>Wojciech Bajerowicz: Janaszek z klanu koniarzy</i>		32
<i>Henryk Brzozowski: Jak ptak</i>		34
<i>Zbigniew Kosiorowski: Nie bójcie się być szczęśliwymi</i>		34
<i>Eugenia Łazuka: Nasze ptaki</i>		35
<i>Stanisław Wasyl: Namiar, Rybackie żniwo, Wachta, Z pokładu</i>		37
<i>Eugeniusz A. Daszkowski: Przepustka na morze</i>		38
<i>Marian Yoph-Zabiński: Conrad</i>		39
<i>Andrzej Żychliński: Pomyłka</i>		40
<i>Jerzy Mazurczyk: Od widokówki do mitu</i>		42
<i>Wiesław Andrzejewski: Podwieczorek przy Texell</i>		44
<i>Krzyszyna Łyczewek: Witold Chromiński</i>		46
<i>Dorota Zomolska: Gaude Mater Polonia</i>		47
<i>Wojciech R. Zdrażga: Człowiek za burtą</i>		48
<i>Jan Marek: Reda</i>		49
<i>Stanisław Zajczek: Jeszcze o radości pisania, Bajka zasobna, Wspólnota</i>		53
<i>Stanisław Telega: Dlaczego komandor się nie czerwieni?</i>		54
<i>Tadeusz Klusik: Przeciw stereotypom</i>		55
<i>Jan Z. Piłsiewicz: Warunki pracy na morzu</i>		57
<i>Władysław Daniszewski: Henryk</i>		58
<i>Tadeusz Brzozowski: Analiza</i>		61
<i>Jędrzej Porada: System zintegrowanej nawigacji</i>		62
<i>Kronika Morza i Ziemi</i>		62
<i>Miscellanea</i>		64

ZIEMIA I MORZE

Franciszka Gila

Kazimierz Koźniewski

Pierwsze artykuły Gila, które przeczytałem, to były rzeczy drukowane w „Kuźni Młodych”, kiedy Gil był jeszcze uczniem gimnazjum we Lwowie i zasypywał „Kuźnię Młodych” swoimi kolosalnymi tekstami. On przysyłał artykuły szalenie mądre, bardzo radykalne społecznie, pisał całe traktaty o sprawach gospodarczych, miał znakomite wizje przebudowy Polski, świata — wszystko, co trzeba było. My byliśmy niejako bardziej oswojeni, a Gil wszedł z furją i pasją do tego interesu.

„Kuźnia Młodych” miała różne skrzydła. Było to pismo lewicowo-piłsudczykowskie, ale miało także bardziej sanacyjną czy wręcz prawicowo-katolicką grupę młodzieży. Gil był na bardzo lewym skrzydle, przy czym „Kuźnia Młodych” była dla niego, tak jak i dla nas wszystkich, niesłychanie atrakcyjnym pismem. Bez względu na takie czy inne nastawienie polityczne — było to pismo generalnie biorąc demokratyczne. To nie przypadek, że znaczna część starszej generacji pisarzy polskich przeszła przez „Kuźnię Młodych”. Pismo to stwarzało młodzieży ogromną szansę i Gil z tej szansy skorzystał z tym, że bardzo prędko poszedł do „Sygnałów”.

Uczył to nielegalnie, bo w gimnazjum nie wolno mu było pisywać do „Sygnałów”. Stąd te jego rozliczne pseudonimy. „Sygnały” doskonale wyrażały ideologię Gila. On tam reprezentował związki z uniwersytetami ludowymi, często jeździł do uniwersytetu Sollarza. W „Sygnałach” Gil był najpełniej sobą. Był najbardziej dynamicznym współpracownikiem z całej grupy młodzieży i tam, w „Sygnałach”, w moim przekonaniu, Gil miał swój najlepszy okres pisarski, publicystyczny. Były to lata 1936—39. Można ze mną polemizować, ale w moim przekonaniu tak było.

Stanisław Telega

Ja Gila przed wojną nie znałem, ani nie czytałem jego artykułów, chociaż pochodzę z tej samej Ziemi Rzeszowskiej, tam chodziłem do gimnazjum, tam pracowałem po studiach. Przed wojną miałem pisać razem z Jerzym Ostrowskim książkę o Ziemi Rzeszowskiej pt. „W widłach Wisły i Sanu”. W tych rzeszowskich widłach, znanych z rabanu, strajków i wiecznych buntów chłopskich. Do wydania książki nie doszło, ale razem przeszliśmy te szlaki, więc znałem tę Rzeszowszczyznę od strony gilowskich wędrówek. Kiedy po wojnie przeczytałem jego reporta-

że ze „Żniwa wielkiej reformy”, byłem nimi zachwycony. Gil wspaniale przedstawił sprawę ziemi, sprawę reformy, to na co ta ziemia czekała, ta ziemia bardzo przeludniona, ale też bardzo dojrzała politycznie. Ludzie z rzeszowskiego brali udział w powstaniach polskich, a w czasie okupacji niemal w dziewięćdziesięciu procentach należeli do Ruchu Oporu. On tu przedstawił sprawę styku dwóch światów — świata wielkich latyfundiów i świata chłopów spragnionych ziemi.

Gil zjawił się w Szczecinie już jako człowiek pewnej legendy, legendy przedwojennych „Sygnałów” i jako wielki reporter, który z niezwykłą intuicją i dokładnością przedstawiał reformę tak, jak ona się dokonywała.

Leonard Borkowicz

Nie jestem amatorem tzw. tematu wiejskiego, ale co zwróciło moją uwagę w reportażach Gila? On potrafił przedstawić coś nowego, co się działo na tej polskiej wsi. Kiedy Gil się zjawił w Szczecinie, we mnie powstała myśl, gdzie jak gdzie, ale tu na Pomorzu Zachodnim dzieją się rzeczy naprawdę nowe. Kiedy się poznaliśmy, bardzo szybko znaleźliśmy wspólny język.

Gil mnie zdecydowanie przeceniał. Był autorem pomysłu, żebyśmy razem napisali książkę. Ja się do tego nie nadawałem, ale mu nie odmówiłem, ponieważ ja miałem tego rodzaju możliwości, jakich nie miał Gil. Mogliśmy razem jeździć w teren, mogłem mu dostarczać interesujących materiałów. Do tego właściwie ograniczał się mój udział.

Były dwa zagadnienia, które nas fascynowały — jak ci ludzie, którzy przyjeżdżają, zapuszczają tutaj korzenie i czy zapuszczają, co wcale nie było pewne i drugie — jakie będzie współzycie tych ludzi.

Dlaczego nie doszło do napisania książki? Przede wszystkim dlatego, że ja byłem bardzo zajęty. Telefonów nie było. Spotykaliśmy się coraz rzadziej. Byliśmy w bardzo przyjaznych stosunkach, ale przyznam się, że nie mam czystego sumienia. Powinienem był więcej czasu mu poświęcić.

Feliks Fornalczyk

Był to człowiek otwarty, bardzo lojalny, koleżeń-
ski i — co zwłaszcza było wówczas w wielkiej cenie — miał on swoje zdanie, zdanie krytyczne. Po-

znałem go w roku 1952. Gil był spragniony spotkań. Żył samotniczo. Nie dlatego, że nie znajdował wspólnego języka, tylko, być może, nie znajdował słuchaczy. Był to bowiem z dyspozycji wewnętrznej filozof-perypatetyk. Lubił spotykać się z ludźmi, odświeżać, konfrontować swoje przeświadczenia o świecie. Miał tych koncepcji sporo, wielkie plany pisarskie, jeszcze większe chyba plany reformatorskie. Nie takie, żeby miał obalać ustrój, wręcz przeciwnie.

Jakoś prędko nabrał do mnie zaufania, przychodził do mnie do radia, a także zapraszał mnie do własnego mieszkania, które było reducą, gdzie mało kto mógł się dostać.

Stanisław Telega

Tak jak wszyscy z mojego pokolenia Gil fascynował się morzem. Ja przeszedłem całe wybrzeże od Jeziora Żarnowieckiego do Wielkiej Wsi. Gil pisał w którymś reportażu, że przyjechali pociągiem, wysiedli, pojechali jakimś stateczkiem na Hel i śpiewali „Morze, nasze morze...” i to było wszystko. To była fascynacja pokolenia. A po drugie Gil to był myśliciel swoistego rodzaju, marzyciel i poeta, człowiek wyczulony na kontrasty. Kiedy on tu przyjechał, tu była historia dawna i nowa, ziemia i morze, ziemia zupełnie inna. Wtedy wszyscy byli nią urzeczeni. Koźniewski nazwał Szczecin przyczółkiem wielkości, Gil — Florencją Północy, politycy, m. in. Pruszyński — sztandarowym miastem socjalizmu. To rzeczywiście był innego typu port niż Gdynia i Gila to ogromnie porwało. Np. jego perspektywiczny reportaż „Szczecin-port świat”. To mogło wtedy wyglądać na przesadę. A gdy dzisiaj patrzymy po trzydziestu latach — to jest port świata.

Feliks Fornalczyk

Gil widział przyszłość tego miasta, przyszłość, która u niego przechodziła już w obsesję. Ten Szczecin miał się stać niemal stolicą kraju, drugą po Warszawie, która połączy ten naród chłopów i robotników, co on zawsze podkreślał, z wielkim światem, otworzy mu drogę w świat i przyspieszy jego rozwój cywilizacyjny, co jest tak niezwykle ważne. Na zjawiska współczesnego świata patrzył przez doświadczenia przeszłości. Był jednocześnie wielkim wizjonerem. Porty, stocznie, te linie żeglugowe we wszystkie strony świata, obrót towarów i obrót myśli — on tych rzeczy jakby nie umiał rozdzielać. I prawidłowo tu rozumował, bardzo nowocześnie.

Kazimierz Koźniewski

W moim przekonaniu Gil był typem, bardzo częstym zresztą, publicysty wojującego. Dlatego było mu trudniej, już po latach być typem publicysty pozytywnego, chociaż to było zgodne z jego ideologią, z jego przekonaniem, bo on się opowiedział za skutkami swej własnej rewolucyjności. Ale psychicznie to jemu było lepiej być publicystą opozycji walczącej niż publicystą prorządowym, jeśli tak można powiedzieć. A można.

Okres powojenny był dla Gila okresem dramatycznym. Zaczął znakomicie. Po wojnie zaczął drukować w „Odrodzeniu” ten swój cykl „Żniwo wielkiej reformy”, który właściwie razem z cyklem Marii Jarochowskiej „Ludzie, którym się nie stawia pomników” był początkiem reportażu w Polsce Ludowej. Niewątpliwie dzieło Gila jest na samym początku tej dziedziny literackiej, która potem w ciągu trzydziestu lat odgrywała tak wielką rolę w naszym piśmiennictwie. Wydał to zaraz w broszurze, zrobiono film, to zwróciło powszechną uwagę.

Potem zaczęło się zamykanie Gila w Szczecinie. Ograniczał się do druku w prasie lokalnej i może To był dramat, na który ja z perspektywy Warszawy patrzyłem z dużą rozpaczą. Bo nim umarł, zniknął z rzeczywistości literackiej Polski. Gil jest zmarnowanym pisarzem.

Stanisław Telega

Gil był człowiekiem zbyt wątłej konstrukcji psychicznej i niepokoiło mnie, że nie wytrzyma tego naporu twardej rzeczywistości. Tym bardziej, że chorował na serce i stale o tym sercu mówił. Dyskusje literackie w tym okresie kończyły się jego całymi traktatami na temat kardiologii. Potem miał pewne obsesje i lęki nerwicowe. Pytano mnie w Rzeszowie, czy on popełnił samobójstwo w Szczecinie. Nieprawdą jest, że umarł z głodu, jak to mówił Jan Papuga. Żył tylko w wielkiej nędzy i wielkim opuszczeniu. Tu się zaczęła tragedia niezrozumienia i obojętności. Miał też trudności mieszkaniowe. Bardzo cenił sobie stanowisko Bareckiego, który był w „Głosie Szczecińskim”, bo on go wyratował z pewnej opresji, kiedy dokwaterowano Gilowi jakiegoś zbira, który chciał go wykończyć i robił mu różne przykrości. Władze miejskie nie zdobyły się wówczas na to, żeby mu zostawić to mieszkanie. Gil miał poczucie godności pisarza i poczucie godności człowieka. Nie mógł się z tym pogodzić. Na początku trafił na wojewodę Borkowicza, który go bardzo cenił i chronił przed tym, a potem brakło tego typu ludzi, a ci nieoficjalni, jak ja, nie mieli na to siły. To musiało go złamać i złamało. Umarł w 1960 roku w wieku 43 lat.

Po śmierci Gila, z namowy pewnego pisarza bliskiego pani Gilowej, która mu ufała, oddano wszystkie zapiski, manuskrypty, pamiętnik Gila, listy od Stanisława Lema. Te wszystkie rzeczy dostał człowiek, o którym pisał dziennikarz „Kontrastów”: „musieliśmy wysłuchać jego warunków, tak jak słucha się warunków gangstera, który zagraża zakładnikom”. Gangsterem nazwano mitomana, który się podawał za naukowca wyższych szkół w Szczecinie. Trzeba podać, że jest to pan Czesław Maciąg, który trzyma te materiały, mimo że pani Gilowa po artykułach w „Kontrastach” na temat spuścizny po Gilu, zwróciła się do niego pisemnie z apelem. Do dziś nie zwrócił. Mamy do czynienia z sytuacją, gdzie powinien wkroczyć prokurator.

(Zapis fragmentów audycji radiowej „Ziemia i morze Franciszka Gila” Aliny Głowackiej i Haliny Lizińczyk)

PRZECIWIW FAKTOM

Pochylony na stertę papierzyśk próbuję ze starych programów festiwalu krótkometrażowych filmów morskich, towarzyszących mu biuletynów, notatek z dyskusji, drukowanych referatów i artykułów odczytać horoskop tej imprezy. Nie ma co ukrywać nie jest on optymistyczny.

Coraz mniej jest powodów zainteresowania twórców filmem morskim. Ginie romantyka morza, statki nie niosą przygód, lecz dolary.

Edukacja morska polskiej społeczności, jeśli mierzyć ją ilością kandydatów do szkół morskich, jest fatalna. Wnioskować więc by trzeba, że i zapotrzebowanie na morskie filmy spada z roku na rok. Filmowcom w poprzek drogi do morza kładą się trudności z otrzymaniem zgody zarówno pracodawców jak i armatorów na odbycie morskiej podróży. Jedna podróż i tak na wiele by się nie przydała ponieważ marynarze są nieufni wobec ludzi spoza swego środowiska, a katastrofy morskie zdarzają się rzadko. Na częstsze podróżowanie nie mogą sobie zresztą pozwolić sami twórcy, bo przecież nie utrzymują się z pogłębiania wiedzy o życiu.

Wciąż bez odpowiedzi pozostaje pytanie kto i gdzie ma wyświetlać filmy morskie poza festiwalem oraz okolicznościowymi akcjami. Zainteresowanie telewizji tematem morskim jest odwrotnie proporcjonalne do rozwoju naszej floty, stoczni i portów morskich. A przecież telewizja jest głównym producentem i propagatorem filmu krótkometrażowego.

Już wyobrażam sobie, jak mój przyjaciel Józek, po przeczytaniu tych zdań wykrzywia gębę i rzecze: „że też ty zawsze musisz przesadzić”. Ja przesadzam?

Półtora roku temu zebrało się w Gdyni cztery setki luda. Byli to „wybitni” przedstawiciele polskiej kultury i twórcy z całego kraju, literaci, artyści, artyści plastycy, fotograficy, filmowcy, historycy, publicyści i naukowcy”.

„Sekcja w czasie obrad dokonała bilansu problematyki morskiej w utworach filmowych realizowanych dla kin i telewizji i wyraziła zaniepokojenie nikłą jej obecnością w twórczości”.

Czy to nie pamiętam referatu Bogumiła Drozdowskiego i jego słów:

„Morze — pozbawione legendy i romantyzmu, morze zracjonalizowane, morze zaprzęgnięte w dalekosiężny program wyżywienia ludzkości, morze — przedmiot troski światowej zoologii, morze — wciąż jeszcze szeroka droga taniego transportu. Takie morze, w którym nie ma trytonów — ani syren, ani góry magnetycznej, ani wyspy szczęśliwości marynarzy — takie morze jest otchłanią problemów na dziś i jutro, ale nie jest obszarem, na którym rozwijać się zechcą — fantazja i wyobraźnia. A więc twórczość”.

I udowodnił swoją tezę na podstawie faktów. Odkrył też, że temat morski trafia do kina i telewizji przypadkowo. Owszem wyraził nadzieję, sformułował akt wiary „w możliwość pozyskania dla sprawy morskiej młodych realizatorów” filmowych. Ale to było ostatnie zdanie jego referatu, taki okrzyk w rodzaju „niech żyje”, którego się nie uzasadnia.

Pamiętam, pamiętam jak Edgar Milewski ze stanowczym spokojem wbrew Drozdowskiemu uzasadniał, że wciąż istnieje dramaturgia morza. I przekonał mnie. Ale czyż nie Milewski postulował, aby Kongres oskarżył Film Polski oraz Telewizję Polską o indolencję w przedstawianiu spraw morza?

Zarówno w aspekcie historii, tradycji jak i współczesności.

Z Drozdowskim polemizował na poprzednim Festiwalu Krótkometrażowych Filmów Morskich Janusz Zaremba co do zasobności morza w tematy dla filmu. Tym nie mniej stwierdził „ujmując rzecz najkrócej i najdosadniej — festiwal cierpi na chroniczny brak filmów”.

Na Kongresie Kultury Morskiej profesor Lewicki wzywał filmowców i ich patronów do boju. Wykazywał jak nasi wielcy sąsiedzi przedzierają się do morza, protestował przeciw regionalizowaniu twórczości morskiej na wąskim skrawku wybrzeża. Widział w morzu motyw estetyczny, patriotyczny, kierował kamerę w stronę ludzi „zaczadzonych morzem”. Rolę telewizji widział w „uporze kamery”. A ja się pytam: której kamery? Pierwszej, drugiej czy wszystkich dwóch? Bo mnie wzruszają słowa. Gotów jestem stanąć ramię w ramię z Edgarem Milewskim, popędzić do boju na zew profesora Lewickiego, ale wiem jaką bazą filmową dysponuje telewizja.

Jest nasze chciejstwo i są fakty.

O faktach gospodarczych można mówić z optymizmem. Wydaje się, iż wiemy, że aby liczone się z nami w Europie, musimy się liczyć na Bałtyku; jeśli chcemy liczyć się w świecie, musimy liczyć się na morzach. Ale mówimy o morskich filmach — a nie o rozwoju naszej floty.

Przypomnij sobie Józku, spotkanie na statku „Rolnik” jeden festiwal temu. Kpt. ż. w. Bolesław Romik tak opowiadał wówczas uczestnikom festiwalu (cytuje z Biuletynu):

„Jesteśmy w filmie morskim znacznie opóźnieni. Anglicy kręcą od nas więcej i lepiej. O morzu w Polsce wiedzą coraz mniej. Myślą: woda i tyle.

W takiej Holandii nawet dziennik telewizyjny pozwala sobie na dłuższe kawałki o morzu. I to kawałki czysto informacyjne.

Kiedyś kapitan uratował na „Kopalni Szczygłowice” rozbitek z statku greckiego. Kiedy o piątej rano dobijał do portu w Cherbourgu, witało go na redzie tysiąc motorówek. Po przybyciu do kraju znaleźli list z podziękowaniami od dyrektora, wepchnięty między poranne gazety. No i jeszcze podziękowania od górników, których wzruszyła akcja polskiego statku”.

W tym obszernym cytacie zawarta jest odpowiedź na pytanie o romantyzm pracy na morzu. Jest też opinia ludzi o pracy filmu, telewizji i paru innych.

Wygrzebuję w stercie papierzysk Wiadomości Festiwalowe z 1972 roku. Roman Olbrychski przedstawiał w nich z okazji V Festiwalu prezentację morza kamerami Telewizji Polskiej. Były to rozważania optymistyczne. Dziś nie są.

Janusz Zaremba pisał już w 1976 roku: „W szczecińskim festiwalu ciągle zbyt mały jest udział telewizji — przede wszystkim ośrodków nadmorskich Gdańska i Szczecina”.

Obumarły cykle przedstawianych przez Olbrychskiego programów morskich, przerzedziły się szeregi twórców, nie utrzymała się stała tendencja zwiększenia ilości filmów telewizyjnych. Zwietrzało to, co cieszyło Olbrychskiego. Aktualnie natomiast brzmi jego zdanie:

„Smuci — zbyt często jeszcze spotykana w filmach telewizyjnych powierzchowność obserwacji, nie zawsze dostateczne pogłębienie problemów, niedostatki warsztatowe i ciągle jeszcze — mimo pewnej poprawy — zbyt niska jakość techniczna kopii”.

Słowo daję, wolałbym aby było przeciwnie!

„Prawie wszystko, wszystko na świecie mogłoby służyć za słuszny powód, aby nie pisać wcale” zwierzał się w liście J. Conrad. Powiedzieć by można przy okazji VIII FKMFM, „aby nie organizować festiwalu wcale”.

A mimo wszystko impreza żyje już czternaście lat. Nadprzyrodzone! Z jej twórców pojedyncze egzemplarze zachowały organizatorską aktywność. Rozpłynęły się przez ten czas inne festiwale organizowane w Szczecinie, choć miały gorętszych wielbicieli i liczniejszą publiczność. Co trzyma ten festiwal? Ministrestwa, atrakcyjność celuloidowej taśmy, ambicje organizatorów, słuszność idei, aktualność celów, upór twórców?

Niepojęte, ale ten Festiwal w dodatku się rozwija. Oto w tym roku towarzyszyła mu już nie tylko prezencja kilku filmów zagranicznych, ale wyposażony we własny regulamin I Międzynarodowy Przegląd Filmów Marynistycznych. Przypominam sobie, jako, że przy tym byłem, iż I Festiwal Krótkometrażowych Filmów Morskich w Szczecinie w roku 1964 też nazywał się „Przegląd”. A później się przeobraził.

W swoich listach pisał J. Conrad:

„W sprawie życia i sztuki „jak” ważniejsze jest dla naszego szczęścia niż „dlaczego”.

Złączenie w czasie obydwu imprez filmowych, potęguje kryterium jakości.

Coś tu wygląda na to, że przyjmujemy konradowskie kryteria wartości naszego szczęścia. W każdym razie jest to częściowa realizacja jednego z wniosków Kongresu Kultury Morskiej, który to wniosek brzmiał:

„Poleca się poszerzenie programu Festiwalu Filmów Morskich w Szczecinie o filmy zagraniczne, poszerzenie forum dyskusyjnego oraz zwiększanie ilości publikacji i wydawnictw z Festiwalu”.

Jak będzie z tymi publikacjami to jeszcze zobaczymy. Tak jednak brzmiał pełny tekst piątego wniosku sekcji filmu. Pierwszy w kolejności wniosek brzmiał:

„Niezbędne jest rozszerzenie działalności ośrodków telewizyjnych Szczecina i Gdańska, poprzez wzbogacenie bazy technicznej oraz zagwarantowanie właściwego czasu emisji dla utworów o tematyce morskiej”.

Podobne wnioski zgłaszały inne sekcje. Sekcja Wychowania Morskiego Kongresu postulowała np. (w pkt III) „zwiększenie roli gdańskiego i szczecińskiego ośrodka telewizyjnego w upowszechnianiu kultury morskiej w I programie telewizji centralnej”.

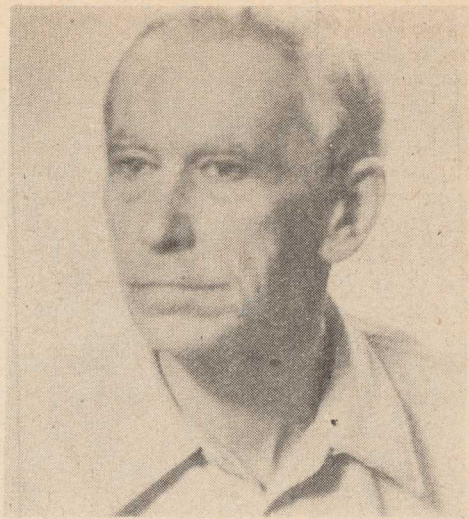
Sekcja publicystyki jest autorem wniosku następującego:

„Kongres apeluje do redaktorów naczelnych prasy, radia, a zwłaszcza telewizji, o obszerniejsze i bardziej systematyczne poruszanie spraw morskich”.

Wnioski te pośrednio wiążą się z Festiwalami Filmów Morskich, zmierzają do nadania rangi także filmom morskim, usunięcia przeszkód filmowcom na drodze ku morzu. Mimo, że nie zostały zrealizowane — w czerwcu 1978 roku odbył się VIII Festiwal Krótkometrażowych Filmów Morskich w Szczecinie. A tyle faktów mogłoby służyć za słuszny powód, aby nie odbył się wcale.



STANISŁAWA HEBANOWSKIEGO OBSZARY ZAINTERESOWAŃ



Jawi się postacią wysmukłą, ruchliwą, spieszącą się. Emanuje z niego biologiczny witalizm. Odrzuca kaptur budrysówki, przekłada z prawej ręki w lewą stilonową torbę gospodarczą, z której wystają gazety, szare pękate koperty. Czy znajdzie chwilę czasu? Ależ oczywiście! I już kilka minut później, w barze kawowym, wsypując do szklanki z kawą czwartą łyżeczkę cukru, sprawia wrażenie, jakby nie miał żadnych obowiązków i może w to deszczowe przedpołudnie bezkarnie wędrować po bliskich i bardzo odległych obszarach literatury i sztuki.

Z dystansu, powstałego przez lata artystycznej przygody i zwykłe koleje losu tworzące ludzką biografię, na każdą przeszłość można patrzeć z pogodnym uśmiechem, z niewygasłymi uczuciami sympatii wspominając przyjaciół, dla nieprzyjaciół mając wielkoduszną wyrozumiałość. O tych ostatnich informuje lakonicznie, widzi ich już tylko jako tych przypisanych do pewnych instytucji, natomiast o ludziach bliskich jego sercu może mówić nieskończenie. Kiedyś byli mu potrzebni jak wędrowcom drogowskazy przydrożne, teraz we wspomnieniach spleca dług wdzięczności pięknymi laurkami człowieka nie tylko życzliwego ludziom, ale także świadomego wartości utrwalonego na papierze słowa. Najpierw Marii Bojarskiej z gimnazjum w Jarocinie koło Poznania. Uczyła go odwagi sięgania po teksty świeże, rozwijające twórczą wyobraźnię. Profesorowi Michałowi Sobieskiemu z Uniwersytetu w Poznaniu za rozbudzanie zainteresowań intelektualnych. Gronu poetów skupionych wokół „Promu” za ośmielenie w stawianiu w 1938 r. pierwszych kroków w literaturze. Z okresu wojny i okupacji zachowuje w pamięci bywalców warszawskiej kawiarni „Znachor”: K. Adwentowicza, J. Andrzejewskiego, St. Dygata, J. Iwaszkiewicza, L. Schillera. W ciągu długich nocy okupacyjnych i dni, w których nie było można opuszczać domu, ze słabą znajomością języka francuskiego sięga po J. Racine’a, ze słownikiem francusko-polskim w ręce przedziera się przez obcojęzyczne frazy, by dotrzeć do pokładów ludzkich namiętności. Którejś nocy los zrozpaczonej kobiety, cierpiącej, nienawidzącej — kobiety Racine’a, — wzruszył go i wówczas zrozumiał, że dotarł do jego literackich wymiarów.

Z szacunku dla tej godziny wzruszenia nie tłumaczył wówczas Racine’a z myślą o wykrzestaniu tekstu, był on dla niego ciągłym sprawdzianem opanowania obcego języka.

Po wojnie punktem wyjściowym znów stał się Jarocin, potem Gniezno, gdzie pracował jako urzędnik referatu kultury. Starzy znajomi nie zapomnieli o nim i wkrótce został ściągnięty do Poznania na stanowisko naczelnika Kultury i Sztuki. Po wielu przetasowaniach w kadrach kierowniczych teatru i opery we wrześniu 1949 r. otrzymuje mianowanie na stanowisko kierownika literackiego w Teatrze Polskim w Poznaniu. Z tego okresu, nie najłatwiejszego dla człowieka wahającego się między wyborem teatru a literatury, w pamięci St. Hebanowskiego zapisali się: W. Kubacki, Z. Kępiński, W. Horzyca. Natomiast z faktów artystycznych współautorstwo z reżyserami kilku dobrze przyjętych inscenizacji.

Po krótkim pobycie (1961—1963) w Zielonej Górze wraca do Poznania, gdzie wraz z Markiem Okopińskim tworzą doskonały tandem artystyczny. Jest to w jego życiu okres wielkiego twórczego wysiłku i licznych sukcesów. Lata 1963—1968 potwierdzają słusność jego związania się z teatrem. Kiedy w 1969 r. obejmuje kierownictwo artystyczne w Gdańsku, w Teatrze na Targu Węglowym, ma już jako człowiek teatru opinię utrwaloną, wielu przyjaciół i liczną rzeszę sympatyków proponowanej przez niego sztuki.

Potykamy się o truzimy na temat związków literatury z tradycją kulturową. Nie możemy przeskoczyć akademickiego sporu o funkcje literatury. St. Hebanowski wyciąga z kieszeni marynarki wycinek z gazety i czyta krótką dziennikarską impresję z pobytu w Lyttelton Theatre, lakoniczną opinię o „Happy Days” i autorze, który ponoć znajduje się w kompletnym rozkładzie intelektualnym. W tej prasowej informacji nie ma nic nadzwyczajnego. Ale jest nazwisko S. Becketta. I to wystarczy, by St. Hebanowskiego poruszyło do głębi. Dla autora „Czekając na Godot” i „Końcówki”, ma tyleż podziwu, co dla autora „Boskiej Komedii”. Obaj — mówi — przeszli na tą samą stronę, by przynieść wieść. S. Beckett zamyka długą listę pisarzy, którzy rozprawiają o istocie ludzkiego istnienia.

Do jakich pokładów świadomości

człowieczej chce dotrzeć St. Hebanowski? Na styku jakich uwikłań losowych pragnie rozwiązań zagadki istnienia?

„Człowiek — przypomina myśl B. Pascala — jest trzcina najsiłabszą w przyrodzie, ale to trzcina myśląca. Dla zgniecenia go nie trzeba, aby się cały świat zbroił...” Zło z dobrem, światło z ciemnością ścierają się w wybranych lekturach St. Hebanowskiego tak teatralnie uchwytnie, jak wniosek płynący z moralitetu. A nie jest tylko moralistą. „W każdej tragedii — mówi w chwili później po wybrzydzeniu się na literaturę o charakterze ludycznym — istnieje wyzwolenie, które sprawia, że człowiek chwytą klucze do nie istniejącego absolutu”. Poszukiwanie tych metaforycznych kluczy jest jego celem nadrzędnym, prowadzenie człowieka po labiryncie zbudowanym nie przez Dedala czy tyrańca Polikratesa, a naturę i historię — ambicją, artysty. Myślę, że to wyjaśnia jego zainteresowanie Sofoklesem i J. Greenem, Eurypidesem i A. Wamplitowem, tłumaczy ich, bo pisarze ci bez względu z jakich pochodzą epok, w jakich działali obszarach kulturowych, umieszczają swych bohaterów w zamkniętych kręgach, poza które usiłują wyjść.

St. Hebanowski — tłumacz egzystuje wyłącznie poprzez scenę teatralną. Z myślą o niej wybiera utwory. „Najważniejsze dla mnie — mówi — jest odnalezienie unerwienia dramatycznego”. Unerwienie jest budowane przez dramatyczne ludzkie losy nie zawsze godne zainteresowania przy pierwszym zetknięciu. Przynajmniej tak mogłoby się zdawać. Podejmuje ryzyko, tłumaczy Eurypidesa i Sofoklesa, spolszczeniami tymi na nowo odkrywając autorów spejtryfikowanych, ożywia ich, czego dowodem są zainteresowania tymi tekstami ze strony teatrów geograficznie odległych od miejsca zamieszkania tłumacza. A zatem Eurypides — bo określa relację między tym, co ludzkie, a tym co boskie. Sofokles — bo ustala miejsce człowieka w świecie pełnym sprzeczności moralnych i politycznych. P. Marivaux — bo zmysłowość ludzka sprzyja dramatycznym niespodziankom. R. del Valle-Inclán — bo wprowadza w mroki mistycyzmu. Crommelynck czy Corneille — bo ukazują wielopłaszczyznowość spraw przedstawianych dotąd w jednym wymiarze, itd. itd. Wątpię czy ta lista może mieć zakończenie. Bo

przecież tłumacz, który kilka lat temu był nazwany odnowicielem literatury francuskiej nie poprzestawał tylko na tym obszarze językowym, sięgnął po teksty greckie, wziął na warsztat dramat pisarza radzieckiego ze skromnym dorobkiem — A. Wampłowa.

Szczególnie godny podkreślenia wydaje się fakt, że człowiek tak bardzo związany z teatrem nie szuka tekstów awangardowych, szokujących nowoczesnymi propozycjami inscenizacyjnymi, ale przyswaja scenie teksty o dużym ładunku intelektualnym, bogate w treści poznawcze. „Bo w teatrze — stwierdza — interesuje mnie przede wszystkim to, co teatr mówi!”.

U swych początków artystycznych poczynił jego teatr zawsze żywił się literaturą. Kierownik literacki w Poznaniu, Zielonej Górze, Gdańsku nigdy nie krył się ze swymi zamiarami tworzenia teatru literackiego, a więc takiego, w którym przed środkami wyrazu typowymi dla teatru pierwszeństwo daje się językowi opowiadającemu o moralnej przygodzie, przygodzie poetyckiej, językowi wyrażającemu styl człowieka, epoki. Konsekwentne wydobywanie w pracy dla teatru stałych dominant, preferowanie materiału literackiego zostało dostrzeżone przez krytykę, która St. Hebanowskiego obdarowała sporą ilością epitetów korzystnie wyróżniając go spośród innych kierowników literackich. W 1973 r. Z. Greń, omawiając sezon teatralny w kraju, St. Hebanowskiego nazwał najciekawszą i najaktywniejszą indywidualnością, doceniając w jego poczynaniach przede wszystkim wyraźną dominację literacką.

St. Hebanowski jako kierownik literacki miał to szczęście, że rozpoczynając w 1949 r. w Teatrze Polskim w Poznaniu niedługo musiał błędzić po mównicach dopiero określającej się ideowo i estetycznie sztuki. W 1951 r. dyrektorem został W. Horzyca, przy którym St. Hebanowski utwierdza się w słuszności swoich artystycznych przekonaniach. W. Horzyca, spadkobierca idei artystycznej po St. Wyspiańskim, zmierzał do urzeczywistnienia koncepcji tworzenia Teatru Ogromnego — teatru przemawiającego poetyckim uogólnieniem, symbolem i metaforą. Tą wizją teatru poetyckiego, schedą neoromantyczną, potrafił zainteresować St. Hebanowskiego, który już wcześniej, pod wpływem L. Schillera, do tych poglądów zbliżał się, a teraz, pracując z aktywnym popularyzatorem Teatru Monumentalnego, znajdował potwierdzenie dla słuszności dokonanego wyboru. „Niestety — ubolewa gdański reżyser po latach — przy następnych dyrektorach nie szedłem wspólną drogą jak z W. Horzycą, ale musiałem wydeptywać obok swojej ścieżki dla Racine'a, Flauberta, P. Choynowskiego”.

Od okresu poznańskiego aż do gdańskiego obecność St. Hebanowskiego w teatrze znaczy się dwoma wartościami: wyszukiwaniem materiałów scenicznych odświeżających repertuar teatralny, stymulowaniem reżyserów. Nic więc dziwnego, że zyskał sobie opinię najbardziej autentycznego kierownika literackiego w Polsce. I choć jego propozycje repertuarowe nie zawsze spotykały się z entuzjastycznym przyjęciem ze strony krytyki, nigdy nie tracił kredytu zaufania, a za przekłady „Wesela Figara”, daleko posunięte adaptacje



ST. WYSPIAŃSKI — Wesele



F. AWABAL — Cmentarzysko samochodów



S. BECKETT — Czekając na Godota

„Bazyliissy Teofanu” T. Micińskiego, za prace nad „Marchołem grubym a sprośnym” J. Kasprowicza, za odkrycie nie granych u nas utworów Corneille’a, Valle-Inclana — zyskiwał sobie najwyższe uznanie. Lecz wciąż była to jeszcze próba instrumentów przed koncertem opóźnionym z wielu powodów, ale przede wszystkim z najważniejszego — nie gotowością mistrza. Dojrzał do samodzielnosci w sporach z Byrskimi, precyzował swój artystyczny program w starciach z M. Okopińskim.

Kiedy objął kierownictwo artystyczne w Teatrze Wybrzeże, jego obecność na scenie zaczęła się zapisywać dodatkowymi wartościami. Przeglądam repertuar, odnotowuję nazwiska reżyserów: M. Okopiński, J. Kreczmar, M. Broniewska, R. Major, L. Hellwig-Górzyński. Zb. Bogdański, K. Meissner, A. Drissi, K. Rościszewski, J. Marso, A. Rozhin, T. Byrski, J. Pożakowska, St. Różewicz, D. Baduszko-wa. Na scenie Teatru Wybrzeże pracowało wielu reżyserów reprezentujących różne doświadczenia artystyczne, staż i upodobania. Jest w tym teatrze miejsce dla reżyserów tej miary co M. Okopiński i J. Kreczmar, jak i dla reżyserów legitymujących się niewielką ilością opracowanych pozycji, często poniżej trzech, dwóch. Przyciąga ich do Gdańska ta atmosfera, jaką stwarza kierownik artystyczny umiający docenić każdy przejaw twórczej pasji; zaprasza do Teatru na Targu Węglowym młodych, bo rozumie, że z tych spotkań mogą być korzyści obojętne.

Na stoliku i biurku w gabinecie St. Hebanowskiego leżą maszynopisy sztuk scenicznych, których nigdy nie wystawi. Niektóre mają dobrą opinię recenzentów, są plonem ogólnopolskich konkursów. „Od materii literackiej zaczyna się praca w teatrze — mówi. — Aby wystawić sztukę, trzeba odczytać jej znaczeniową funkcję, stwierdzić czy jest ona zgodna z własnym światopoglądem, czy odpowiada własnej estetyce. Ponadto z każdą sztuką trzeba się trochę ponosić, by mieć dość czasu na odkrycie w niej tego, co nie jest jednoznaczne.” Obok scenariuszy odrzuconych leżą przyjęte do realizacji, będące na warsztacie reżysera. Biorę egzemplarz reżyserski sztuki aktualnie wystawianej. Oprócz skreśleń nie ma w nich żadnego zapisu, który byłby dowodem pracy nad nim. Oczywiście te nieknięte teksty reżyserskie nie świadczą przeciw reżyserowi, a jedynie mogą wskazywać na specyficzną metodę pracy St. Hebanowskiego. Nie żałuje skreśleń, jeżeli to czyszczenie czyni wyraźniejszą ideę utworu. Reszta sugestii pracy nad utworem powstaje w czasie „obnoszenia się z nim”. Zawiera swą znakomitą pamięć, w której powstają sytuacje sceniczne, propozycje dla członków zespołu aktorskiego.

W 1969 r. w wywiadzie udzielonym E. Piotrowskiej dla poznańskiego „Nurtu” powiedział: „Nigdy np. nie usiłuję narzucać aktorowi swojej postawy i swego myślenia o sprawach, jakie ma w roli przekazać. Staram się i znajduję pełną satysfakcję w ustaleniu z aktorem naszej wspólnej zgodności wobec przekazywanej sprawy.” Po latach dodaje: „Praca z aktorem nie polega na tym, żeby żądać od niego

włączenia się w pewien podjęty schemat, ale żeby z tej wspólnej pracy, sugestii reżysera mógł aktor ujawnić swoje własne propozycje i kontrpropozycje. W drugim etapie ważne jest, nie gubiąc indywidualności aktora, wciągnąć go w całość brzmiącą wielością tonów, aby te wszystkie tony służyły nadrzędemu celowi — interpretacji autora”.

Nie ma swoich aktorów, ma swój zespół, nim tworzy teatr. „Teatr — mówi — odczuwa zarozumiałstwa, uczy skromności. Bez aktora nie istnieje teatr, dobrymi reżyserami są ci, którzy umieją pracować z aktorem różnymi metodami, jak Swinarski, Jarocki.” St. Hebanowski ma dobry wyrównany zespół, nim tworzy teatr. „Teatr — trudniejszych zadań. Jego członkowie zapisują się w historii gdańskiej sceny kreacjami wysoko cenionymi przez publiczność i krytykę, wyróżniani wielu nagrodami.

Szczerze przyznaje, że teatr jako miejsce pracy nie jest krainą wiecznej łagodności. Nawet w rozmowach z członkami zespołu aktorskiego dochodzi do sytuacji napięć, do których rozładowania trzeba czasu i znajomości ludzkiej psychiki. Nie zawsze są to momenty sprzyjające pracy twórczej i na ogół stara się im zapobiegać. Jeszcze częściej niż wśród aktorów do sytuacji zapalnych dochodzi w relacji scenograf — inscenizator. „Moja współpraca ze scenografem — stwierdza — nie przebiega na zasadzie łagodnych rozmów, ale zawsze wolę pracować z człowiekiem, który proponuje mi swoje widzenie, a nie tylko czeka na moją propozycję. Oczywiście propozycje te wypływać muszą z podobnych upodobań, założeń estetycznych, bo tylko wówczas można mówić o zrobieniu spektaklu zgodnego w treści i formie. Odmiennosc widzenia pewnych spraw musi w końcu doprowadzić do wspólnie planowanego celu.”

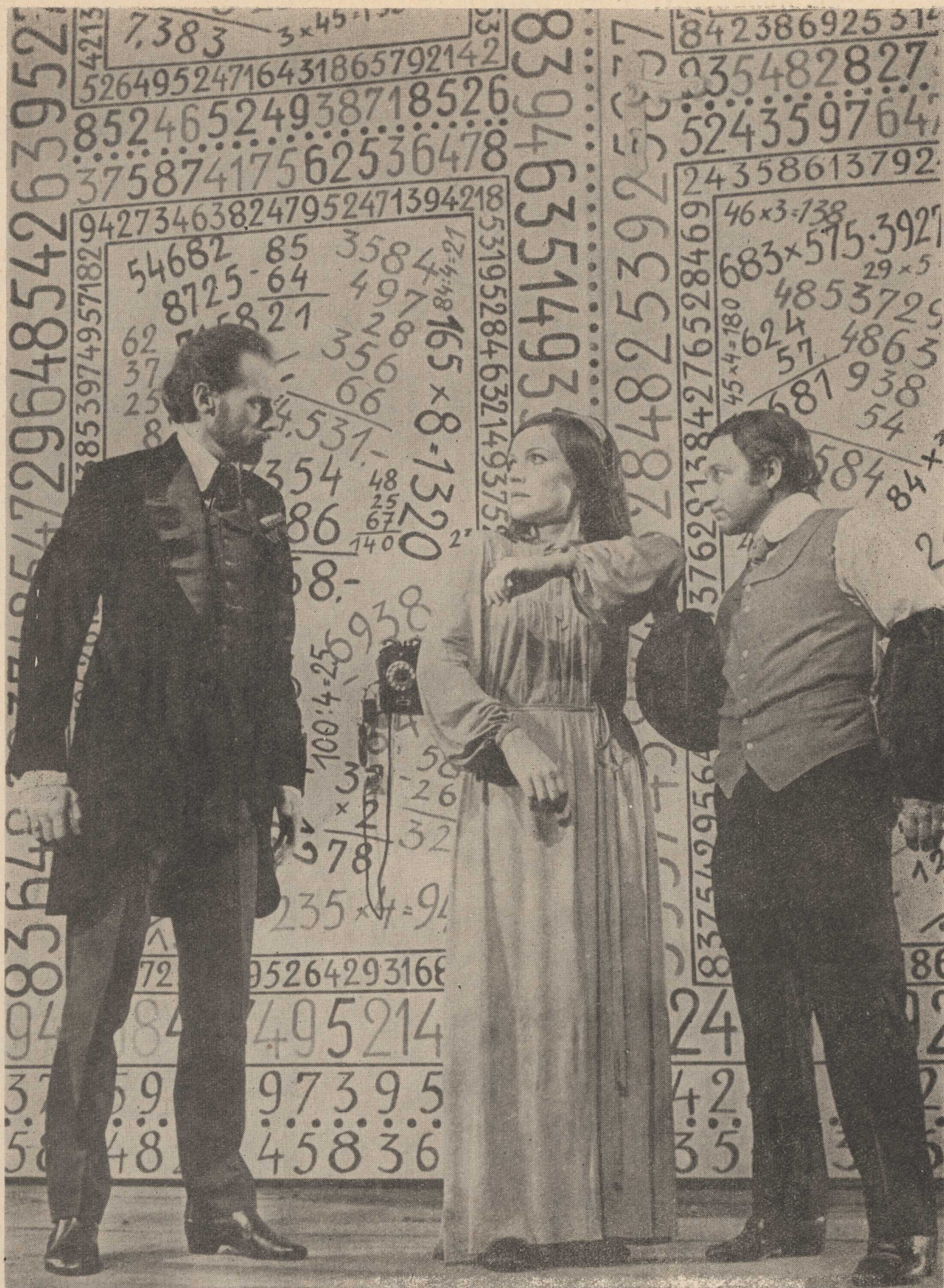
Pisząc wyżej o tym, co St. Hebanowski jako tłumacza i kierownika literackiego zajmuje, wspomniałem również o wielkim obszarze literackim, jaki penetruje, obszarze z roku na rok powiększającym się o nowe nazwiska, tytuły dzieł reprezentujących nawet w sensie dosłownym, geograficznym, różnej szerokości i długości geograficzne, tytuły dzieł z różnych czasów i kultur. Przedmiotem jego zainteresowania były kiedyś sprawy Polaków, obecnie coraz wyraźniej staje się historyczny uniwersalizm; dochodzenie do cząstkowych prawd o świecie było satysfakcją erudyty, teraz zafascynowanie zmianą, ruchem, dynamiką dziejów skłoniło go do ustępstw wobec napierającej autentycznej rzeczywistości bogatszej od najbardziej ogromnego teatru. Na gdańską scenę nie wjechały najnowsze modele motocykli, ale przecież gra się na niej i bez szokowania publiczności z pełnym powodzeniem sztuki starsze od „Ballady” J. Słowackiego; archaicznym kwestiom nie wtórują chóry ładnych dziewcząt, nie przygrywa młodzieżowy zespół beatowy, a przecież wystawiono na niej „Cyganerię warszawską” A. Nowaczyńskiego, „Sen” F. Kruszczyńskiej, „Helenę” Eurypidesa. Obok tych sztuk, w których niejednokrotnie pobrzmiwają dawne echa sprawy Polaków, dopuszcza na scenę sztuki M. Jewreinowa, J. Surdykowskiego,

St. Grochowiaka, T. Różewicza, E. Redlińskiego, B. Drozdowskiego, A. Wampłowa, M. Białoszewskiego, J. S. Sity. I z tego elektrycznego programu tworzy dobry teatr!

St. Hebanowski jako reżyser operuje na scenie środkami świetnie zroszonymi z tradycją teatru i choć tej metody nie narzuca innym, upowszechnia ją, proponuje poprzez swój zespół tym wszystkim, którzy podejmują pracę na gdańskiej scenie. Do tych wypróbowanych środków przede wszystkim należy troska o podanie słowa. Pracuje nad nim na ogół najdłużej, bo już na etapie przyswajania go do warunków teatru. W kolejnym etapie, w pracy z zespołem aktorskim, zmierza do wyważenia właściwej proporcji między ekspresją języka mówionego a milczeniem, opanowania przez aktorów takiej intonacji, która tworzyłaby integralną całość z projekcją inscenizatora. Ideałem tego twórcy wyrosłego z tradycji francuskiego symbolizmu jest stworzenie przez wypowiedź aktora takich sytuacji językowych, które dałyby nowe wyobrażenia o rzeczy, albo jak L. Estang nazywa — odkrywały nowe stosunki pomiędzy rzeczami.

Najwyraźniejszym odbiciem tej postawy są inscenizacje „Wesela” St. Wyspiańskiego czy „Samuela Zborowskiego” J. Słowackiego. Ale tenże reżyser bierze na warsztat także S. Becketta, bo — jak mówi — „w pozornym bełkocie odnaleźć można to, co powinno trafić do świadomości człowieka — sens słowa — komunikatu, przy pomocy którego chcemy się porozumieć.” Lecz ani dla uzyskania symbolicznej wieloznaczności jak w „Wecelu” czy w „Śnie”, ani też dla filozoficznych refleksji jak w „Czekając na Godota” wystawia „Helenę” Eurypidesa! Bez względu na to, jakie artystyczne ambicje, estetyczne i filozoficzne założenia przyswiewcają St. Hebanowskiemu, trzeba przyznać, że w każdej sztuce daje aktorom możliwość stworzenia wspaniałych ról, np. H. Winiarskiej właśnie w „Helenie”, K. Peplowskiej w „Cyganerii warszawskiej”, K. Gordonowi, S. Ignarowi w „Malańkiej Alicji”, St. Dąbrowskiemu w „Czekając na Godota”, H. Biście w „Samuelu Zborowskim”.

W teatrze jego można zobaczyć sztuki kameralne, w których obok słowa mimika, gest odgrywają w środkach wyrazu znaczącą rolę, i sztuki monumentalne ze scenicznym ruchem wymagającym ze strony reżysera dużego wysiłku organizacyjnego. Ze te umiejętności opanował i potrafił wykorzystać przy tworzeniu dzieł scenicznych świadczą takie spektakle, jak: I. Madacha „Ostatnie dni Csaka”, „Sen” F. Kruszczyńskiej. Nie każe aktorom czołgać się, biegać, skakać, wspinać się. Na ogół ruch sceniczny sprowadza się do wyrażania pewnej swoistości, postawy fizycznej i moralnej. Jeśli jest taniec, jak choćby w „Weselu” — to wynika on z wierności wobec tekstu, a nie z nadpotencji pomysłowości reżyserskiej. Jeśli dąży do efektów, jak w „Samuelu Zborowskim”, to nie dla nich samych, lecz dla złożonych spraw kulturowych, którym chciał dać wyraz. Stanisław Hebanowski jest artystą skromnym, jak skromny jest ten, co poznał wielkie obszary ludzkiej działalności.



F. KRUSZEWSKA — Sen

Zdjęcia. T Link

od apokalipsy kołysanka

Uśnijże uśnijże mi
to nic
to bajka jeszcze:
jadą jadą z nieba do ziemi
głód ogień wojna powietrze.

To nic
to jeździec pierwszy
nad tobą się pochyli:
śmiej się śmiej głód zęby szczyrzy
a ty go brukwią zmylisz.

Cichajno nie trwóż się niczym —
drugi jeździec powściągnie lejce:
słuchaj słuchaj
to ogień ryczy
ty ogrzej przy nim rękę.

To nic
to trzeci w biegu
podniesie okute dłonie.
Ciesz się ciesz wojny się nie bój
ty bądź po zwycięskiej stronie.

Nie płacz nie że ta zjawa blada —
co tam zaraza morowa:
inni mają jak muchy padać
ty się w mojej miłości schowaj.

Dziecko dziecko
teraz nie patrz na nic
nie ukryję ciebie w myślach ani słowie:
przejechali czterej w bajkę wpisani
idzie piąty —
człowiek.

ulubieńców bogów paciorek

Umarłszy młodo
spoglądamy ku ziemi przez dziury w niebycie.

Widzimy niemiłych bogom
już poźółkłych szczyrbatych już łysych
skazanych
na przeżycie.

My
w uśmiechach i pobożnych westchnieniach
litościwie modlimy się za nich
zazdroszcząc
wściekle zazdroszcząc z głębi nieistnienia
tym
co niepokochani.

JOANNA

KULMOWA

chrystus i panienka – dudzie graczowi piosenka

Stoi Chrystus nadobny
ani Bogu podobny
ani człeku.
Przed nim panna jak dziecko —
nie osłoni się kiecką
od grzechu.

Ani wie że jej wina
ani wie że nierządna
tylko smutno jej jejku
że ten biedny człeczyna
tak spogląda.

A przesmutny bo Żyd
a milczący że wstyd
nie wiedzieć czego.
Może niebo opowie
bo mu świta nad głową
aż narodu się zbiegło
mrowie.

Ciała nie chciał — zapłacił.
Setkę za nic przetracił
jeszcze się modli.

Aż te ludzie pogłupieli
że też mogą być zbawieni
bo ułomni
bo podli.

śpiewka o nagłym zastępstwie

W porę dla nas poumierali
byśmy nimi gęby sobie wycierali.

Dobrze śmierć obrali bardzo prostą
żeby w górne durne słowa porosnąć.

Na czas ziemi się zdołali dosłużyć
żeby laurem wzejść na naszych czołach tchórzy

Dla nich krzyk gardzielą piachem zaciśniętą
dla nas pieśni świeczki dla nas święto.

Aby kwitli w hasłach naszych i wieńcach
nam
piewcom z nagłego zastępstwa.

MIROSŁAW GRUSZCZYŃSKI

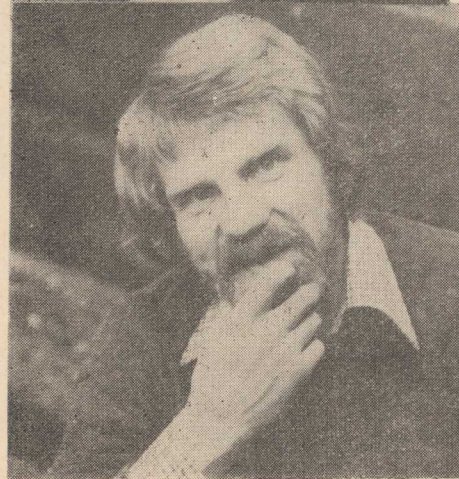
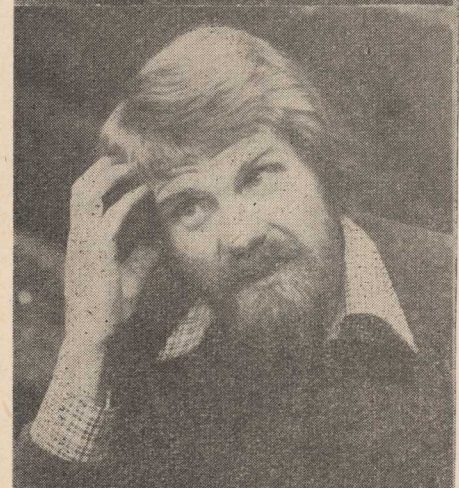
Nie miałem jeszcze osiemnastu lat, kiedy wkraczałem w progi warszawskiej szkoły teatralnej. Wydawało mi się wówczas, że przechodzę bramy raj. I w dużej mierze tak było. Zetknięcie się z Wielkimi polskiego teatru dało mi wtedy wiele niepowtarzalnych emocji. Profesorowie: Ryszarda Hanin, Zofia Małynicz, Zofia Mrozowska, Janusz Warnecki, Jan Kreczmar, Kazimierz Rudzki, Aleksander Bardini, Władysław Krasnowiecki, Ludwik Sempoliński i inni — wydawali mi się wówczas mityczni, niedostępni. Okazało się, że są to przede wszystkim ludzie dużego formatu. Wielcy aktorzy, a przy tym pedagodzy o ogromnej mądrości, tolerancji, wrażliwości. Zatraskani o nas „żółtodziobów”, zatraskani nie tylko o nasz zawodowy los, ale również przejęci naszymi kłopotami. To właśnie oni rozbudzili w nas pasję zawodową, miłość do teatru, wpajali nam podstawowe zasady etyki zawodowej, uczyli tego wszystkiego, co stanowi podstawy uprawiania trudnego, pełnego wyrzeczeń i poświęceń zawodu. To wreszcie oni starali się łączyć w naszej edukacji rzemiosło z postannictwem zawodu, pogłębiając niejako sens aktorskiego fachu.

Pojęcie sukcesu na początku tej drogi kojarzyło mi się przede wszystkim z powszechną popularnością mile drażniącą próżność. Dziś inaczej rozumiem i czuję sukces. Przynajmniej dla mnie sukcesem jest satysfakcja publiczności z mojej pracy, satysfakcja z roli zbudowanej na bazie świadomości, umiejętności i tego, co czasem się zdarza, a co jest irracjonalne, co stanowi o pewnej tajemnicy. Sukces — to radość pracy. Sukces — to radość widowni z tego, co robię.

Zagrałem już wiele ról. Te pierwsze oparte na intuicji, jak np. Szczęsny w „Horsztyńskim”, Don Rodrygo w „Cydzie” czy Franek w telewizyjnej „Niespodziance” z R. Hanin i T. Fijewskim. Jednak odczuwałem coraz głębszy niepokój z powodu wątej bazy do uprawiania zawodu. Do tego zaczęła dochodzić lekka zadyszka z powodu mnogości zajęć: teatr, tv, film, radio. Wszystko to z rozpędu, poza świadomością. Ta sytuacja kazała mi opuścić stolicę, by mieć wreszcie czas na refleksje, na chwile zastanowienia się. Przyjazd do Szczecina pozwolił mi wyjść poza krąg ego, poza teatr. Zaczęłem postrzegać wiele bolesnych zjawisk w naszym życiu społecznym, zacząłem dojrzywać do życia społecznego jako człowiek, obywatel. Znalazłem czas na to, by uświadomić sobie sens tego, co słyszałem kiedyś od mojego idola, Zbyszka Cybulskiego, że „sztuka musi wachać swój czas”.

Z fascynacją podglądałem warsztat tzw. amerykańskiej szkoły aktorstwa. Zaczęłem szukać w sobie środków, żeby być, a nie pokazywać.

I tak zaczęły się pojawiać role budowane z większą świadomością: Czeszkow w „Człowieku znikąd”, Prokurator Robert Scurvy w „Szewcach”, rola główna w „Macbecie” Ionesco, Stanisław w tv filmie „Tylko Beatrycze”, Iwan Kołomyjcew w „Ostatnich” i Konrad w „Wyzwoleniu”.



Paralem się również formą najbardziej osobistej aktorskiej wypowiedzi — monodramem. Przysły sukcesy w powszechnym zrozumieniu tego słowa. Nagrody aktorskie na festiwalach, wygrywane plebiscyty publiczności, nagroda wojewody szczecińskiego — to wszystko cieszy — dopinguje, nie jest jednak celem.

Aktorstwo — to niewątpliwie eksponowany zawód, wyróżniany i doceniany przez społeczeństwo. Sądzę, że do tej pozycji walczy przyczynia się polityka państwa wobec teatru, rozumienie jego wagi i funkcji. Niewątpliwym mecenasem wyrażający się nie tylko w sferze materialnej. Wydaje mi się, że ta wyjątkowo wysoka pozycja w hierarchii zawodów zobowiązuje. Zobowiązuje nas aktorów do najwyższych lotów, do ciągłego podnoszenia poprzeczki. Do dawania przedstawień na wysokim poziomie artystycznym, formalnie ciekawych ale przede wszystkim treściowo głębokich.

Bazą podstawową pracy aktorskiej jest niewątpliwie literatura. Budzą się jednak we mnie zawsze pewne wątpliwości ilekroć stajemy się niewolnikami literatury, słowa pisanego, przekazywanymi cudzej myśli, wypowiedzianymi słowami, kiedy to nie korzystamy z potencji własnej myśli, własnego uczucia, nie budujemy postaci z nas na bazie własnych doświadczeń, pracy, wyobraźni. Żyjęm się, ilekroć się na tym łapię, gdy jedynie w spektaklu słowa odgrywają pierwszoplanową rolę i są jedynym odaktorskim komunikatem. Należę do tych aktorów, którzy poddają się w pełni scenicznej iluzji, fikcji scenicznego życia, określonej sytuacji dramatycznej postaci. Stąd maksymalna koncentracja na tym, co dzieje się przed umowną czwartą ścianą. Neguję umizgi, co często się zdarza, w stronę widowni, chęć przypodobania się publiczności za wszelką cenę. Takie zabiegi — to zły teatr, zły znak.

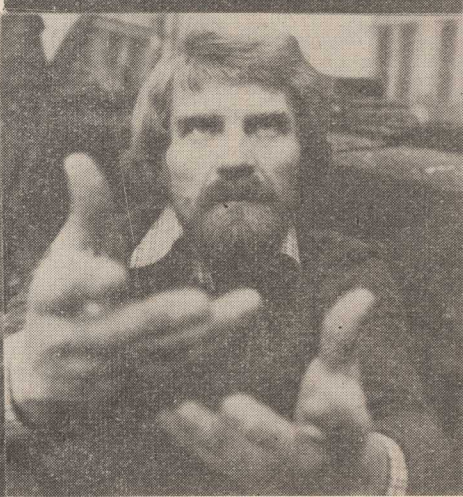
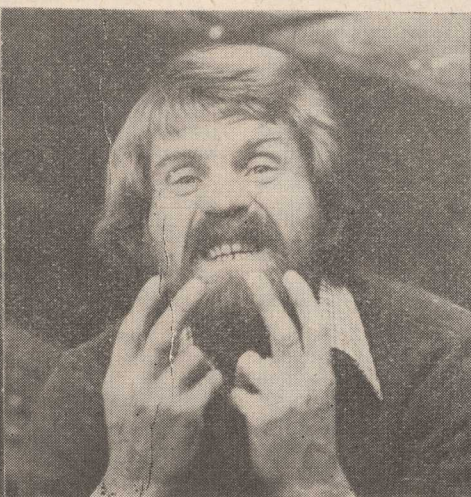
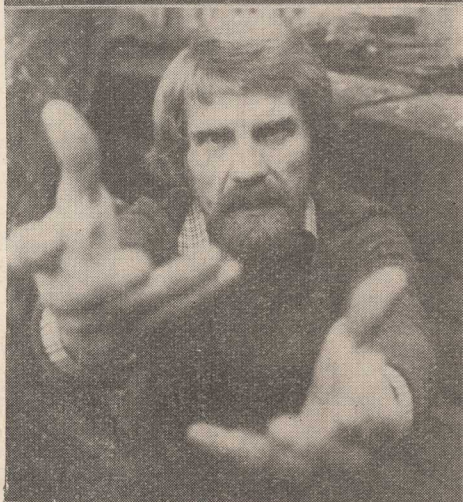
Zdegustowanie publiczności najczęściej polega na tym, że teatr często serwuje nie najlepszą sztukę, na domiar złego w mało atrakcyjnej realizacji. Bywa niestety i tak, że teatry biorą na warsztat wybitną literaturę i przedstawiają ją pod każdym względem tandetnie. Bywa jeszcze smutniej, kiedy to młody, gniewny, obrazoburczy reżyser chce wzmocnić nam swoje wybitne dzieło przy pomocy wielu tajemnych znaków, symboli (tylko dla niego czytelnych), że wie więcej, niż my, niż sam Słowacki, Krasiński czy Wyspiański. Jest to według mnie najbardziej szkodliwa odmiana tandety teatralnej. Wielu odbiorców a także część krytyki teatralnej, daje się na to nabrać. Rezultat taki, że widz, po obejrzeniu raz i drugi tego rodzaju propozycji więcej do teatru nie przyjdzie.

Polityka teatralna w naszym państwie jest niezwykle mądra i elastyczna. To w Polsce powstał teatr Laboratorium Grotowskiego, plastyczny teatr Szajny, Kantora, Teatr Pantomimy Tomaszewskiego, Teatr Tańca Drzewieckiego. Dziesiątki scen nurtuje problem: dla kogo robić teatr? Widz ma prawo i duże możliwości wyboru. Może z powodzeniem wybrać teatr Kantora jak i pójść do operetki. I powinniśmy to uszanować. Uszanować i rozumieć jego potrzeby. Błędem byłoby wrzucanie wszystkich do jednego tygla i ewentualne spędzanie odbiorcy do właśnie tego a nie innego teatru. Nie teatr powinien wybierać sobie widza a odwrotnie.

Szanse współczesnego teatru widzę w rzetelności rzemiosła artystów teatru, reżyserów, aktorów, w artystycznym kształcie widowisk, które wzruszałyby, bawiły, skłaniały do refleksji.

Uprawiając aktorstwo zawsze istnieje niebezpieczeństwo profesjonalnej deformacji, czy — mówiąc brutalniej — skabotynienia.

Myślę, że aktor powinien za wszelką cenę chronić swojej tożsamości, by nie składać się wyłącznie z cytatów granych ról. Musi pozostać sobie wierny. Trudno, żeby choć w części temu sprostać, nie mniej musi te wysiłki czynić. Aktor powinien być bliski życia, na co dzień musi obcować z literaturą klasyczną i współczesną, światową i rodzimą. O ile mu na to czas pozwoli — winien zaglądać do filharmonii, brać udział w wernisażach, aktywnie uczestniczyć w życiu politycznym i społecznym.



POLEMIKI

ZBIGNIEW KOSIOROWSKI

„PAN TADEUSZ” a więź społeczna

„Sztuka interweniuje, jako odrębny świat w układ społeczny, zmienia parametry tego układu, tworzy w nim nowe odniesienia i struktury, może więc stanowić motyw wzmacniający wspólnotę. Ponadto sztuka kształtuje styl życia wspiera lub stwarza nowe formy więzi społecznej”.

Antonio Banfi

Ludzie wstali i bili brawo. Wiele osób miało łzy w oczach. Długie owacje. Sukces! Artyści schodzą ze sceny. Zmęczeni, ale szczęśliwi. Rozemocjonowani widzowie rozchodzą się do domów. Krytyk teatralny siada przy maszynie do pisania. Czas na recenzję.

Tekst? Ano, tekst wieszca. Adaptacja — nie powiem odkrywca, interesująca, choć można dyskutować, czy wierna oryginałowi. Reżyseria? Owszem, kilka pomysłów, a ogólnie dobra robota, niezłe rzemiosło. Scenografia taka sobie, cukierkowa, z gatunku „slicznych”. Wśród aktorów dwie, trzy kreacje, poza tym ogólna poprawność i trochę przeciętności. Muzyka miejscami nieadekwatna i już ją gdzieś słyszałem. Co jest u licha? Sukces? Jeszcze raz od początku. Potraktujemy rzecz strukturalnie. Jak części tej struktury tłumaczą się wzajemnie, zezabijają? Efekt tego rozumowania podobny do poprzedniego: wątpliwość! Wątpliwość o czym? Może więc jeszcze raz.

„Widzowie wstali z miejsc. Nie milknące brawa”. Dlaczego tyle osób miało zaczerwienione oczy? Kiedy zaczęli wyciągać chusteczki, w którym momencie przedstawienia. Ale, czy to naprawdę ważne? Ot, przypadkowa publika, kochająca melodramaty. Cikliwa i poddająca się emocjom. Więcej logiki, a logicznie rzecz biorąc — przeciętne przedstawienie, hołdujące przeciętnym gustom publiczności, nastawione na wzruszenie gierki reżysera. Te ulańskie czaka, lance, malowani chłopcy, polonez. Dlaczego jednak widzowie tak długo bili brawo i jakiś taki szczególny nastrój na sali i w Szczecinie, i w Opolu, Katowicach oraz w Toruniu. Coś tam krążyło między ludźmi, coś nieokreślonego... Metafizyka. Precz irracjonalne podteksty. Rzecz jest niedobra! Aha, jeszcze dwa zdania o czym ta sztuka jest. Diabli nadali pytanie. No, o naszej historii, o rodzeniu się świadomości narodowej. To chyba i w końcu o kształtowaniu się narodu. Skreśliśmy, że rzecz jest niedobra. Sztuka o narodzie nie może być...

Co bardziej kształtuje świadomość społeczną — sztuka, czy nauka? Sztuka, czy historia? Jak się mają obiegowe przekonania do opinii recenzentów? Czyje przekonania o wartości szczecińskiego „Pana Tadeusza” funkcjonują obecnie w społeczeństwie?

I jeszcze jedno pytanie. Kiedy mogą się zdarzyć okoliczności, kiedy się zdarzają, że ani społeczeństwo nie odnajduje siebie w sztuce, ani sztuka nie ma istotnego wpływu na społeczeństwo? Jedno pewne w tej sprawie, że egzemplifikacją problemu i tych wątpliwości, nie może być szczecińskie przedstawienie „Pana Tadeusza”, choć sądząc z recenzji w prasie ogólnopolskiej — przedstawienie tuzinkowe, przeciętne. A kiepskie sztuki nie powinny mieć „istotnego wpływu na społeczeństwo”. Jeśli jednak widz z taką energią odnajduje siebie w „Panu Tadeuszu”, jeśli tak emocjonalnie odbiera posłanie wieszca, reżysera i aktorów, to znaczy, że przedstawienie musi mieć niepodważalne wartości i to niekoniecznie tylko z punktu widzenia socjologii odbioru dzieła.

Na próbie generalnej, podczas premiery i kolejnych przedstawień, widziałem szczególnie reagującą widownię. Ludzie uśmiechali się z pobłażaniem w czasie kłótni Rejenta z Asesorem, z gorzką ironią podczas pijatyki w karczmie, z sarkazmem, gdy doszło w zamku do zatargu między Hrabia, a gośćmi Sędziego. Wybuchali śmiechem, śledząc gorzyc ostatniej szansy panny Telimeny. Milczeli w czasie powiadzi Robaka i płakali (nie tylko ja to widziałem) w chwilach naprawdę wznieśliwych, wtedy gdy to, co polskie, patriotyczne, staowało się za sprawą Mickiewicza i twórców przedstawienia bardzo nam bliskie. I czuło się jakąś jedność, solidarność. Byliśmy razem w tych chwilach emocji, kiedy zacierają się konwencje teatru i najważniejsza stawała się sprawa narodu, ojczyzny.

Patetycznie to brzmi. Zwykle unikam patosu i może dlatego niektórzy wytykają mi, że bardziej intryguje mnie forma, że nie daję się ponieść emocjom, czyli poddać tak zwanemu przeżywaniu dzieła sztuki. Jeśli więc to, co powiedziałem, ociera się o patos, to potrafisz również wytłumaczyć, w jaki sposób forma, czyli to, co zewnętrzne: scenografia, muzyka, kostiumy, gra aktorów i prowadzenie sztuki przez reżysera, powoduje, że „Pan Tadeusz” jest wydarzeniem wychodzącym poza czysto filologiczne interpretacje. Stąd to właśnie moje odejście w stronę socjologii odbioru.

Naród i kultura, to dwie strony tej samej ludzkiej rzeczywistości; naród jest bowiem narodem dzięki kulturze (szeroko pojętej), jaką wytworzył. Stąd o krok do stwierdzenia, że przez naród pojmujemy wspólnotę kultury. Profesor Józef Chałasiński w bardzo interesującej książce „Kultura i naród”, rozważając o sztuce jako elemencie kultury historycznej, użył takiego sformułowania: „Teatralno-widowiskowy obrzęd jest okazją do zbiorowego przeżycia grupy jako całości, a jednocześnie daje jednostce możliwość publicznego wystąpienia w pełni znaczenia związanego z jej rolą społeczną”. Przypomniałem sobie to zdanie podczas premierowego przedstawienia „Pana Tadeusza”. Historia literatury dostarcza nam wielu przykładów utworów, które odtwarzane zbiorowo lub też przeżywane jednostkowo, przedstawiają namiastkę obrzędu, służąc jednocześnie się zbiorowości przez zbiorowe doświadczanie wzruszeń związanych z ważnymi momentami z dziejów grupy, jako całości. I właśnie „Pan Tadeusz” na scenie Teatru Polskiego w Szczecinie pełnił momentami podobną funkcję.

Choć rzecz nie w tym, byśmy się utożsamiali z Soplicami, czy

Horeszkami — mamy wszak stosunek krytyczny do sarmatyzmu, (wiemy, jak przysłużył się do upadku naszej państwowości w XVIII i XIX wieku) — to jednak ta zaściankowa szlachta ze swym czasem nawet absurdalnym poczuciem godności i honoru, ze swym przywiązaniem do tradycji i tego co polskie, jest nam bliska.

Na koniec krótko o „Ostatnim zajeździe na Litwie”, jako strukturze teatralnej. Ciekawie rozpisane dialogi, wplecione w statyczne obrazy — to zasługa profesora Jerzego Adamskiego, autora adaptacji. Reżyser Janusz Bukowski zaproponował zaś współczesne odczytanie poematu, wprowadzając narratorów, jako osoby łączące świat realny „teraz i dziś” z epoką Księstwa Warszawskiego. Narratorzy komentują, zapowiadają, bawią się przypominając nam o konwencji teatralnej poprzez gest, ironizowanie z tego, co za chwilę stanie się na scenie i w czym wezmą udział. Ten sposób prowadzenia nie drażni. Przy tym kilka świetnych ról, że wspomnę moim zdaniem najlepsze — Bogdana Janiszewskiego, jako Gerwazego i Ewy Wawrzoń — Telimeny. Dodatkowych walorów przędaje spektaklowi muzyka Andrzeja Kurylewicza, która momentami jest wprawdzie nieadekwatna do nastroju, ale za to tam, gdzie trzeba, wspaniale go potęguje. Wszystko to razem sprawia, że treści, które od wielu pokoleń niesie dzieło Adama Mickiewicza mogą być przez nas przeżywane, że jednoczą nas w chwilach wzruszenia a jest ich w szczecińskim „Panu Tadeuszu” kilka. Szkoda, że sztuka się szybko kończy i wychodzimy z teatru, by już na ulicy zapomnieć o tych wspólnych przeżyciach, o tych wiecach, które powinny nas jednoczyć i w codzienności. W tej codzienności, gdy tak często stajemy się sobie obcy, jakbyśmy faktycznie nie mieli wspólnych celów. Ale to już nie tylko sprawa sztuki i jej powinności wobec...

ZDZISŁAW SOŃNICKI

Publiczność a „PAN TADEUSZ”

Jeżeli uznać za fenomen fakt, że przedstawienie teatralne w takim mieście, jak Szczecin grane jest nieprzerwanie przez szereg miesięcy przy kompletnie wypełnionej widowni, to niewątpliwie takim fenomenem jest przedstawienie „Pana Tadeusza” w Teatrze Polskim, w adaptacji Jerzego Adamskiego i reżyserii Janusza Bukowskiego. W momencie, kiedy o tym piszę, odbyło się już ponad 70 przedstawień i nic nie wskazuje, aby zainteresowanie „Panem Tadeuszem” było mniejsze, niż na początku, przed kilkoma miesiącami, zaraz po premierze.

Nie byłoby oczywiście tego zainteresowania publiczności, gdyby nie łączyło się ono z wysokim uznaniem widzów dla teatralnego kształtu arcydzieła A. Mickiewicza i to uznanie zdaje się nie budzić niczyjej wątpliwości. Świadcza o tym niemal każdorazowo gorące owacje po zakończeniu każdego spektaklu, przechodzące w prawdziwy entuzjazm. Tak było w Szczecinie, tak było w Opolu, gdzie Teatr Polski prezentował dwukrotnie „Pana Tadeusza” w marcu br. podczas Opolskich Konfrontacji Teatralnych i tak było również w maju w Katowicach, w czasie Śląskiej Wiosny Teatralnej.

Przed zespołem Teatru Polskiego kolejny sprawdzian: XX Festiwal Teatrowy Polski Południowej w Toruniu. Po dotychczasowych doświadczeniach można być niemal pewnym, że toruńska publiczność festiwalowa przyjmie „Pana Tadeusza” nie mniej gorąco, niż w Szczecinie, Opolu i Katowicach. Jeżeli natomiast chodzi o szanse przedstawienia w oczach jury konkursu festiwalowego — trudno cokolwiek przypuszczać. Nie tylko dlatego, że werdykty sądów konkursowych bywają nieraz w takich przypadkach zaskakujące, ale przede wszystkim dlatego, że szczecińskie przedstawienie „Pana Tadeusza” zostało przez krytykę przyjęte zgoła inaczej, niż przez publiczność. Ścisłe mówiąc opinie z tej strony są dosyć podzielone i obok mniej lub bardziej umiarkowanego uznania dla realizatorów nie brak ocen odmawiających przedstawieniu wszelkich wartości, a co za tym idzie — samego sensu przedsięwzięcia. Wydaje się, że takie stanowisko zaprezentowało jury opolskich konfrontacji, które w rozdziale nagród i wyróżnień całkowicie pominięto właśnie „Pana Tadeusza”.

Można przypuszczać — i oświadczyć nie ukrywam tego — że ci najgorzej oceniający przedstawienie, oceniają je tak między innymi z sobie tylko wiadomych, ubocznych względów, nie starając się bynajmniej o zachowanie niezbędnej dozy obiektywizmu. W dziedzinie kształtowania opinii o teatrze znane są zresztą przykłady, w których na ocenę bardziej waży nie to, co i jak się robi, ale kto to robi, a w zależności od tego ocena może być lepsza lub gorsza.

Jeżeli tego rodzaju sady budzą sprzeciw, to głównie dlatego, że najbardziej wymagająca krytyka nie powinna, moim zdaniem, wykluczać jakiegos minimum życzliwości do uczciwej — jeżeli tak określić — propozycji teatralnej, a do takich należy na pewno „Pan Tadeusz”. Podkreślam słowo „uczciwej”, bo jak wiadomo w teatrze trafiają się również propozycje niezbyt uczciwe, z gatunku artystycznego szalbierstwa.

Aby nie było wątpliwości, nie twierdzę bynajmniej, że „Pan Tadeusz” na scenie szczecińskiego Teatru Polskiego jest przedstawieniem doskonałym. Niestety, jest tam sporo momentów, które budzą niedosyt, rozwiązanie niektórych scen pozostawia wiele do życzenia. Pisałem zresztą o tym przy innej okazji, po pierwszych przedstawieniach.

Rzecz w tym, że te niedostatki nie przesądzą o całości. W całym przedstawieniu zaś nie brakuje scen o naprawdę wielkiej urodzie teatralnej, jak chociażby scena w karczmie, scena rozmowy Sędziego z Robakiem, uczy w zamku zakończona kłótnią, koncert Jankiela, czy wreszcie finałowe Poloneza.

Na życzliwą uwagę, co wcale nie oznacza taryfy ulgowej, zasługuje ta inscenizacja również dlatego, że jeżeli nie liczyć poprzednich realizacji sprzed lat w krakowskim Teatrze Rapsodycznym i w teatrze białostockim, ograniczających się do wybranych fragmentów poematu, a w najświeższej przeszłości telewizyjnego „serialu” w reżyserii Hanuszkiewicza, to „Pan Tadeusz” w adaptacji Adamskiego i reżyserii Bukowskiego należy właściwie traktować jako w ogóle sceniczną prapremierę naszej narodowej epepei.

TWÓRCY NIEPROFESJONALNI

W tym przypadku publiczność okazuje więcej wrażliwości, niż niektórzy ludzie z tak zwanych kręgów opiniotwórczych. Wiem, można mi zarzucić i z góry uprzęde te zarzuty, że to, co podoba się szerokiej publiczności nie zawsze jest prawdziwie dobrą sztuką. Przykładów na to jest mnóstwo. Pierwsza lepsza komedia, byle odpowiednio zabawna, jest z reguły bardziej „kasowa” od, dajmy na to „Kartoteki” Różewicza. Znakomicie wystawione „Wyzwolenie” Wyspiańskiego nie ściągnie nawet w połowie tylu widzów, ile ich będzie miało mierne przedstawienie „Księżniczki Czardasza”.

Zgoda, ale co z tego? Przede wszystkim „Pan Tadeusz” nie nadaje się do tego rodzaju porównania. Nie jest, śmiem twierdzić, ani dla szerszej, ani dla węższej publiczności czymś w gatunku bezpretensjonalnej komedii, ani tym bardziej, traktowany już wyłącznie rozrywkowo, widowiskiem muzycznym. Zresztą nie ludźmy się; widz, który z zapałem ogląda wszystkie przedstawienia w teatrze muzycznym, rzadko gości w teatrze dramatycznym. I odwrotnie. A poza tym ten tak dość lekceważący stosunek do „szerokiej publiczności” jest raczej paradoksalny w kraju, gdzie od z góry 30 lat robi się niesłychanie wiele, aby teatr stał się dostępną powszechnie sztuką.

Nie ma wątpliwości, że przeciętny odbiorca teatru jest dzisiaj bardziej wyrobiony, niż przed laty i tym samym zwiększa swój wpływ na sytuację teatru, który musi się z nim bardziej liczyć, niż kiedyś. Świadczą o tym zjawiska obserwowane również w szczecińskich teatrach, w których wypełnienie widowni, a co za tym idzie kasa, doprawdy nie zależy od wystawienia zabawnej komedii. Zresztą w tychże kręgach opiniotwórczych, które powodzenie „Pana Tadeusza” u publiczności kwitują znaczącym wzruszeniem ramion, podobna sytuacja bywa nie rzadko ważkim argumentem na rzecz własnej oceny, jeżeli uznanie okaże się zbieżne. Jak z tego wynika, konsekwencja wymagałaby, aby w zawodowym urabianiu opinii o teatrze nie odżegnawać się, demonstrując swoją wyższość, od vox populi, a prosta uczciwość — aby pojęciem wyrobienia teatralnego publiczności nie posługiwać się dla dowolnych manipulacji.

Wśród niechętnych temu przedstawieniu opinii spotkałem się również ze stanowiskiem, które główne zarzuty brzmiały: „Pan Tadeusz” taki, jakiego pokazuje Teatr Polski, to teatralny bryk, który wielu ludziom, a zwłaszcza młodzieży, zastąpił lekturę utworu, szkodliwie dla jego znajomości uproszczenie, nie będące w stanie oddać piękna oryginału.

Nie sądzę, aby te zarzuty były uzasadnione. Po pierwsze znam wiele przykładów, że po obejrzeniu przedstawienia „Pana Tadeusza” w teatrze wiele osób zapragnęło właśnie przeczytać ponownie utwór po latach. Tak również było, jak pamiętamy, po filmach „Pan Wołodyjowski” i „Potop”. Kiedy pojawiły się na ekranach, czytelnicy masowo zaczęli wracać do „Trylogii”. Jeżeli chodzi zaś o samą młodzież szkolną... Obawa, że ta, w istocie znaczna część widowni na przedstawieniach „Pana Tadeusza”, będzie traktowała je jako środek zastępczy zamiast obowiązkowej lektury, wydaje się aż nadto pochopny. Samo zresztą poznanie „Pana Tadeusza”, jako obowiązku w programie nauczania może być bardzo powierzchowne, bo wszystko zależy tu od nauczyciela, który może również zniechęcić do tej znajomości. Sam w czasach szkolnych miałem nauczyciela, z którym „przerabianie” „Pana Tadeusza” polegało przede wszystkim na wykuwaniu przez uczniów na pamięć szeregu fragmentów utworu. W rezultacie mogłem bezmyślnie recytować spore partie poematu, niewiele odczuwając z jego rzeczywistego piękna i urody poetyckiego języka. To przyszło dopiero później, kiedy okoliczności sprawiły, że wróciłem do tej lektury już bez żadnego przymusu, pograżając się w niej po uszy.

A właściwie czy dużo ludzi, nie licząc studentów polonistyki, wraca w wieku dojrzałym do lektury głównych dzieł naszej literatury narodowej po „zaliczeniu” ich w szkole średniej? Do Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Wyspiańskiego, nie mówiąc o innych? Obawiam się, że niewielu jest takich. W tej sytuacji takie przedsięwzięcia, jak między innymi inscenizacja „Pana Tadeusza” są ze wszechmiar celowe, jako wyraz troski o ciągłość narodowej kultury, potrzeby stałego nawracania do przejętego przez nas dziedzictwa.

Tak się składa, że nieźle raczej orientuję się, w jaki sposób odbiera scenicznego „Pana Tadeusza” ta najwrażliwsza na sztuce teatru część młodzieży szkół średnich, bo składająca się z licznej grupy uczestników konkursu „Głosu Szczecińskiego” pod hasłem „Młodzi Miłośnikami Melpomeny”. Konkurs ten prowadzony jest już od 6 lat i znaczna część jego uczestników nie tylko chodzi systematycznie do teatru, bierze udział w spotkaniach i dyskusjach na temat poszczególnych przedstawień, często odwiedzając także teatry pozaszecińskie, ale również posiada sporą wiedzę z zakresu historii i teorii teatru. Wiedzę o wiele większą, niż wiedza dorosłych, tak zwanych przeciętnych widzów. Opinie tej grupy widzów nie sposób chyba lekceważyć. Właśnie ze względu na wrażliwość i autentyczność przeżyć na widowni teatru, a także młodzieńczą bezkompromisowość w formułowaniu opinii.

Te opinie w przypadkach poszczególnych pozycji repertuarowych są niejednokrotnie bardzo różnorodne i krytyczne. Takiej zgodności poglądów, jak w przypadku teatralnego kształtu „Pana Tadeusza” nigdy dotąd nie spotkałem. Jak wiadomo jednym z obowiązków uczestników konkursu „Młodzi Miłośnikami Melpomeny” jest pisanie swego rodzaju recenzji na temat oglądanych przedstawień, mających przede wszystkim zawierać osobiste odczucia ich autorów. Muszę stwierdzić, że po żadnej sztuce wystawionej w ostatnich latach w teatrach szczecińskich nie napłynęło od uczniów tyle recenzji, ile po „Panu Tadeuszu”.

Można by ich przytaczać setki, biorąc pod uwagę, że do redakcji „Głosu Szczecińskiego” napłynęło około 1000 recenzji od uczniów szkół średnich. Występująca w nich zgodność sądów dotyczy nie tylko całości przedstawienia i poszczególnych jego scen, ale również interpretacji aktorskich. I tak np. z jednomyślną akceptacją spotykają się postacie Narratorów w wykonaniu Janusza Bukowskiego, Karola Gruzy i Jacka Opolskiego. Z pozostałych postaci najbardziej do przekonania młodzieżowej widowni przypadli: Gerwazy — Bohdana A. Janiszewskiego, Robak — Ryszarda Zielińskiego, Telimena — Ewy Wawrzon, Sędzia — Jerzego Wąsowicza, Tadeusz — Andrzeja Oryla, Hrabia — Karola Stępkowskiego, Podkomorzy — Zbigniewa Mamonta i Woźny — Władysława Korabia-Blichewicza. Te nazwiska najczęściej wymieniano z uznaniem.

Jak z tego wszystkiego wynika, może mieć sceniczny „Pan Tadeusz” swoich zagorzałych oponentów, ale ci znajdują się w zdecydowanej mniejszości wobec jego zwolenników, do których należy, nie ukrywając tego, wyżej podpisany.

Sztuka nieprofesjonalna, ludowa i amatorska, jest zjawiskiem coraz bardziej powszechnym, nosi znamiona twórczości spontanicznej, jest przejawem aktywności kulturowej różnych kręgów społecznych. W świat postępu techniczno-naukowego i rozwój cywilizacji wnosi odrębność narodową i regionalną, bogactwo treści i form artystycznych, autentyzm i bezpośredniość środków wyrazu.

Rozwój i zasięg działalności artystycznej w województwie szczecińskim ma szczególnie znaczenie dla żywszego włączenia tych terenów w nurt życia kulturalnego kraju, z uwagą na specyficzne położenie geograficzne i historię.

W województwie szczecińskim co najmniej 1000 osób ujawniło swe predyspozycje artystyczne, realizuje uzdolnienia i potrzeby twórcze przez: rzeźbienie, malowanie, tkanie, haftowanie, uprawianie technik graficznych i innych rodzajów rękodziela artystycznego.

Jacy są i jaka jest ich twórczość? Zadają sobie to pytanie etnografowie, historycy i specjaliści z Instytutu Sztuki Nieprofesjonalnej PAN i muzeów.

Plastyka nieprofesjonalna jest jak gdyby drugim nurtem sztuki „oficjalnej”, zawodowej. Chcąc przybliżyć portrety twórców, ich własny świat, pasje, fascynacje krajobrazem nadmorskim i ludźmi morza, starosłowiańską kulturą naszego regionu, musimy znaleźć się w kręgu ich zainteresowań i w środku ich życia. Poznać ich wewnętrzne przeżycia, potrzeby estetyczne i uzdolnienia artystyczne. Dzieli ich wiele, środowisko, wiek, osobowość, pochodzenie, uprawiana dyscyplina sztuki, umiejętności warsztatowe, stopień świadomości i wiedzy artystycznej, ale łączy ich miłość sztuki i pasja tworzenia.

Palety, pędzle, ryłce, dłuta i warsztaty tkackie — to wybierane przez twórców środki techniczne. Artystyczna twórczość amatorów, to już nie tylko hobby, to fascynacja sztuką i wypełnianie nią bez reszty swego życia. Sposoby ujawniania wypowiedzi artystycznej są różne, jak odmienne są osobowości i potrzeby tworzenia, sprawdzania swych możliwości, działań spontanicznych i instynktownych.

Z kręgu tych nieprzeciętnych, godnych uznania ludzi, prezentują kilka indywidualności, ich sylwetki, predyspozycje twórcze na tle pracy zawodowej i środowiska.



EDWARD KOŁACZ jest bezsprzecznie najwybitniejszym rzeźbiarzem ludowym w naszym województwie. Pochodzi z Zawiercia. Źródłem poznania jego twórczości jest on sam, jak również środowisko z jakiego pochodzi. Z zawodu szewc. Mieszka w Szczecinie od 1945 roku. Jest samoukiem, niemniej w jego rodzinie istnieją tradycje sztuki ludowej i rzemiosła artystycznego.

Kiedy go poznałam, był skromnym, nikomu nieznanym artystą. Pokazał mi swoje rzeźby — baby, dziadków, matki z dziećmi, typy wiejskie i miejskie, urzekające figurki z drewna. Na pierwszej wystawie sztuki ludowej i plastyki amatorskiej w Zamku Szczecińskim w roku 1961 spotkał się z wielkim uznaniem. I tak zaczęła się droga artystyczna Edwarda Kołacza, aż do wielkiej nagrody im. Kolberga, którą otrzymał w roku 1977.

Wśród znanych mi na przestrzeni kilkunastu lat rzeźb Kołacza widzę postęp w rozwoju artystycznym. Stopniowo doskonali swe umiejętności, wielokrotnie opracowuje zbliżone warianty tych samych ulubionych tematów. Jest w nich nastrój uczuciowy, niemal liryczny, widoczny w wyrazie twarzy rzeźbionych postaci, jak i geście rąk. Oczy patrzą wprost na widza. Klocek drewna ma dla Kołacza niezwykle piękno. Można zauważyć zamiłowanie twórcy do dekoracyjności i ekspresji. Rzeźbione figury tworzą syntezę zawodu czy pracy, jak np. „Szewc”, „Rybak”.

Kołacz akcentuje nie tylko naturalne zalety drewna, z jakiego wykonane są jego rzeźby, ale i głęboką treść psychologiczną w smutnych babach, dostojnych matkach z dziećmi czy ruch i radość życia w tańczących parach. Intuicyjnie wyczuwa bryłę, znakomicie komponuje postać ludzką, niekiedy ją symbolicznie deformuje. Związki z morzem i regionem szczecińskim przejawiają się w realizacjach grup rybaków, kompozycjach z kory z elementami morskimi.

Do najpiękniejszej z rzeźb należy „Rybak”, trzymający na rękach przed sobą wielką rybę. Niemal wszystkie rzeźby „dziadków” mają pewne cechy autoportretu.

Kołacz powiedział mi: „Nie mógłbym żyć bez tej mojej „sztuki”. Ustawiam sobie moje rzeźby na wszystkich stolikach w domu i rozmawiam z tymi babciami i dziadkami. Nie czuję się wtedy samotny”.

Czym dla szczecińskich twórców ludowych jest twórczość Kołacza? W szczecińskiej plastyce ludowej i amatorskiej dominuje rzeźba. I jest to niewątpliwym wynikiem inspiracji sztuką Kołacza. Dla licznych rzeźbiarzy najbardziej popularnym tworzywem okazało się tradycyjne drewno, które przeżywa obecnie swój renesans, materiał nie tylko trwały, ale i bardzo efektowny, o bogatym kolorycie, a przy tym podatny dla wyobraźni rzeźbiarzy.

Jakże inny od Kołacza jest FRANCISZEK SKOCZ z Pyrzyc. Pod ciśnieniem przeżyć i wspomnień tragicznych wydarzeń drugiej wojny światowej tworzy grupy rzeźb nawiązujących do tematyki obozowej. Pochodzi ze wsi lubelskiej i przepracował 55 lat jako robotnik rolny. W Pyrzycach mieszka od 1947 roku. Tworzy swoich „ludzików” w drewnie i „ubiera” ich na kolorowo. Rzeźbi marynarzy, górników, grupy żniwiarzy z grabiami, kosami, rolników z wozami i zaprzęgiem konnym. Figurki te są niezwykle fascynujące. Są sztywne, frontalnie ustawione i wpatrzone szeroko otwartymi oczami wprost na widza. Niektóre wykonuje Skocz z jednego kawałka drewna, nawiązując do tradycji ludowych ze stron rodzinnych Bochońnicy i Kazimierza nad Wisłą, inne — jak zabawki, montuje z wielu kawałków i jaskrawo koloruje.

W Chociwlu, mieszka od 1946 r. ADAM SARNECKI, nestor szczecińskich artystów nieprofesjonalnych, 82 letni twórca. Pochodzi z województwa krakowskiego. W ciągu swego długiego życia zajmował się wikliniarstwem, pszczelarstwem, ogrodnictwem i rolnictwem. Jego realistyczne obrazy, zbliżone w stylu do twórczości dzieci, można utożsamiać ze sztuką naiwną, instynktowną. Indywidualny charakter jego twórczości obrazują pejzaże z Chociwla, Stargardu i z Międzyzdrojów, gdzie był na plenerze plastycznym. Maluje niezwykle urokliwe pejzaże z wodą, m. in. „Jeziorko Chociwelskie”, „Morze”, „Szczecin nad Odrą”, jak również będące ilustracją wydarzeń historycznych. Obrazy jego przeważnie stanowią syntetyczny rysunek, zwartą kompozycję, są malowane płasko. W wielu dominuje kolorystyka nadmorskiego pejzażu — błękit, jasna zieleń i złoto piasku.

Inną indywidualnością jest DANUTA PIOTROWSKA ze Szczecina. Reprezentuje odmienne środowisko, zajmuje się wieloma technikami plastycznymi: malarstwem olejnym i akwarelowym, malarstwem na szkle, haftem, a przede wszystkim tkactwem artystycznym. Pochodzi z Lublina. Po stu-

diach wyższych na wydziale filologii romańskiej zamieszkała w Szczecinie. Przez piętnaście lat była konsultantem programowym i sekretarzem literackim w Państwowych Teatrach Dramatycznych w Szczecinie. W roku 1968 powróciła do młodzieńczych zainteresowań plastycznych i tradycji rodzinnych w tym zakresie.

Początek tym zainteresowaniom dała uprawiana przez autorkę najwcześniej oryginalna tkanina haftowana, prezentowana na wystawach, w formie obrazów zamkniętych drewnianą ramą. Prace tkackie i malarskie zrodziły się z zafascynowania urodą ziemi szczecińskiej, bujną zielenią, kwitnącymi ogrodami. Lubi naturalne kolory, naturalne tworzywa, obserwuje naturę, życie roślin i zwierząt, uwielbia konie, las i morze. Dla Danuty Piotrowskiej świat morza, jego głębin to też wielki, kolorowy ogród. Przykładem są gobeliny i hafty pt.: „Podwodny świat”, „Tkanina jest dla mnie jakby istotą żywą, która oddycha, rządzi się własnymi prawami, ma specyficzny charakter” — mówi Danuta Piotrowska. Pracuje dużo. Tworzy gobeliny i obrazy haftowane nawiązujące do literatury i polskich legend ludowych. Interesuje ją poezja, szczególnie podziwia wiersze Gałczyńskiego, Baczyńskiego, Rimbaud'a i Rilke'go

JAN STRZELCZYK jest nauczycielem. Od dwudziestu lat kieruje szkołą w Kunowie koło Stargardu Szczecińskiego. Ma wszechstronne zainteresowania i niewątpliwy talent artystyczny. Zajmuje się muzyką, malarstwem i rzeźbą. Najciekawsze są jego prace rzeźbiarskie. Różni je one od rzeźb Edwarda Kołacza, chociaż — jak przyznaje Strzelczyk — początkowo był pod jego wpływem. Rzeźby Strzelczyka są bardziej prymitywizujące, syntetyczne, bez zbędnych detali. Artystę interesuje przede wszystkim człowiek, rzeźbi postaci rybaków, chłopów wiejskich i kobiety z dziećmi. Jego modele to głównie ludzie z najbliższego otoczenia — jak: woźny ze szkoły, sąsiadka, rybacy wracający z sieciami z połowu. Te ekspresyjne rzeźby to autentyczne portrety ludzi pracy, starców, są pełne powagi i dostojności. Strzelczyk jest twórcą o szczególnej spostrzegawczości i wrażliwości. W jego rzeźbach można znaleźć dowcipną metaforę i prawdę o życiu otaczających go ludzi. Twórczość rzeźbiarska jest dla niego wewnętrzną potrzebą, sposobem realizowania siebie. Próby kontynuowania tradycji rodzinnych w wykonywaniu prac malarskich i rzeźbiarskich znajdujemy u syna Strzelczyka, a w szkolnym kole plastycznym posiada już Strzelczyk wielu uczniów i naśladowców swej sztuki.

Pejzaże szczecińskie prezentuje w swoich obrazach HENRYK ALEKSIEJCZUK. Piękno odnalazł w naturze, w szerokich przestrzeniach pól, zieleni lasów z całą gamą odcieni, w pejzażach morskich, urwiskach i wydmach. Pejzaże te mają urok, głębię i koloryt wschodów i zachodów słońca i odbicia w wodzie. Malowane z niewielkiej odległości oka od ręki (jest krótkowidzem), drobnymi pociągnięciami pędzlem, są podobne w nastroju do dzieł impresjonistów. Wiernie odtwarza koloryt, światło, perspektywę powietrzną i przestrzeń pejzażu. W jego malarstwie są wiosny, lata, jesienie i zimy, przestrzenie z szachownicą zaoranych pól, łąki i martwe natury. O obrazy jego starają się kolekcjonerzy i muzea etnograficzne. W Szczecinie jest znany jako twórca realistycznych obrazów, które urzekają zwiedzających wystawy plastyki nieprofesjonalnej.

O indywidualności STANISŁAWA TYCHANOWSKIEGO ze Świnoujścia można powiedzieć jego słowami: — „Jestem zakochany w morzu, moje patyki, „morzokształty” — to kwestia wyobraźni. To nie jest jednak sztuka przez duże „S”. Znajduję patyki, muszelki, kamyki, w piasku na brzegu morza, wyrzucone przez fale i komponuję z nich przedmioty, które nazwał „morzokształtami”.

Jest ekonomistą i pracuje w uzdrowisku w Świnoujściu. Jego hobby jest znane niemal wszystkim w tym mieście. Nobilitował swoje kompozycje do rangi twórczości artystycznej i do prezentacji na wystawach plastycznych.

Dla Tychawskiego każdy patyk znaleziony i wybrany przez niego staje się inną rzeczą, symbolem ptaka, zwierzęcia lub postacią ludzką. Niewielkie uzupełnienia przy pomocy kawałków metalu, korka, kamyków, muszelek, sznurka, nadają kompozycjom specjalny wyraz, stają się estetycznymi i dekoracyjnymi przedmiotami.

Nadaje im własną treść i poetyckie nazwy, jak: „Odłot”, „Smutek”, „On i Ona”, „Czarny Ptak”, „Orfeusz”. Jego morzokształty zainspirowały innych hobbystów. Wielu zbiera czy patyków i korzeni w lesie czy nad morzem, komponuje przedmioty artystyczne, które cieszą oko i dekorują wnętrza.

W sztuce liczy się przede wszystkim osobowość twórcy, ta lent, autentyczność, wrażliwość i wyobraźnia, a tych cech wśród twórców nieprofesjonalnych nie brak.



Foto. M. Czasnojc



Foto. T. Piotrowski

TADEUSZ PIOTROWSKI

DECYZJA

Oderwałem się od skały. Odplynąłem od ściany. Swobodny lot. Spadanie. Nagły skurcz, gdzieś w środku. Obrót wokół osi. Chropawy granit tuż przed oczami. Zaciśnięte na chłodnym jumarze palce. Pulsujące skronie! Przedłużająca się w nieskończoność chwila oczekiwania. Nareszcie! Sprężynujące szarpnięcie. Przerwane opadanie. Rozluźniająca się kleszcze strachu. Ulga!

Gładka, pionowa ściana z czarnym żytkowaniem pęknięć. Czerwona krecha napiętej liny, drgającej pod zawieszonym ciężarem. A teraz już tylko prosta, mechaniczna czynność kolejnego przesuwania dwóch jumarów. Tak być powinno, ale tak nie jest. Wyobraźnia — zbędny balast — podsuwa niepokojące obrazy, rodzi wątpliwości, każe wstuchiwać się w melodię drżącej liny. Wiszę na niej! Od jej wytrzymałości zależy moje życie. Podemną jedynie powietrze i hen tam, w dole, poszarpane zęby skał. Trudno uwolnić się od natrętej myśli, co będzie...

Lina. Była cała! Sam ją zawieszałeś, to prawda. Przecież, do licha, wytrzymuje dwie tony. O co więc chodzi? Że zerwie się? Bzdura! Że wisi już trzy tygodnie? I co z tego! Trafił w nią kamień? Miro opowiadał... Pamiętasz? Tamtą linę też sam zakładałeś. To było trzysta metrów niżej. Ech, tamto to przypadek. Spadł kamień. Mógł uderzyć obok. Ale akurat trafił! Nadciął ją do połowy. Rozszarpane na strzępy włókna, uszkodzony rdzeń... Wytrzymała jednak obciążenie. Też argument! Gdyby uderzył mocniej, celniej, pięć milimetrów w bok, wtedy... Haki! Wbijają się własnoręcznie. Są mocne! To pewne!

Dość tego. Lina jest cała, a haki dobre. Nie przesadzaj nadmiernie z tymi kamieniami! Jesteś już w połowie drogi i nic się nie stało. Jeszcze kawałek. Założysz stanowisko. Odsapniesz... Głupia igraszka pamięci.

Wyrąbana w skale nyża. Wąska półeczka na szerokość stopy. Dwa haki. Jeden wbiłem, gdy byłem tu po raz pierwszy, drugi — to pamiątka po Anglikach. Mocne! Wpiąłem autoasekurację. Opadły poprzednie emocje.

— Przygotuj plecaki. Będę ściągął — huknąłem do stojącego w dole Wojtka. Wyglądał stąd śmiesznie. Głowa i zaraz nogi. Taki króciutki tułów. Pokraczny karzeł. Był pięćdziesiąt metrów niżej, po przeciwległej ścianie zacięcia.

Ja miałem to już za sobą. Teraz jego czekał długi trawers, zjazd, i to obłudne wypuszczanie się do pionu i podchodzenie po linie. Ponad sto metrów wspinaczki; piekielnie zagmatwany teren. A przedtem morderczy transport plecaków.

— Ściągaj — dobiegł z dołu krzyk Wojtka.

Zacisnąłem dłonie na oplocie liny. Szarpnąłem! Ciągnę. Piskliwy zgrzyt bloczka. Głęboki skłon. Kolejne szarpnięcie. Plecak zachybotał w powietrzu. Wisi. Następny skłon i mocne pociągnięcie. I jeszcze raz, i jeszcze... Jest! Jeden plecak... drugi... trzeci... czwarty... Słone strużki spływające spod kasku, biegnące taskotliwie po brzuchu i plecach. Szczypiący w oczy pot. Świszczący oddech. Uff! Chwila wytchnienia.

Bałagan na stanowisku. Powiesiłem wszystkie tobotki na jednym haku. Trzeba coś z tym zrobić, zanim dojdzie tu Wojtek. Wbić dodatkowy hak. Znalazłem szczelinę. W lewej części nyży. Zdążyłem uderzyć tylko dwa razy. Jęk granitu, głuche stęknienie, trzask odłupującej się skały. Wypadające haki asekuracyjne. Zamartłem w bezruchu oniemiały z przerażenia. Napięte nerwy. Co robić? Nie mogę przecież stać i wciąż gapić się bezradnie na dyndające na linie haki, na dokonane dzieło zniszczenia. Muszę jakoś się zabezpieczyć. Zostałem bez asekuracji.

Odpadnięty blok zaklinował się w nyży. Za nim — czułem to — znajdowała się dobra szczelina. Tylko jak się do niej dostać? Jeszcze raz rozejrzałem się z nadzieją wokoło — ani śladu pęknięć. Sytuacja stawała się niebezpieczna. Musiałem za wszelką cenę odbudować stanowisko. Jedyłą szansę dawało wyrwanie zaklinowanego głazu.

Ważył z sześćdziesiąt albo nawet siedemdziesiąt kilogramów. Z ledwością poruszyłem go. Nie dał się wyjąć ze swego łożyska. Obu końcami wczepił się w skałę. Miałem ograniczoną możliwość manewru. Bałem się, że może wytrącić mnie z równowagi. Najbliższy, pewny hak znajdował się na drugim końcu liny, czterdzieści metrów niżej.

Nie miałem innego wyjścia. Musiałem go strącić. Stanąłem na skraju gzymsu. Wczepiłem się w chropawy kamień. Wrośłem w skałę. Przez chwilę trwałem w bezruchu koncentrując odwagę. Zaparłem się. Pchnąłem z całej siły. Podał się naporowi mięśni. Pociągnąłem do siebie. Nic z tego. Otarłem spływający po twarzy pot. Byłem mokry z wysiłku i emocji. Moment odpoczynku. Ponowiłem próbę. Gwałtowne szarpnięcie. Przytłaczający ciężar. Skręt ciała, szorstkość ocierającej się o udo skały i głuchy, dudniący huk kamiennej lawiny, niosący się echem przez ścianę. Tryskające w dole gejzery śniegu...

Rozdygotane z wysiłku serce. Głowa wsparta o skałę. Zamknięte oczy. Przyspieszony oddech. Nadchodzące uspokojenie.

Jasna plama po wyrwanym gładzie i ciemne, głębokie pasmo oczekiwanej szczeliny. Pospiesznie wpiąłem hak i włożyłem w pęknięcie. Sytuacją stawała się niebezpieczna. Musiałem za wszelką cenę wytrzymać. Jeszcze kilka uderzeń dla samej przyjemności usłyszenia głosu śpiewającej stali. Szczęk wpinanego karabinka. Niewystawiona ulga. Rozluźnienie napiętych mięśni. Pewne, mocne stanowisko. Wbiłem jeszcze jeden kawałek żelaza. Dla pewności.

Mogłem oddać się oczekiwaniu na nadejście Wojtka...

Wspinaczka w mocnej skale. Zupełna ekspozycja. Szorstki granit pod palcami. Zdobywane metry pionu. Radosny nastrój. Zadowolony płynący z własnej sprawności i siły. Pełna kontrola nad każdym ruchem. Świadomość panowania nad swymi poczynaniami. Wiem, jak mocny jest hak, który wbiłem; jak pewny chwyt, na którym zaciskam palce i stopień dający oparcie nozde. Wszystko zależy ode mnie. Nie ma miejsca na przypadek. Przeżywane emocje są inne, nie tak negatywne jak ileś tam metrów niżej.



Stanowisko. Gładzina skalnej płyty. Nogi wparte w szczeble taweczek, miniaturkę drabinki sznurowej. Ciało krótko przypięte do żelaza. Chrobot szczebli trących o skałę. Mechanicznie powielane ruchy rąk. Ciemna zieleń wyciąganego plecaka. Pałająca czerwień twarzy i słone krople potu.

Lustrzane odbicie sytuacji. Pionowo, gładko, trudno. Rosnący pośpiech. Niknące za linią horyzontu słońce. Szarość zmierzchu i głębia nocy. I już tylko nikły krążek światła latarki wydobywającej z otaczającej czerni zarys szczelin-rozmywających się, zanikających w caliźnie litej skały. I niecierpliwe, pełne niepokoju wołanie Wojtka: „Czy jest miejsce na biwak”? Nie było. Wisiałem w słabym haku nadaremnie starając się wyłuskać z mroku jakiegokolwiek pęknięcie. Wbić parę haków! Może wyżej będzie płaszczyzna, na której przysiadzimy, aby doczekać świtu? Może już nad tym garbem wybrzuszającym się ponad głowę? Tylko jak go pokonać? To już nie skała, a zmurszałe kamienie przerośnięte ziemią. Głuchy odgłos wbijanej stali. Fałszywe tony. Napięta uwaga. Niespokojne spojrzenie zawiste na obciążonym haku. Powtarzający się cykl.

Rozczarowanie. Nie było półki. Jedynie pobrużdżona, pionowa skała. Nad głową wisiał jednolity mur, czarny, posępny. Beznadzieja.

Nadszedł Wojtek. Zawist obok. Przygotowania do biwaku. Ciepło puchowej kurtki. Zimno wsysające się w nogi. Wpijające się w biodra cienkie linki wsporka. Ekwilibrystyka gotowania. Trzymana w dłoniach maszynka butanowa i stojąca na niej menażka. Chwiejna równowaga. Bezruch. Dłużący się czas oczekiwania na pierwszy tyk. Skupienie. Wzrok nieruchomo utkwiony w pełzający płomyk. Buchająca spod przykrywki para. Wyzwolenie. Spływająca w ciało gorcość herbaty. Gorzka słodycz czekolady. Ostatnie kropki sączonego z lubością napoju.

Nie kończąca się noc. Zatrzymany czas. Kolebiąca się na boki głowa nie znajdująca punktu oparcia. Dotkliwy chłód coraz natarczywiej dobierający się do znieruchomiałego ciała, wgrzyżający się w zgięte kolana, atakujący zaparte na szczebelkach stopy. Narastający ból uwierającego wsporka. Wstrząsające fale febrycznych dreszczy. Półsenne odurzenie. Bezwolne trwanie. Wyczekiwanie.

Łamiąca się barwa nocy. Szarość przedświt, blady róż poranka. Cała gama barw świtania. Paleta rodzącego się dnia. Wybawienie z udreki.

Zmiana na prowadzeniu. Znikająca za wybrzuszeniem sylwetka Wojtka. Przesuwająca się przez dłonie lina. Dookolna pustka. Samotne oczekiwanie na okrzyk — możesz iść!

Wyekspediowany bagaż. Wybite haki. Zaciśnięte na linie jumarzy. Automatyczne ruchy. Szybko zdobywana wysokość...

Nagła, nieoczekiwana zmiana pogody. Wyptywające zza grani czarne chmury. Szary brąz skały upstrzony białymi cętkami. Lepka, przesiąknięta wilgocią mgła wypelzająca z dna doliny. Śniegowe wirowanie. Już zwiewne welony zsuwających się z cichym szelestem pyłowych lawin, i już wciskający się zdradliwie za kołnierz biały puch, i wzbierająca fala niepokoju.

Doszedłem do Wojtka. Ubezpieczyłem. Strzepnąłem tającą na karku śnieg. Pełne wymowy spojrzenia. Uważna obserwacja. Przedłużające się milczenie. Padły wreszcie dręczące pytania — co robimy? Wycofujemy się, czy podejmujemy ryzyko dalszej wspinaczki? Pytania zasadnicze obnażają skrywane obawy o dzień jutrzejszy, o najbliższą przyszłość. Co postanowić? Błędna decyzja może mieć daleko idące konsekwencje. Już z tego miejsca odwrót był niezwykle trudny i skomplikowany. Przy dobrej pogodzie! Droga powrotna tak samo niebezpieczna i wytężająca. Diagonalne zjazdy, skrajnie trudne trawersy. Obłądana alternatywa. A śnieg padał i co chwilę przecinał ścianę białe wstęgi lawin.

Dyskusja. Ocena sytuacji i naszych szans. Gdy się wycofamy, będzie to równoznaczne z ostateczną przegraną. Po raz trzeci nie wrócimy. Za nami był już jeden odwrót. Wtedy dopadło nas

gwałtowne załamanie pogody. Całonocny opad mokrego śniegu nie pozostawił żadnych złudzeń. Rankiem wciąż padało. Wycofaliśmy się ze ściany, pozostawiając za sobą nitkę lin poręczowych. Mieliśmy wrócić za kilka dni, kiedy znów zaświeci nam słońce.

Na chwilę tę czekaliśmy... trzy tygodnie. Beznadziejnie długie trzy tygodnie zapłakane deszczem, zasnułe szaroburymi mgłami, ubielone świeżym śniegiem. Były dni pełne rezygnacji i zwątpienia w sens oczekiwania, w upór trwania na stanowisku.

Czy teraz mieliśmy to wszystko stracić? Obrócić wniwecz? Wyzybyć się marzeń? Zagrać *va zanque*? Można przegrać znacznie więcej.

Wciąż padał mokry, tający na ubraniu śnieg. Przemakaliśmy. Jakże trudno było powiedzieć — idziemy dalej!

Jeszcze raz dajemy sobie szansę. Po raz ostatni. Jeśli do rana pogoda się nie poprawi, wycofujemy się ostatecznie ze ściany. Tak sobie przyrzekliśmy. Tak zdecydowaliśmy.

Do przejścia pozostały trzy długości liny. Wiedzieliśmy, że dopiero tam znajdziemy miejsce na wygodny biwak. Teraz tylko należało dojść. To była konieczność. Na tym opierał się plan powodzenia całej akcji. Od tego zależało wszystko.

Znów poziomy trawers. Ułatwiająca przejście lina poręczowa. Wojtek zniknął w białej kurzawie. Przedłużające się oczekiwanie. Doszedł do stanowiska. Minęła jednak godzina, jak doleciał uszu krzyk, że mogą iść. Co robił tyle czasu? Zdenerwowanie niepewnością.

Stał na dnie płytowego zacięcia, na wykopanej w śniegu platformie. To jej przygotowanie zajęło tyle czasu. Nie miał zbyt pewnej miny. Spoglądał z niepokojem na sypiący śnieg, na opadające lawiny. Milczał. Czy wątpił?

Decyzja zapadła —nie czas na wątpiwości. Pozostała już tylko twarda, bezwzględna walka z przeciwnościami. To postanowienie. Trzeba wmówić sobie, że to jedynie słuszna postawa.

Biała kurtyna śniegu. Czarna rysa. Skrajnie trudno. Przewalające się nieustannie masy zbitego puchu. Brak tchu. Dłonie chronią twarz przed zasklepiającą oczy lodową maską. Chwila przerwy. Pośpiesznie wbity hak i kolejny atak śnieżnej nawatnicy. Sączące się po karku strużki wody przemieszanej z potem. Ukradkowe wypatrywanie dalszej drogi. Kto zwyciężył? Kto kogo pokona?

Stanowisko. Klinujące się w kominie plecaki, zahaczające o wystające kamienie. Zajadła szarpanina. Bezsilna złość. Pośpiech! Beznamiętny szmer zwiewanych lawin. Bezustannie.

Zatamujący się pion ściany. Tam, wyżej musi być płaśnia. Jak duża? Czy ustawimy swój namiocik? A jeśli nie...? Co wtedy? Jak przetrwamy noc? Byliśmy zupełnie przemoczeni, a wciąż jeszcze padało. Rojące się pytania. Rosnąca niecierpliwość. Jakiś trawers. Ruchoma płyta, na którą musiałem wejść. Niczego nie gwarantujące haki. Już łatwo. Chyba będzie dobrze... Stromy śnieg. Głębok!

Wreszcie... Po dwóch godzinach pracy mieliśmy metrowej szerokości platformę, ze stojącym na niej namiocikiem. Płachta biwakowa posłużyła za dodatkowy okap. Mogliśmy się skryć przed białym szaleństwem. Małeńki azyl. Na jak długo? A co będzie jutro?

Chwilowa ulga. Kurtka puchowa, piankowy materacyk, ciepły śpiwór, swobodnie wyciągnięte nogi pozbawione ciężkich butów. Luksus mimo ciasnoty. Iluzja wygody. Ułuda względności. Gorąca zupa łańcuchywie przetykana, pajda chleba z szynką, herbata... Zapomniany głód i pragnienie. Opadające bezwładnie powieki. Cichy, jednostajny szmer zsuwającego się z płachty śniegu. Usypiająca muzyka. Do szczytu jeszcze osiemset metrów. Nie myśleć o jutrze, o tym co będzie. Spać, tylko spać. Zapaść w odmęt niepamięci...

A śnieg padał, padał...



HENRYK BRZozowski

Portret optymistyczny

Włos już przestały oświeca
 głowę,
 zrosnięta zmarszczkami
 porzy się twarz.
 Może to ziemia spalona słońcem.
 Gdy patrzy
 w oczach mu rośnie pole
 po deszczu,
 po burzy
 szczepi was jak złamane
 drzewa,
 jakby życie było sadem.
 Uparcie uprawia pracowite
 dłonie,
 ufa,
 że każdy zachód słońca
 przybliży go do wschodu
 ziemi,
 którą w sobie nosi
 coraz głębiej.

Nie mam tak dużych kolan

Temat tego reportażu nie jest ani odkrywczy ani nowy. Niestety nie jest. Przeglądając notatki, z ostatnich sześciu miesięcy, trudno mi zdecydować od czego teraz zacząć, czy od zbiorczej szkoły gminnej w Przybiernowie, gdzie zostałem wciągnięty w tę sprawę? Od spotkania z ludźmi z którymi nigdy nie zamierzałem się spotkać, czy od sali sądowej, gdzie zapadła ostateczna decyzja o losach pięciorga dzieci. Na dobrą sprawę z któregośkolwiek miejsca bym zaczął, sens pozostanie ten sam i finał ten sam — Państwowy Dom Dziecka w Stargardzie, bo sprawa jest już zamknięta, dosłownie, w teczce zawierającej plik dokumentów formatu A-4. W jednej z wielu takich teczek leżących w gabinecie dyrektora Domu Dziecka.

— Mam ich 126, aktualnych, bo inne przekazujemy do archiwum — powiedział mi dyrektor podczas tej ostatniej wizyty. — Każda z nich to kawałek życia młodego człowieka. Nieraz tragicznego, nieraz z różnych względów zdumiewającego. My pedagodzy i pracownicy administracyjni tak układamy pracę aby w miarę naszych zdolności, możliwości, zastąpić wszystkim wychowancom rodzinę. Czy to jest możliwe? Czy to w ogóle może się udać? Psychika człowieka nie jest zdolna pokochać tyle dzieci. Pokochać, to znaczy okazać im również wyrozumiałość, cierpliwość i zainteresowanie różnymi dziecięcymi problemami. Więc nie przeceniamy własnych możliwości i przede wszystkim staramy się zapewnić tym dzieciom właściwe warunki materialne i poczucie bezpieczeństwa, żeby nie czuły się zagrożone.

Zaledwie 5% (słownie pięć procent) dzieci przebywających w Domu Dziecka w Stargardzie to sieroty. 95% posiada właściwie posiadało rodziców. Mówi się o tych dzieciach „sieroty społeczne”, nie jest to najrzeczniejsza nazwa ale najlepiej określa sens. Jak dochodzi do dramatów o których my, nie zainteresowani bezpośrednio, na ogół nie wiemy lub wiemy bardzo mało, w społeczeństwie o tak przecież silnych więzach rodzinnych i tak pięknych tradycjach rodzinnych? Jaki jest mechanizm działania? Na te właśnie pytania szukałem odpowiedzi spotykając się z ludźmi pośrednio i bezpośrednio wciągniętymi w sprawę rodziny K. do niedawna rolników w wiosce w gminie Przybiernów. Dlaczego zainteresowała mnie właśnie ta sprawa? Wiem już teraz z całą pewnością, że ich przypadek jest typowy.

O istnieniu rodziny K. dowiedziałem się w zbiorczej szkole gminnej. — Nastąpił w ostatnim czasie całkowity rozpad rodziny — powiedział mi dyrektor szkoły. — Zmusiło to nas do wystąpienia do Sądu dla Nieletnich o podjęcie decyzji prawnej w stosunku do czworga dzieci, z tym że jest jeszcze szesnastoletni chłopiec, skierowany wcześniej tymczasowym zarządzeniem Sądu, do Ochotniczego Hufca Pracy, żeby mógł zdobyć jakiś zawód. Znałem te dzieci, trzy dziewczynki chodziły do naszej szkoły. W zasadzie uczyły się dobrze a jeśli były jakieś trudności to wynikały z tego, że dzieci opuszczały dużo godzin lekcyjnych, po prostu nie miał kto dopilnować, nie miał kto wysłać rano do szkoły. Tak działo się od czasu, gdy matka zostawiła gospodarstwo i wyjechała gdzieś nad morze. W rozmowach z najstarszą dziewczynką zauważyłem, że nie mówiła nic złego o rodzicach. Twierdziła, że jakoś sobie radzi. Znajac sytuację, doszliśmy do wniosku, że tak dłużej być nie może, że te dzieci muszą znaleźć właściwą opiekę zapewniającą im dzieciństwo.

W myśl zarządzenia Ministerstwa Oświaty i Szkolnictwa w ostatnich latach nauczyciele zostali zobowiązani do stałego interesowania się warunkami rodzinnymi i domowymi uczniów a w miarę potrzeby nawet do ingerencji. Wydawać by się mogło, że jest to delikatnie mówiąc „wtrącanie się” szkoły w prywatne życie obywateli. O tym jak niezbędne jest takie „wtrącanie się” świadczy najlepiej ilość spraw wymagających niezwłocznej interwencji. Ponadto obowiązek opieki nad uczniami w ich życiu pozaszkolnym, spoczywający najczęściej na doświadczonych pedagogach ma szczególne znaczenie w środowisku wiejskim a więc tam, gdzie kontakt nauczycieli z rodzicami jest utrudniony z różnych względów, na przykład: odległością wsi od szkoły, pracami polowymi itd. W jednej tylko zbiorczej szkole gminnej w Przybiernowie, w ciągu roku szkolnego zgłoszono jedenaście przypadków wymagających ingerencji władz sądowych. Wśród nich znalazła się sprawa trojga dzieci z rodziny K.

Gospodarstwo należące jeszcze rok temu do małżeństwa K. dziś jest zaniedbane i puste. Ziemię przejęła Spółdzielnia Kółek Rolniczych.

— Meza bardzo kochałam, przecie jedno za drugiego wyszło z miłości — powiedziała po rozprawie sądowej Irena K. — Ale nie wiedziałam co to był za człowiek. Pił, wie pan? I zawsze bił nas, mnie szantażował, że ja kogoś mam. Czy był zazdrosny, czy co? Po prostu zniechędziłam go, potem coraz gorzej i gorzej. I całe życie takie było. Wyjechałam bo nie mogłam wytrzymać.



— A dzieci?

— Jak się już urządzą, to zabiorę dzieci do siebie.

Stanisław K. miał 15 ha ziemi ornej, pięć krów, dziesięć tuczników. Od roku przestał być rolnikiem, ma „smykałkę” do murarki i „wynajmuje się u ludzi”.

— Ona już od dawna planowała ten skok zrobić bo bardzo piła. Bardzo! Ino po dancingach chodziła i bawiła się, bawiła...

— Ile żona ma lat?

— 38. Podeszły już wiek, człowiek czeka starości. Zabrała najpierw jedną krowę — sprzedała, potem drugą — sprzedała. Ona już na matkę nie nadaje się.

— A pan na ojca?

— Ja? Jak najbardziej. Panie, czemu ja jeszcze sześć miesięcy wszystkich trzymałem? Ale nie dam rady. Człowiek ciągle w robocie, starałem się żeby ich wzięli bo wolę zapłacić i mieć z głowy. Przy dzieciach trzeba być ciągle, wie pan?

Obie rozmowy przeprowadziłem po rozprawie sądowej na której zapadł wyrok pozbawiający małżeństwo K. praw rodzicielskich w stosunku do pięciorga dzieci. Zbigniewa lat szesnaście, Barbary lat czternaście, Bożeny lat dziesięć, Janyńy lat siedem, Daniela jeden rok i sześć miesięcy...

W wiosce M. mieszka dwoje ludzi. Mieli gospodarstwo, przekazali dzieciom, dziś przebywają w „Domu Spokojnej Starości” którym opiekuje się Gmina.

— Pierwsze — to zdrowie — zastanawia się kobieta — później miłość, żeby jedno z drugim się zgadzało i to jest najlepsze mi się widzi. Przez miłości to co człowiek warty? Jedno drugie kocha i nie może się przez niego obejść, bo jeśliby jedno na drugie mówiło to wtenczas by były kłótnie i boska obraza. My z mężem to już żyjemy razem pięćdziesiąt i pięć lat...

— Więcej! Ja nie wiem co się teraz stało, tego nie mogę powiedzieć bo nie wiem. Jak to jest? — mówi stary człowiek — Oni się chyba żenią z miłości? No a niezadługo i już tam coś padnie do głowy, czy onej, czy onemu i już się rozchodzą, rozwody biorą. No, a dzieci są obidowane. Jak to u nas teraz...

— Ale to jest jego wina — wtrąca kobieta — Posprzedawał, powyganiał. A ile miał krów, i świń i ziemniaków i zboża! No, a teraz oni znów są razem. Przysięga, że nie będzie pił.

A co z wnuczkami?

— Piszą, piszą!

— Pisz dziewczyna ta najstarsza, że co list czyta to nad każdym płacze. Oni tam płaczą i my płaczymy.

List Barbary K. wychowanki Domu Dziecka do dziadków:

„Kochana babciu i dziadziusiu. Na wstępie mojego pisanie daję Wam buziaka do przywitania. Bardzo dziękuję Wam za list. Tylko bym prosiła żebyście pisali dłuższe listy bo nie mam co czytać. Pani wychowawczyni nam powiedziała, że przyszło ze Sądu takie zaświadczenie, i tam pisało, że mamusia i tatuś są pozbawieni praw rodzicielskich i że nic już do nas nie mają. I już tak jakbyśmy dla nich nie istnieli. Jak to usłyszeliśmy to płakaliśmy ale później zastanowiliśmy się, że płacz nic nie pomoże. My chyba dla nich już dawno nie istniejemy. Jesteśmy zdrowe, tylko Joasia kiedyś chorowała. Pytacie co z Danielkiem, przecież on jest w Domu Dziecka w Nowogardzie. Czekamy na szybki odpis. Basia.”

— Danielek, to ten najmłodszy — wyjaśnia mi dziadek. — Był tu u nas, bawił się, mówił tata, mama...

— Ale rodzice są przecież teraz razem.

— No są razem. Zeszli się. Padła im głupota jakaś do głowy. A dzieci jakie obidowane. Mówić już nie ma sił ile my łez wyplakali za tymi dziećmiakami.

— Chcielibyście żeby tu były?

— W nocy o północy — mówi stara kobieta — zabrała bym wszystkie a już najbardziej tego małego.

— Są różne sprawy, małego kalibru jeśli tak można powiedzieć i sprawy ze-nające po prostu, dla dzieci tragiczne.

— Panie Sędzio ale podjęcie decyzji o ograniczeniu czy też pozbawieniu praw rodzicielskich nie jest łatwe.

— To bardzo trudne. Takie decyzje wymagają szczegółowego zebrania materiałów, przeprowadzenia wywiadów, rozmów i dopiero suma tych danych daje jakiś materiał. Przyznam się panu, że po wydaniu takiego wyroku mam uczucie, że może coś przeoczyłem, że może czegoś nie dostrzegłem, tak, to bardzo trudne decyzje. W sądzie rejonowym pracuję już wiele lat ale ostatnio coraz więcej na przykład spraw rozwodowych przeprowadza się w środowiskach wiejskich. W tym rejonie aż siedemdziesiąt procent. To jest zaskakujące.

Barbara chodzi do klasy ósmej, Bożenka do piątej, Jasia do pierwszej.

— Bardzo fajnie to jest — opowiada Barbara — wszystko mamy co chcemy, jedzenia pod dostatkiem, ubranie, wszystko... Nawet imieniny można sobie wyprawić, tylko trzeba zrobić zamówienie do pana dyrektora i trzeba napisać na który dzień.

— Mieszkacie w jednym pokoju?

— Tak. Wszystkie razem.

— Listy z domu dostajecie?

— Babcia pisała dwa i mama jeden.

— Przeczytasz?

(dokończenie na str. 63)

DEBIUTY

EUGENIA ŁAZUKA

Rozmowa

Znowu pewniejsi
stajemy przed sobą
by dopełnić naszej wędrówki
Słabość obleczemy w słowa
wytrącimy z rąk niepewność
— uwierzymy
Wóz deklaracji
stoczymy w ciemną przepaść
pełni wiary
będziemy szli
do świtu.

TERESA TYRAN

Na południe od logiki
leży koniec świata
— przedproże,
szkic,
a może — plan raj...
tam zaczyna się nasza podróż
do siebie
w dwie przeciwne strony...
— okrutny przepis na raj...

Prowincja — jasna scena
aktorzy czekają
cisza...
jaki kraj
taka baj
— ka...



Czternaście pękaty, papierowych teczek. Na każdej napis. Reportaże; port, flota, stocznie, rybacy... Opowiadania. Fragmenty powieści. W sumie kilkaset stron maszynopisu. W tym więcej niż trzy czwarte nigdy dotąd nie publikowanych. W teczkach z reportażami — literacka dokumentacja naszego morskiego startu. Kto ją zna? Ledwie parę osób.

Za swego życia Jan Papuga wydał tylko trzy książki. Umarł i zapomniano o nim. A mówią, że pisarz odchodzi, lecz żyje jego dzieło. Czternaście pękaty, papierowych teczek...

Kto pamięta Jana Papugę? A, to ten, co chodził w krótkich spodniach i sandałach na przyboś. Kto pamięta, że Jan Papuga pisał żarliwe reportaże, w których nie tylko odnotowywał fakty, lecz również je wyprzedzał, zapowiadał. Znikoma część tych tekstów drukowana była w szczecińskiej prasie.

Reportaż, który zamieszczamy, drukował we fragmentach „Głos Szczeciński” w 1949 roku. Dlaczego ten reportaż wybraliśmy? To fakt, że Janek chodził w kraciastej koszuli i krótkich spodniach, ale to mu nie przeszkadzało być wrażliwym i mądrym Polakiem. W tych czterech pękaty, papierowych teczkach zarasta śnieżką naszej niepamięci powojenna historia ludzi morza. Ich marzeń i dokonań. Częstka prawdy o nas. Sięgnijmy po nią.

Pamięci Jana Papugi

raz naszym czasem
Papugaio przyśnił się
— spoczywający
w doloresach ros
mówią — umarł
a on żyje
w karsiborskim Rio
wiatrom ołtarze stawia
na wyspie ludnej
od Guadalajarów
natchnionych
jest tam bogiem
ognia i wody
wczoraj
przez jego opowiadania
żeglowałem
jakbym muszł
żeglował
przez suchy ocean snu

MARIAN
YOPH-ŻABIŃSKI

JAN PAPUGA

Chłopcy z „Komarów” i „Posejdonów”

Był czas w Szczecinie, kiedy słowo „port” brzmiało jakoś bardzo egzotycznie. Nieliczne szkunery skandy-nawskie, przychodzące po węgiel, wiązały hen na „Huku”, niewidoczne dla mieszczuchów. Za to chciwy podziwu dla swego sędziwego wieku 60-letni „San” wiązał na wprost Muzeum Mor-skiego i dalej „Piast”, reprezentacyjny król tych wód tuż przy Tawernie Por-towej. Knajpiarz wybrał „dobry punkt” (ale w złym czasie). Tu się skupiało życie portowe, załazek, jak przed woj-ną u „Piątka” w Gdyni. Wpadał w pa-triotyczne uniesienie, kiedy u niego podnosili toasty za Szczecin, za port. Cóż, biedny, nie przewidział dialekty-ki dziejów. Dziś nie ma śladu z rude-ry, w której przedsiębiorczy knajpiarz z takim mozołem urządził swoją Ta-wernę Portową. Nawet nazwa jest dziś przeżytkiem. Obecnie powstaje tu jeden z najpiękniejszych i najwięk-szych bulwarów Europy — Vasco da Gama.

Nocami cisza i czerń przesłaniały port. Przy księżycu odważne zakocha-ne pary na Wałach Chrobrego cieszy-ły srebrne smużki rzek i kanałów tego ogromu pustkowie. Zamarły port smu-cił przechodzącego marynarza. We dnie czasami jakiś statek przechodził i zni-kał w labiryncie ruin domów, hanga-rów i kranów.

Szczecinianie patrząc na to rumowis-ko różnie myśleli: kiedy to będzie port? Inni — to chyba nie zaraz. Nie-którzy wcale nie myśleli, nie mogąc tego pojąć. Szwedzcy marynarze, zna-jący Szczecin sprzed wojny, brali wę-giel i szybko uciekali z nim wątpiąc, czy port kiedykolwiek ruszy.

Smiesznie wyglądali Szczecinianie wraz z rodzinami podczas niedzielnych spacerów na Wałach Chrobrego. Wpa-dali w zachwyty na widok płynącego „Piasta”. Dziewczeta się nudziły i uwod-ziły marynarzy z SUM-u, MUR-u i innych biur. Odra też błyszczała nie-dzielnym słońcem podobnie jak w

Koźlu. Wszystkich ogarniał cięły zachwyty „jak tu ładnie”. Niektórzy z kamiennego nabrzeża łowili ryby na wędkę i żalowali, że nie ma trawki.

Od tego czasu wiele się zmieniło, poprzez dobór odpowiednich ludzi i szkolenie nowych kadr. Właśnie teraz w Kapitanacie Portu ma się ku końcowi Doksztalcający Kurs Zawodowy Załóg Pokładowych Taboru Pływającego SUM-u.

W małej, ciepłej świetlicy, jak w pomieszczeniu statkowym, skupiło się jeden przy drugim dwudziestu kilku młodych ludzi. Są to chłopcy pełni burzliwej siły z „Posejdonów” i „Malgos”, tak często widywanych na śmigłych motorówkach i na pękających holownikach, które targają dzioby i rufy lub boksują wyniosłe burty obcych statków. Są w swetrach, inni w mundurach oficerskich, siedzą przy stołach z głowami schyłonymi nad mapami. Kpt. Domaradzki stoi przy jednej grupie, pyta głośno o różne znaki w wiadomym miejscu. Tyczy się to wszystkich. Sledzą i zapytani imiennie, mają gotowe odpowiedzi. Nie ma żadnych wątpliwości w czytaniu map. Kpt. Domaradzki podnosi głowę, ma zadowolona minę.

— No i cóż, będzie się kapitanami. Podnosi się cicha wrzawa.

— Poczęstujecie mnie wtedy kielichem?

Podnosi się radosna wrzawa i głosy: — Na kielicha to pewno — ale nie tak od razu kapitanami. — Pełni są krytycyzmu i do nauki wzięli się bardzo odważnie. Jest też jakaś hojna rozrzutność kapitana, jak starszego kompana, który dzieli się po (koleżeńsku) swoim dwudziestokilkuletnim doświadczeniem teoretycznym i praktycznym. Tak się odbywa szkolenie dopóki odpowiednie szkoły nie dadzą nowych kadr.

— No a teraz jedziemy w podróż — mówi kapitan.

Znów wszyscy są skupieni. Ci chłopcy nie uczą się ze snobizmu, bo tak wypada, bo papa jest... Okazuje się, że nauka jest im konieczna do życia, jak chleb codzienny. Przed wojną, ze względu na swoje pochodzenie, nie mieliby ani jednego, ani drugiego. Wiedzą o tym i korzystają z tego bardzo zaboreczo.

Kapitan znów mówi. Podkreśla, że każda podróż zależna jest przede wszystkim od dobrego przygotowania. A więc trzeba sprawdzić dewiację, kompasu, przygotować mapy, książki do objaśnienia map, przyrządy kreślarskie, przyrządy nawigacyjne, wykreślić drogę i przeliczyć ją na kursy kompasowe. Szczegółowe przestudiowanie drogi, sprawdzenie kursu przy boi na górnym kompasie. Sterować tak samo według górnego kompasu w przeliczeniu na dolny. Nie wolno zapominać żadnego odcinka mapy, bo nie można się wrócić po nią.

— No a teraz w drogę.

Kapitan podaje w szerokości i długości miejsce wyjścia i spotkania, szybkość, czas wyjścia.

— A głębokość zanurzenia — ktoś pyta.

— Cztery metry, dobrze jest, sami już myślicie — dodaje wesoło.

Cała flota „Swarożyców” i „Posejdonów” idzie w rejs. Znów głowy chowają się nad mapami. Rudawy blondyn

kreśli tablicę dewiacyjną. Uważnie studiuje wschodni brzeg Danii, obsypany wyspami, mieliznami, latarniami i bojami. Ekierki i kątomierze idą w ruch. Narysowany kurs przeliczają na kurs kompasowy, doliczają dewiację. Odległość przeliczają na szybkość na godzinę ich statków i otrzymują czas w przybliżeniu, w jakim dojdą do oznaczonego miejsca. Oczywiście w praktyce jeszcze dochodzi wiatr i prąd. Między grupami jest rywalizacja, która lepiej obliczy i prędzej.

Niektórzy meldują ukończoną pracę. Kapitan zapisuje na tablicy, potem sprawdza. Ma tylko wątpliwości do jednego kursu.

— Trzeba wziąć większą głębokość — mówi. — Fala może osadzać statek dwa metry niżej i tak byście zostali na tym miejscu zawsze.

Jest zadowolony ze swoich uczniów, będą z nich marynarze.

— A teraz przerwa.

— Co teraz będzie? — słychać głos.

— Mińciel przyjdzie — wołają inni.

Ob. Mińciel ma wykłady z Polski Współczesnej. Nie tylko uczą się tu na dobrych specjalistów, ale i na świadomych obywateli.

— Po wykładach pomrugamy trochę Morsem — ktoś wola.

Jest nie mało nauki. A więc: nawigacja, wiedza okrętowa, przepisy prawa drogi, portowe, celne, WOP-u. Dokładna znajomość portu, trasy Świnoujście—Szczecin, locja i manewrowanie, Polska Współczesna, sygnalizacja i kilka godzin pierwszej pomocy lekarskiej.

Gabinet kapitana portu Domaradzkiego ma stosowność i widoczność jak mostku kapitańskiego. Pomieszczenia dyżurne przypominają takie pomieszczenia oficerów na statku. Są oczywiście obszerniejsze i wygodniejsze. Cały budynek cechuje wielka praktyczność śródookręcia. Jest to jego pomysł własny. Powstanie budynku Kapitanatu Portu jest podobne, jak i całego portu. Wprost się nie chce wierzyć, że tu stał spalony tartak, zamieniony na stajnię. Kpt. Domaradzki ma radosną pasję uczenia. Jest to już jego piąty kurs doksztalcający zawodowo ludzi. Nie jest chciwy swojej umiejętności. Pierwszy kurs pilotów w Szczecinie umożliwił mu uruchomienie portu i tak dalej usprawnia go. Ma w tym zresztą praktykę, poprzednio był kapitanem portu w Gdańsku. Coś niepojętego jest u niego, myśli już o ucieczce ze Szczecina, by robić nowe.

Chłopcy z „Posejdonów” i „Komarów” nie łatwo go zapomną. Co najciekawsze, że tu na wodach szczecińskich wytwarza się nowy typ marynarza śródlądowego, jedyny w Polsce. Przyjęli oni już rywalizację na spoglądających na nich z góry marynarzy pełnego morza. Już dziś uważają ich (za robotów), że nic nie potrafią robić bez oficerów. Ich zadziorność jest twórcza. Cóż, wojna skończy się na tym, że sami pójdą na pełne morze, już dziś rwą się na nie. Jest z nich dobry materiał.

I tak na przekór wszystkim trudnościom, do portu przychodzi dziś więcej statków, niż przed wojną. Panny się nie nudzą. Z Wałów Chrobrego ściele się ładna iluminacja, a kiedy w porcie znikną ruiny, będzie wtedy pierwszy w Polsce.

STANISŁAW WIT WILIŃSKI

Morze

Siła

*która odmierza nasze dni
wędrowaniem piasku,
pokornie upada nam do nóg,
wciąga w rybie oczy,
stojące nieruchomo
i żarłocznie.*

Siła,

bez której nie możemy żyć.

Płacząc,

jej solą obmywamy oczy.

Biegniemy ku niej tłumnie,

płonąc z miłości.

*Wyszlifowane kamyki na brzegu
pachną słońcem.*

i stopami Boga.

Niemal wszystko,

co wyrzuci nocą,

przyjmujemy o poranku

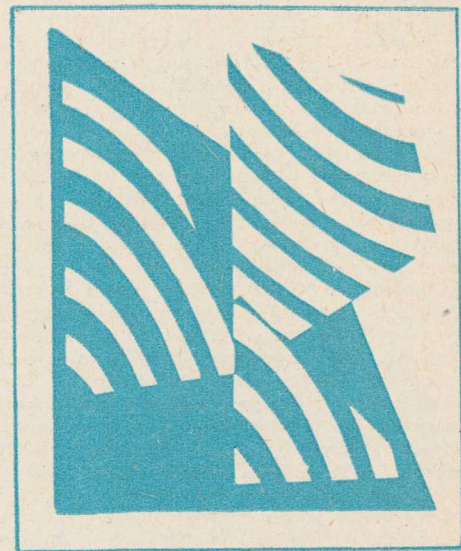
za najdroższy skarb.

*Ta nieśmiertelna siła wód
utopionych.*

Jej zielone serce

bezustannie uderza

o ściany ziemi.



Między naturą i kulturą: Homo sapiens in statu nascendi

Niewiele mamy czasu, aby myśleć o naszej sytuacji w świecie, aczkolwiek odczuwamy nieraz głębszą potrzebę takiego myślenia, potrzebę nagłą. Skłaniają nas do tego zwłaszcza doświadczenia przeżywania siebie i innych. Refleksję budzą przede wszystkim wielkie problemy współczesności, problemy społeczne i całej ludzkości. Od ich rozwiązywania — czujemy — zależą dalsze losy indywidualnej egzystencji ludzkiej. Któż z nas nie wie, że szybkie tempo rozwoju demograficznego na Ziemi istotnie utrudnia rozwiązanie do końca najstarszego problemu ludzkości — problemu wyżywienia; że gwałtowne i nieumiejętne korzystanie ze źródeł energii dla wybujałej konsumpcji produktów przemysłowych i technicznych, zmienia nieodwracalnie strukturę fizyczną i biologiczną naszej Planety w takim tempie, że z pokolenia na pokolenie żyjemy już na innej Ziemi; że szybko postępujący proces urbanizacji, powstawania wielkich aglomeracji miejskich i przemysłowych, rodzi nowe problemy socjo- i psychologiczne w zakresie relacji człowiek — człowiek; że największą groźbę stanowi obecnie dla człowieka nieokiełzany wyścig zbrojeń i polityczny podział świata na przeciwstawne sobie obozy polityczno-militarne.

Próby uzyskania globalnej orientacji na temat położenia człowieka, ustalenia diagnozy ogólnej jego kłopotów egzystencjalnych, gatunkowych i jednostkowych, ich etiologii, zabiegów terapeutycznych i rokowania, nie doprowadziły do wyników wspólnych. Przeciwnie, odmienne i przeciwstawne sobie perspektywy filozoficzne i naukowe, z jakich dokonuje się takich ustaleń, owocują równie odmiennymi i przeciwstawnymi sobie interpretacjami tego, co nazywamy „kondycją człowieka” (*humanum condition*). Różnorodność tych interpretacji polega głównie na wyróżnieniu odmiennych cech lub aspektów człowieka i jego behavioru, jako istotnych, tj. ustanawiających różnicę gatunkową dla *Homo sapiens*. Wyabsolutyzowanie jakiejś cechy gatunkowej w taki sposób, że wszystkie inne zostają jej podporządkowane, jeżeli nie są nawet uważane za czysto akcydentalne, powoduje, że w każdym razie występują one w roli własności instrumentalnych wobec samej istoty, w roli *modi existentiae* lub przejawu tego, co dla człowieka istotne. Mamy więc do czynienia z różnymi sposobami modelowania (a każda teoria jest jakimś modelem swego przedmiotu) struktury człowieka gatunkowego i — co za tym idzie — także jednostkowego; z różnymi sposobami organizacji tej tak bardzo wieloaspektowej i wielowarstwowej całości, jaką jest człowiek.

Wiek XX obfituje w znaczną ilość odmiennych filozoficznych modeli człowieka, wśród których najbardziej znane i szeroko rozważane były stanowiska egzystencjalizmu, personalizmu, fenomenologii, neotomizmu, teilhardyzmu, rozmaitych wersji fenomenalizmu i subiektywizmu, strukturalizmu, neopsychologii, behaviorizmu i szeregu wersji skrajnego naturalizmu. W każdym z nich inaczej konstruuje się „naturę” ludzką i w odmienny sposób interpretuje relacje człowiek — przyroda.

Wszystkie znane filozofie człowieka należą do jednej z dwóch koncepcji przeciwstawnych: naturalizmu lub supranaturalizmu, albo też oscylują między nimi. Jedynie marksizm podjął poważną próbę przewyższenia takiej perspektywy ujmowania człowieka i — jak dotychczas — tylko marksizm rozwija efektywnie teorię całokształtu bytu ludzkiego, bez popadania w deformujące absolutyzacje wybranych aspektów natury ludzkiej. Naturalizm — mówiąc ogólniej — uważa człowieka za byt przyrodniczy, należący do przyrody, podlegający prawidłowym zależnościom występującym w przyrodzie i dający się w całości wyjaśnić za pomocą praw przyrodniczych. Supranaturalizm dostrzega w człowieku swoisty element poza- i ponadprzyrodniczy, nie dający się opisać w kategoriach praw nauk przyrodniczych. Spór naturalizmu z supranaturalizmem, stanowiąc dominującą wersję fundamentalnego sporu materializmu z idealizmem, zachował swą pełną aktualność w wieku dwudziestym. W odróżnieniu jednak od tradycyjnych spirytualistycznych i mistycznych wersji supranaturalizmu występujących w średniowieczu oraz w XVI i XVII w., na początku wieku XVIII pojawiły się subiektywistyczne koncepcje człowieka, charakteryzujące się próbą pełnej autonomizacji immanentnej sfery życia ludzkiego. Subiektywno-fenomenalistyczna koncepcja człowieka zmierzała do przewyższenia opozycji zwierzę — anioł, w obrębie której sytuowano na różne sposoby w tradycyjnych szkołach filozoficznych byt ludzki. Zinterpretować ciało ludzkie w kategorii wewnętrznych przeżyć immaterialnego umysłu (Berkeley), a ponadto opisać umysł jako niepowtarzalną sekwencję percepcji (Hume), albo też wkomponować całość ludzkiego doświadczenia w spekulatywno-

-teoretyczną strukturę neutralnego monizmu (Mach, James), to z pewnością oznaczało znalezienie sposobu na uniknięcie kłopotliwej alternatywy: jest człowiek zwierzęciem, aniołem, a może czymś pośrednim? Prosty subiektywizm immanentystyczny okazał się wszakże zbyt ubogi, aby opisać całe bogactwo doświadczenia ludzkiego życia. I chociaż utrzymał się jako określona filozoficzna interpretacja, utrzymał się długo (głównie w filozofii brytyjskiej) — aż do połowy w. XX, to jednak nie odegrał znaczącej roli w filozoficznych dociekaniach nad naturą bytu ludzkiego. Inaczej pod tym względem wypadł idealizm transcendentálny. Kantyci i neokantyci wystąpili z nową koncepcją intelektu i zaproponowali inny sposób przewyższenia kłopotliwego dualizmu ciało — umysł. Jednakże apriorystyczna teoria czasu i przestrzeni oraz dualizm noumenów i fenomenów, która wraz ze skomplikowaną koncepcją struktury czystego intelektu miały tłumaczyć — przynajmniej w wymiarze epistemologicznym — tę działalność człowieka, której bez popadnięcia w paradoksy nie był już zdolny wyjaśnić dualizm ciała i ducha, nie zdołały uformować ani filozoficznej koncepcji jednostki ludzkiej, ani tym bardziej gatunku. Transcendentalizm kantowski, czy jakkolwiek inny, np. husserlowski, nie dysponuje żadnymi środkami teoretycznymi dla opisu i wyjaśnienia zjawisk społeczno-kulturowych. Stąd uzasadnione krytyki kantyzmu, z rozmaitych zresztą stron pochodzące. Marksistowska krytyka także nie pozostała bez wpływu na osłabienie pozycji kantyzmu. W wieku XX już nie kantyzm, lecz fenomenologia (głównie Husserl z *Idei II*) kontynuowała i rozwijała wątki transcendentalizmu, nie potrafiła z nich jednak uformować konkurencyjnej teorii bytu ludzkiego. Także fenomenologia odegrała pewną rolę (w niektórych sprawach nawet znaczną!) głównie w badaniach i sporach epistemologicznych, w szczególności w polemice z pozytywizmem, scjentyzmem i płaskim fenomenalizmem. Ale spór naturalizmu z supranaturalizmem o koncepcję człowieka, jako całości, trwał na wielu różnych płaszczyznach, głównie na płaszczyźnie ontologii (czyli metafizyki) w rozumieniu zarówno fenomenologów jak pozytywistów) oraz filozofii kultury. Faktycznie więc fenomenologia pozostała na uboczu; spośród fenomenologów wyjątkiem z tej bocznej uliczki fenomenologii transcendentálnej poszukiwał tylko R. Ingarden w Polsce.

Nowym objawieniem w sprawie egzystencji i natury człowieka miał być w XX w. egzystencjalizm. Objawienie polegało zaś na „odkryciu”, że człowiek nie ma gotowej natury, „czyli istoty, jednostkowej czy gatunkowej, z którą pojawia się w świecie. Zwierzę, roślina, kamień mają swą naturę, są bowiem „bytami w sobie”. Człowiek jest bytem szczególnym i w całej przyrodzie wyjątkowym: najpierw jest, najpierw uzyskuje swą egzystencję i dopiero w czasie swego trwania sam tworzy swą esencję, czyli istotę, naturę. Jego byt związany jest z przyrodą istnieniem, lecz nie naturą. W tym sensie człowiek nie należy do przyrody, nie należy do Natury. Z chwilą ogłoszenia tego objawienia egzystencjalizm wpada natychmiast w najprzeróżniejsze „pomieszania z popłątaniem”. Nie jest przede wszystkim w stanie wyjaśnić faktu istnienia człowieka, który to fakt pozostaje w egzystencjalizmie większą zagadką, tajemnicą, paradoksem, absurdem niż w jakiegokolwiek innej filozofii. Nie potrafi także ukazać przebiegu procesu samokreacji własnej natury u człowieka, jako „bytu dla siebie”. Tym bardziej niepojęte są w obrębie tego nurtu myślowego zjawiska kulturowe występujące w każdej społeczności ludzkiej, a nawet najprostsze powiązania między jednym człowiekiem, a drugim. Rozpatrywanie człowieka, jako esencjalnej nicości zamkniętej w zakłętym kręgu swego własnego bytu jednostkowego, bytu pozbawionego jakiegokolwiek esencjalnych powiązań z innymi bytami, czyniło w rezultacie z człowieka jeden wielki znak zapytania: skąd jest, czym ma być, po co jest? Gdy na pytania te i im podobne nie można było znaleźć choćby w przybliżeniu zadowalającej odpowiedzi, wszystko stało się zagadką i absurdem zarazem: absurdem jest to, że człowiek powstał; absurdem, że istnieje; absurdem, że umrze.

Egzystencjalizm był jednak prądem filozofii człowieka ważnym dla ewolucji poglądów w XX. Była to chyba ostatnia próba przewyższenia przeciwieństwa naturalizm — supranaturalizm z pozycji metafizyki, ostatnia próba totalnego pominięcia przyrodonoznawstwa i nauk społecznych. I chociaż filozofie Heideggera, Jaspersa, Sartre'a były programowo antynaturalistyczne, to jednak uniknęły pokusy łatwego (zbyt łatwego i wystarczająco już w filozofii zdezawuowanego) „rozwiązania” teistyczno-spirytualistycz-

czyli rzecz o kłopotliwym położeniu człowieka (Część I)

nego. Egzystencjalistyczna krytyka chrześcijańskiej koncepcji człowieka była nie mniej silna, a w niektórych punktach trafniejsza, niż krytyki wytaczane z pozycji neutralnego monizmu, pozytywizmu i skrajnego naturalizmu. Inaczej niż chrześcijaństwo próbował egzystencjalizm podnieść na nowo, w nowej sytuacji kulturowej, złożone problemy jednostki ludzkiej, sensu jednostkowego życia, podstaw moralnych ludzkiego działania. I chociaż trafnie akcentował ogólną tezę, że człowiek sam jest twórcą sensu swego istnienia, że od natury czysto biologicznych różni się kreatywną władzą tworzenia i przekształcania własnej natury, której w akcie swych narodzin ani nie zastaje, ani znikąd nie otrzymuje w postaci gotowej, to jednak nie potrafił znaleźć klucza do centralnego problemu filozofii człowieka. Problemem tym jest pytanie o relacje egzystencjalne i esencjalne człowieka jednostkowego do zbiorowości społecznej i przyrodniczego rodzaju *Homo*.

W jaki sposób był jednostkowy człowiek związany jest z bytem społecznym, a świadomość i natura jednostki ze świadomością i naturą grupy społecznej? Jakie z kolei zachodzą powiązania między kulturą jednostki i społeczeństwa, a ich biologiczną naturą, osobniczą i gatunkową? Pytania te okazały się centralne dla wszystkich rozważań o człowieku. Wiele złożonych aspektów z nimi związanych podniesiono z pozycji heglizmu i fenomenologii, strukturalizmu i psychoanalizy. Tradycyjne wersje filozofii chrześcijańskiej kontynuowane w w. XX, augustynizm i tonizm, nie wniosły mimo wysiłków Maritaina, Garigou-Lagrange'a, Sertillange'a, Gilsona niczego zasadniczo nowego. Interesującymi wyjątkami w obrębie chrześcijańskiej koncepcji człowieka okazały się filozofie Mouniera (personalizm chrześcijański), a w szczególności Teilharda de Chardin. Pierwsza kreśliła perspektywę człowieka jako osoby (*persona*), kształtującej swe życie w powszechnym rozumiejącym kontekście wspólnoty ludzkiej, wspólnoty odrzucającej moralność mieszczańską i zorganizowanej wedle socjalistycznych zasad społeczno-ekonomicznych. Jak Mounier spośród filozofów chrześcijańskich dokonał wyłomu nawijając w swej doktrynie społecznej wprost do marksizmu, tak Th. de Chardin — antropolog, filozof i teolog, członek zakonu Towarzystwa Jezusowego — obalił bariery wzniesione przez tradycję między chrześcijaństwem i nauką. Bez jakichkolwiek zastrzeżeń teologicznych zaakceptował przyrodoznawstwo i współuczestniczył w rozwijaniu ewolucyjnej teorii atropogenezy. Pojawienie się materii ożywionej, a następnie psychizmu i świadomości refleksyjnej (uczłowieczenie materii w ewolucyjnym procesie kompleksyfikacji systemu nerwowego, czyli tzw. cerebralizacji), tj. osiągnięcie stadium hominizacji i socjalizacji, prowadzi — zdaniem Teilharda — do przyspieszenia ewolucji nie tylko naszej Planety, lecz także całego Kosmosu. Ewolucja, której uczestnikami i świadkami jesteśmy na Ziemi, wkomponowana jest w ewolucję Wszechświata. Proces ewolucji, to proces organizacji i kompleksyfikacji materii, to postępowe przechodzenie materii rozproszonej w coraz bardziej zintegrowaną. Etapy tej ewolucji wyznaczają coraz to wyższe formy świadomości: ludzkiej i ponadludzkiej. W tym punkcie wykracza Teilhard poza materializm i naukowe przyrodoznawstwo. Wprowadza pojęcie Boga, jako źródła ewolucji, wyznacza jej kierunek i ostateczny cel ewolucji materii. W punkcie Omega ewolucji świata, tj. u kresu najwyższej kompleksyfikacji i personalizacji życia świadomego, ma nastąpić coś w rodzaju ześrodkowania Wszechświata w Bogu, w najwyższej zasadzie uduchowienia i personalizacji. Taka wizja ostatecznych wyników naturalnej ewolucji świata materialnego jest już jednak sprawą samej tylko wiary, a nie nauki i argumentacji. Nauka i filozofia racjonalna nie zajmują się prorocstwami.

Rzeczywistym i niepozornym tematem rozważań nad sytuacją człowieka w świecie jest zagadnienie relacji człowiek — społeczeństwo — przyroda. Dla uzyskania pełnego obrazu tej sytuacji, nauki biologiczne, społeczne, psychologiczne i filozoficzne muszą zintegrować wyniki swych badań oraz traktować zastosowane w nich metody badań, jako komplementarne, wzajemnie dopełniające się. Całościowa interpretacja człowieka była jednak zawsze i nadal pozostaje sprawą filozofii.

Zarys programu pełnej filozofii człowieka powstał ponad sto trzydzieści lat temu, gdy Marks i Engels obalając ograniczenia spekulacji nie tylko wystąpili przeciw supranaturalistycznej i wszelkiej idealistycznej interpretacji człowieka, lecz ukazali także rzeczywiste źródła supranaturalistycznych mistyfikacji oraz materialistyczno-mechanistycznych uproszczeń w pojmowaniu człowie-

ka. Powołać do istnienia nową filozofię człowieka oznaczało oprzeć ją na punkcie widzenia nauki, ale ten punkt widzenia trzeba było dopiero wyznaczyć. W tym sensie naukowa filozofia człowieka rodziła się wraz z powstawaniem fundamentów nauki o człowieku rzeczywistym. Naukowy punkt widzenia zawiera z pewnością perspektywę wyłaniania się człowieka z przyrody pozaludzkiej, jednakże naukowość tej perspektywy zależy od sposobu wyjaśnienia przebiegu samego procesu pojawiania się człowieka społecznego. Sama ta perspektywa sięga czasów z prehistorii myślenia racjonalnego, jej unaukowanie natomiast rozpoczęło się przed stu trzydziestu laty. Dopiero Marksowi udało się pokazać proces kształtowania się kultury społeczności ludzkiej, proces mozolnej, tysiące lat trwającej, autokreacji człowieka poprzez społecznie zorganizowaną, utrwaloną i rozwijaną praktykę działalności wytwórczej.

Fundamentem marksistowskiej antropologii jest odkrycie egzystencjalnych warunków rozwoju człowieka, jako człowieka, tj. odkrycie społeczno-ekonomicznych prawidłowości wyznaczających rozwój rodzaju *homo*, decydujących o kształtowaniu się gatunku *sapiens*. Sama biologia, tj. biologia obciążona „biologizmem”, czyli filozoficzną i metodologiczną tendencją bio-neurofizjologicznego redukcjonizmu, nie jest w stanie opisać adekwatnie, bez uproszczeń, procesów i zjawisk społeczno-kulturowych. Na tym polegała ograniczoność dawnego przeddialektycznego materializmu, popadającego notorycznie w błędy biologistycznego naturalizmu. Wprowadzenie do nauki, o człowieku, a więc i do filozofii człowieka, kategorii praktyki społecznej, wyprowadzonej z naukowej analizy procesu pracy, oznaczało uzyskanie nowego narzędzia teoretycznego dla wyjaśniania procesów antropogenezy, w tym genezy zjawisk społeczno-kulturowych. Praktyce produkcyjnej bowiem, czyli społecznemu systemowi organizacji pracy, towarzyszyła zawsze nierozzerwalnie związana z nią praktyka przekształcania stosunków społecznych, praktyka formułowania, utrwalania i przekazywania kulturowych algorytmów efektywnego działania człowieka w otoczeniu przyrodniczym i społecznym. Terminem „algorytmy kulturowe” możemy oznaczyć wszelkie sprawdzone w praktyce społecznej, utrwalone i z pokolenia na pokolenie przekazywane reguły określające procedury uzyskiwania adekwatnej orientacji w otoczeniu (algorytmy epistemologiczne), reguły formułowania planów (czyli hierarchii celów), działania na bazie uświadomionych potrzeb jednostki lub grupy (reguły aksjologiczne), programów działania efektywnego (reguły operacyjne) oraz postulatów dotyczące sposobów oceny działania (resp. zachowania się) jednostki lub grupy społecznej oraz wyników tego działania (reguły ocenające). Kulturę możemy teraz określić, jako całokształt zobiektywizowanych wytworów działalności człowieka oraz zbiór algorytmów kulturowych.

Objaśnić w sposób naukowy sytuację człowieka w świecie, przede wszystkim zaś w społeczeństwie, oznaczało przede wszystkim objaśnić zjawiska kulturowe. Kluczem do takiego objaśnienia stała się właśnie Marksowska kategoria *praxis* oraz teoria o prawidłowych przekształcaniach jakościowych praktyki społecznej, zarówno w sferze bazy społeczno-ekonomicznej, jak i nadbudowy społecznej. Odkrycie tych prawidłowości i sformułowanie podstawowych praw nauk społecznych (ekonomii, socjologii, psychologii społecznej, teorii kultury i sztuki itp.) umożliwiło sformułowanie programu naukowej filozofii człowieka i rozpoczęcie jego realizacji.

Program jest obszerny, a ilość zadań w nim formułowanych stale rośnie. Mówiąc najogólniej i w ogromnych skrótach, zmierzają one do uzyskania orientacji w całokształcie wielowarstwowej budowy człowieka jednostkowego, do odkrycia istotnych relacji i zależności występujących zarówno między jednostką ludzką a społeczeństwem, jak między społeczeństwem a światem pozaludzkim oraz do sformułowania ogólnych praw jednostkowego i zbiorowego działania (sposobu życia) człowieka. O zasięgu całego programu i skali trudności jego realizacji świadczy już sama — we fragmentach tylko poznana — wielowarstwowa budowa człowieka, w tym jego organizm. Sam tylko organizm ludzki może być rozważany przy pomocy narzędzi teoretycznych szeregu nauk przyrodniczych: biologii, genetyki, anatomii, fizjologii, etologii, neurologii, ekologii, biochemii, biofizyki, chemii, biologii molekularnej, szeregu dyscyplin fizyki, w tym atomistyki aż do mechaniki kwantowej włącznie. Każda z tych dyscyplin z osobna wzięta ma własne nie rozwiązane zadania i coraz szerszy program rozwojo-

(dokończnie na str. 60)

ZIEMIA JAKO ŚRODOWISKO

W latach 1911—1913 L.L. Woodruff opublikował wyniki swoich obserwacji nad hodowlami pierwotniaków w zamkniętych układach. Z badań tych wynikało jednoznacznie, że żaden gatunek nie był zdolny do trwałego utrzymywania się w hodowli. Po początkowym okresie intensywnego wzrostu następował gwałtowny spadek liczebności populacji. Zmiany w środowisku, wywołane działalnością życiową gatunku uniemożliwiały mu dalszą egzystencję lub były przyczyną drastycznej redukcji liczebności. Wszystkie późniejsze obserwacje, prowadzone na innych gatunkach zwierząt, potwierdziły wyniki obserwacji Woodruffa.

Pomiędzy Ziemią, jako planetą, a akwariami Woodruffa nie ma istotnej różnicy w interesującym nas aspekcie, ponieważ zarówno akwarium, jak i planeta, jaka by nie była duża, są układami zamkniętymi odpowiednio dla pierwotniaków i dla ludzi. Ziemia jest i pozostanie prawdopodobnie dla człowieka układem zamkniętym w tym sensie, że trwałe życie człowieka poza Ziemią, pomijając względy techniczne, finansowe i zdrowotne, uważam za niemożliwe ze względów psychicznych.

Jeżeli potrafimy jakoś pogodzić się z tym, że tworzenie kolonii ludzkich, mających na celu trwałe osiedlanie się ludzi poza Ziemią, jest i pozostanie w sferze „science fiction”, to jednak nasuwa się drugie pytanie: czy wyniki opisujące dynamikę liczebności populacji zwierzęcych w układach zamkniętych można przenosić na człowieka. Dla niektórych czytelników nie będzie zupełnie oczywiste, ponieważ niezależnie nawet od współczesnego stanu wiedzy również i obecnie w szkole średniej wpaja się młodzieży, że człowiek jest „naj...” pod każdym względem i, bardzo często, jest to jedyna rzecz, jaką np. kandydat na studia wyższe, zdający egzamin z biologii, potrafi powiedzieć. Zaczniemy od tego, że chcemy czy nie chcemy, jesteśmy jednym z gatunków biologicznych i jako taki podlegamy wszystkim prawom ekologicznym, w tym również prawom opisującym dynamikę populacji w układzie zamkniętym. Przypuszczam, że pomory w średniowiecznych miastach są przekonującym dowodem na działanie tych samych mechanizmów regulacji liczebności w populacjach ludzkich i zwierzęcych.

Po tych ustaleniach wstępnych, że człowiek jest gatunkiem biologicznym i że Ziemia jest dla człowieka układem zamkniętym, należałoby bliżej nieco poznać sam mechanizm regulacji ilościowej. W ogólnych zarysach historia populacji przedstawia się następująco. Wprowadzona niewielka ilość osobników danego gatunku, jeżeli znajdzie odpowiednie warunki, rozmnaża się, przy czym przyrost liczebności jest coraz szybszy. Po pojawieniu się pierwszych oznak przegęszczenia w rodzaju uszkodzeń środowiska czy też, mówiąc ogólnie, gorszej kondycji zwierząt, ma miejsce gwałtowny spadek liczebności, zwykle do $\frac{1}{3}$ maksymalnego zagęszczenia. Ustala się stały niższy poziom liczebności; mogą powtarzać się wahania liczebności lub też gatunek zanika całkowicie. Na jego miejscu podobną historię przechodzi nowy gatunek lub pozostała część populacji.

Wraz ze wzrostem populacji łatwo zauważalne stają się następujące czynniki ekologiczne, które później spowodują katastrofę. Są to:

- zmniejszenie ilości pożywienia, przypadającej na jednego osobnika,
- nagromadzenie ekskrementów i produktów ich rozkładu,
- chemiczne i fizyczne zmiany zachodzące w otoczeniu lub w podłożu,
- choroby zakaźne; pasożyty opanowują populację znacznie szybciej przy zwiększonym zagęszczeniu.

Czynniki te wpływają bezpośrednio na organizmy w wyniku czego obserwuje się w populacji następujące zjawiska: obniżenie płodności, opóźnienia w rozwoju organizmów — zarówno w okresie embrionalnym jak i postembrionalnym, zmniejszenie rozmiarów dorosłych organizmów, wzrost ilości zachowań agresywnych, stressów etc.

Powstaje pytanie, czy poza ogólnym stwierdzeniem, że jesteśmy jednym z gatunków biologicznych i jako taki podlegamy prawidłowościom ekologicznym, istnieją jakieś analogie do typowej historii populacji gatunku zwierzęcego w

historii ludzkiej? Istnieje prawidłowość ekologiczna, dzięki której liczebność gatunku jest odwrotnie proporcjonalna do wielkości jego osobników. Nie wnikając w szczegóły chciałbym tylko zasygnalizować, że ilość kotów musi być dużo mniejsza niż ilość myszy. Człowiek jest gatunkiem, którego osobniki osiągają stosunkowo duże rozmiary i dopóki żył on w stanie natury liczebność jego nie była wysoka. W epoce kamiennej oceniamy ją na jeden milion, przy czym w ciągu dość długiego okresu była to liczba stała, uwarunkowana aktualnymi możliwościami wyżywienia i „mieszkania”. W okresie lodowcowym rozpoczął się rozwój technologii, co umożliwiło wzrost ilościowy populacji ludzkiej w skali globu. Był to jednak proces stosunkowo wolny. Pierwszy miliard osiągnęła ludzkość około roku 1850. Drugi w roku 1930, trzeci w roku 1960 a czwarty w ostatnim czasie. Przy utrzymaniu tego tempa wzrostu populacji piąty miliard pojawi się w latach 1985—1986, szósty około roku 1993—1996, a siódmy wkrótce po roku 2000. Widzimy więc, że pod względem tempa wzrostu liczebności nie różnimy się niczym od populacji innych gatunków. Przyrost ten, początkowo bardzo wolny, ulega na naszych oczach gwałtownemu przyspieszeniu. Obecnie populacja ludzka na Ziemi przyrasta w oszałamiającym tempie 200 000 osób dziennie. I nie ma żadnych oznak jego hamowania. Można przypuszczać, że zbliżamy się do tego momentu krzywej wzrostu populacji, w której ulega ona załamaniu. Zwykle przed wystąpieniem katastrofy w badanych populacjach zwierzęcych obserwujemy zjawiska świadczące o przegęszczeniu, które wymieniłem poprzednio. Czy wywołuje je również populacja ludzka? I na to pytanie musimy niestety odpowiedzieć twierdząco.

Nie sposób oczywiście wymienić wszystkie aspekty zmian fizycznych i chemicznych wywołanych w środowisku przez rozwój populacji ludzkiej. Trzeba jednak stwierdzić, że są one liczne, poważne i co najważniejsze, pozostają w tzw. kontekście ekologicznym. Oznacza to, że każda zmiana wywołuje dalsze, często odległe i trudne do przewidzenia. Np. wiadomo obecnie, że epoka lodowa, którą straszysz się nas od czasu do czasu, została spowodowana spadkiem średniej temperatury powierzchni Ziemi w granicach 5—8°C. Z drugiej strony stopnienie istniejących obecnie czap lodowych na biegunach pociągnęłoby za sobą zalanie olbrzymich obszarów najurodzajniejszych gleb nizinnych, a Moskwa stałaby się portem morskim. Wymaga to również niewielkiego przesunięcia in plus temperatury powierzchni Ziemi. Człowiek działa w obu tych kierunkach, przy czym działania te niestety nie równoważą się. Mniej więcej do roku 1960 obserwowano podnoszenie się średnich temperatur na Ziemi, związane ze wzrostem CO₂ w atmosferze w granicach 10—14%, w stosunku do roku 1900. Obecnie średnie temperatury mają jednak tendencję spadkową. Wynika ona ze zmniejszonego dopływu energii promienistej Słońca do powierzchni Ziemi, na skutek wzrostu zapylenia atmosfery. 10—20-krotny wzrost zapylenia atmosfery może spowodować spadek średniej temperatury powierzchni Ziemi z obecnych 15°C do 4°C, co byłoby oczywiście totalną katastrofą ekologiczną.

Dalszym przykładem skomplikowanych zależności pomiędzy samymi organizmami może być próba zlikwidowania epidemii malarii, podjęta w Malezji w latach sześćdziesiątych. Próba ta skończyła się wywołaniem epidemii dżumy. Wiadomo, że zarazki malarii dostają się do krwi człowieka w wyniku ukąszeń komarów. Wobec tego zastosowano silny środek owadobójczy, który zmniejszył radykalnie ilość komarów, a także żywiących się nimi karaluchów. Brak karaluchów spowodował zmniejszenie się liczebności jaszczurek i na tej samej zasadzie — kotów. Przy ich braku wzrosła gwałtownie populacja szczurów, na których pasżyływały wszy i pcheły, będąc nosicielami dżumy. Na szczęście w tym momencie wkroczyli ekologowie ze światowej Organizacji Zdrowia, którzy zdołali jeszcze zapobiec deratyzacji. Wywołałaby ona masową inwazję pozabawionych nagle żywicieli pcheł i wszy na ludzi, a tym samym dalszy rozwój dżumy. Na zagrożone obszary dostarczono natomiast dużą ilość kotów (na spadochronach) co przyczyniło się do ponownego

ŻYCIA CZŁOWIEKA

ustalenia delikatnej równowagi w opisanym łańcuchu odżywczym.

Spośród wielu zmian środowiska abiotycznego, wywołanych przez człowieka, chciałbym pokrótce przedstawić tzw. kryzys tlenowy. Około 70% tlenu atmosferycznego jest wynikiem fotosyntezy planktonu oceanicznego, a 30% powstaje dzięki fotosyntezie roślin lądowych, w największej mierze drzewiastych. Całość tlenu atmosferycznego jest wynikiem aktywności biologicznej, a jego zasoby atmosferyczne utrzymują się dzięki niewielkiej (w stosunku 1:10 000) przewadze produkcji nad zużyciem. Równowaga ta jest więc niezwykle delikatna i ponieważ powstała w epoce preindustrialnej, nie jest przystosowana do obciążeń stwarzanych przez przemysł i transport.

Działalność człowieka prowadzi z jednej strony do zmniejszenia liczebności i wydajności producentów tlenu, z drugiej strony do wzrostu jego zużycia. Na zmniejszenie wydajności tlenowej morskiego planktonu w sposób wymierny wpływają środki chwastobójcze i owadobójcze, spływające do oceanów z wodami śródlądowymi. Ponadto zapylenie atmosfery i zanieczyszczenie powierzchni oceanów, po której pływają całe wyspy opakowań plastikowych i grudki mazutu, zmniejsza dostęp energii słonecznej do powierzchni oceanów. Obliczono, że katastrofa trzech statków wielkości „Torrey Canyon”, załadowanych środkami chwastobójczymi, spowodowałaby zupełne załamanie się fotosyntezy planktonu morskiego. A cóż dopiero katastrofa statku wielkości „Amoco-Cadis”. Poza rozważaniami pozostaje ogromna ilość gazów bojowych, zatopionych w różnych częściach oceanów i mórz w okresie po II wojnie światowej oraz radioaktywne odpady z elektrowni atomowych. Na lądzie lasy, które są najwydajniejszym producentem tlenu, zastępuje się uprawami zbożowymi, czy wręcz powierzchniami asfaltowymi lub betonowymi.

Zużycie tlenu przez przemysł i transport jest niewyobrażalnie duże i ma stałe tendencje wzrostowe. Spalanie węgla, ropy i gazu pochłaniało około roku 1970 15% biologicznej produkcji tlenu, a w ciągu 30–40 lat będzie powodowało obniżenie poziomu tlenu w atmosferze. Sam tylko transport samolotowy zużywał w roku 1970 około 16 mln ton tlenu rocznie, a do roku 2000 zużycie to wzrośnie 10-krotnie.

Jak już wspominałem układ utrzymujący na stałym poziomie tlen w atmosferze nie jest przystosowany do tego rodzaju obciążeń i nie możemy oczekiwać, ażeby im sprostał. Należy wręcz przypuszczać, że w ciągu najbliższych kilkudziesięciu lat margines bezpieczeństwa tlenowego stanie się tak niewielki, że cały układ może zostać nieodwracalnie zniszczony, przez jakiś sam w sobie mało znaczący przypadek.

Wielu techników, ekonomistów i polityków uważa mimo wszystko, że ludzkość potrafi przezwyciężyć trudności wynikające z fizycznych i chemicznych zmian środowiska. Zwykle nie biorą oni jednak pod uwagę tego, co można nazwać kontekstem ekologicznym. Jeżeli mowa np. o głodzie, wyliczają oni ile to jeszcze tysięcy czy milionów hektarów ziemi można wziąć pod uprawę, zapominając ile miast, dróg, lotnisk itp. trzeba zbudować dla przybywających szybko milionów. Inni widzą od lat obfite źródło pokarmu w oceanach, zapominając o rtfci oraz środkach owadobójczych i chwastobójczych, które już teraz wyłączają z eksploatacji niektóre akweny. Nie ma jednak żadnej wątpliwości, że tzw. przestrzeń życiowa jest wielkością, której nie można w żaden sposób zwiększyć. Zastanówmy się wobec tego, czy dla człowieka jest obojętne w jakim żyje zagęszczeniu. Wszystkie doświadczenia na zwierzętach, jak i obserwacje populacji ludzkich wskazują, że zagęszczenie populacji wywiera bardzo istotny wpływ na zwierzęta i ludzi jeszcze przed wyczerpaniem zasobów pokarmowych i przed ostatecznym zniszczeniem środowiska.

U ssaków po przekroczeniu charakterystycznego dla każdego gatunku zagęszczenia, występuje cały zespół zjawisk, prowadzących do zahamowania wzrostu populacji. Są to: zmniejszone zainteresowanie matek swoim potomstwem, wzrost częstości zachowań homoseksualnych u obu płci,

wzrost częstości zachowań agresywnych, szczególnie u młodych osobników męskich, wreszcie kanibalizm.

Dokładniejsze badania słoczonych zwierząt wskazują na patologiczne powiększenie nadnerczy, szczególnie u osobników młodocianych. Nadnercza są gruczołami wydzielania wewnętrznego a hormony z nich pochodzące wyzwalają u ssaków między innymi tzw. zespół alarmowy, przygotowujący organizm do ucieczki lub walki. Jest to uzasadnione w przypadku zagrożenia, natomiast szkodliwe jeżeli powtórza się zbyt często bez istotnej potrzeby, gdyż powoduje wówczas tzw. stress, który wśród charakterystycznych objawów może prowadzić nawet do śmierci osobnika. Mechanizm uruchamiania reakcji alarmowej wykształcił się ewolucyjnie w sytuacji, gdy każde spotkanie z obcym osobnikiem mogło być zagrożeniem. Przy nadmiernym słoczeniu ilość tego rodzaju kontaktów między obcymi osobnikami przekracza wydolność organizmów do przechodzenia reakcji alarmowej i wywołuje zespół zwany stresem.

Powstaje pytanie, czy znamy podobne przypadki w populacji ludzkiej? I na to pytanie każdy może właściwie sam odpowiedzieć twierdząco. Miasta, a szczególnie duże skupiska ludności powyżej miliona, ale również poniżej tej granicy, utrzymują się i rozwijają w znacznej mierze dzięki napływowi ludności wiejskiej, gdyż przyrost rdzennej ludności wiejskiej nie jest duży. Głównie w miastach występuje też problem dzieci porzuconych, czy zaniedbanych. Tzw. choroby cywilizacyjne, a więc choroby nowotworowe, układowe, przewodu pokarmowego, nerwice, choroby psychiczne z alkoholizmem włącznie występują znacznie częściej w dużych miastach. Wreszcie wzrost ilości zachowań agresywnych i aspołecznych, w tym także samobójstw jest charakterystyczny dla dużych miast. Są to mechanizmy wewnątrzpopulacyjne, działające obiektywnie w kierunku zmniejszenia gęstości populacji.

Czy wynika z tego, że populacja ludzka jest już zbyt liczna? Sądząc z występowania wymienionych zjawisk gęstość zaludnienia w miastach jest już o wiele za wysoka. Nam chodzi jednak o całą Ziemię i wobec tego musimy znaleźć jakieś inne kryterium. Najprościej będzie po prostu zdefiniować populację optymalną i otrzymać w ten sposób jakiś punkt odniesienia. Definicja taka istnieje. Optymalną populacją człowieka nazywamy takie maksimum liczebności, które można utrzymać nieskończenie długo bez pogorszenia stanu zdrowia osobników, spowodowanego zatruciem środowiska lub też stressami społecznymi czy brakami żywymi. W jakim stosunku pozostaje liczebność populacji ludzkiej do możliwości naszej planety można zbadać również na podstawie jej bilansu energetycznego. Otóż przy istniejącej strukturze ekosystemów człowiek może wykorzystywać około 1% energii słonecznej, związanej w procesie fotosyntezy. Aktualna wielkość populacji ludzkiej jest nieco za duża w stosunku do dostępnej w ten sposób energii. Oczywiście możemy jej używać znacznie więcej, ale łączy się to z koniecznością zlikwidowania tzw. „nieproduktywnych gatunków” i do skrajnego uproszczenia łańcuchów odżywczych. W praktyce oznaczałoby to pełną likwidację ekosystemów bezpośrednio nieprodukcyjnych i odżywianie się wyłącznie pokarmem roślinnym. Przy obecnym poziomie nauki i techniki prowadziłyby to do totalnej katastrofy, nie mówiąc już o urodzie czy jakości życia. Ostatecznie jednak i tak nie unikniemy konieczności ograniczenia przyrostu ze względu na przestrzeń. Lepiej zrobić to wcześniej, gdy panujący łańcuch jest jeszcze do zniesienia.

Przedstawione i inne jeszcze fakty zdają się wskazywać, że aktualna populacja 4 miliardów jest już nieco za duża. Zupełnie realne prognozy demograficzne przewidują 7 miliardów około roku 2000, przy czym wszystkie dotychczasowe prognozy demograficzne okazały się zaniżone w konfrontacji z rzeczywistością.

Co nas wobec tego czeka? Paradoks obecnej sytuacji polega na tym, że w określonych kręgach — i trzeba to wyraźnie powiedzieć, przede wszystkim wśród biologów — od

(dokończenie na str. 60)

JERZY
JURCZYK



FESTIWAL POLSKIEGO MALARSTWA WSPÓŁCZESNEGO

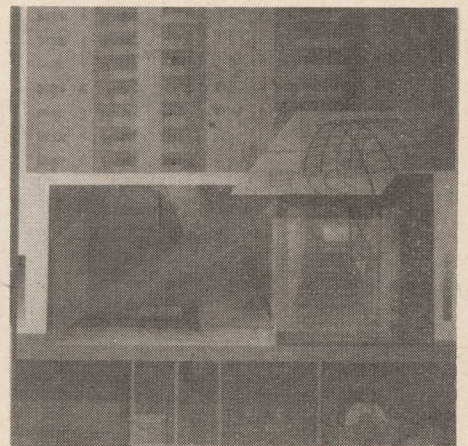
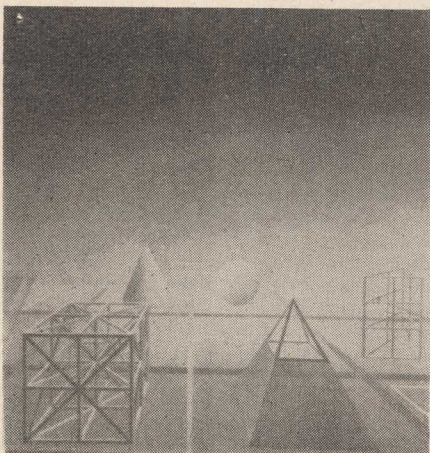
Rok 1962 — Alfred Lenica, 1964 r. — Eugeniusz Geppert, 1966 r. — Józef Hałas, 1968 r. — Tadeusz Dominik, 1970 r. — Kazimierz Ostrowski, 1972 r. — Janusz Przybylski, 1974 r. — Marian Bogusz, 1976 r. — Izabela Gustowska i... 1978 r. Ryszard Kiełtyka.

Wielokrotnie, przy okazji kolejnych szczecińskich Festiwali Polskiego Malarstwa Współczesnego, powracało pytanie, czy impreza ta stanowi pełny obraz aktualnej sytuacji w naszym malarstwie. Odpowiedź brzmiała: cząstkowy, niepełny. Zresztą przed postawieniem tego pytania, należało się zastanowić, czy istnieją realne szanse, by jakakolwiek impreza plastyczna mogła sprostać takiemu zadaniu. Jest to zadanie prawie niewykonalne: zgromadzić czołówkę malarską, a jednocześnie zmobilizować do udziału awangardę plastyczną i zapewnić przegląd — na równych prawach — wszystkich nurtów, tendencji, szkół, środowisk i generacji. Do realizacji takiego programu szczeciński festiwal samobójczo dążył już od samego początku. Najwięcej szans na realizację tych założeń istniało na początku lat 60-tych, gdy Festiwal Polskiego Malarstwa Współczesnego był jedyną tej wielkości imprezą malarską. Ponadto środowisko plastyczne wiązało z po-

jawieniem się FPMW pewne nadzieje. Były one jednak zbyt mgliste, niesprecyzowane i potrzeba określenia programu szczecińskiego festiwalu staje się coraz bardziej konieczna.

Na wstępie dokonałem chronologicznego rejestru laureatów najwyższego wyróżnienia, jakie mogło spotkać uczestnika Festiwalu Polskiego Malarstwa Współczesnego: „Grand Prix” Ministerstwa Kultury i Sztuki. Ten zestaw 9 nazwisk wskazuje dość istotny kierunek przewartościowań dokonujących się w myśleniu o funkcji FPMW. Można powiedzieć, że ścierały się jakby dwie tendencje. Dążenie do petryfikacji ustalonej hierarchii malarskiego światka napotykało na opór tendencji do rozbitcia ustalonego wzorca i kreowania przez festiwal nowej, własnej skali wartości. Przyznać jednak trzeba niestety, że silniejsza była pierwsza tendencja. Można zaryzykować tezę, że „Grand Prix” w większości wypadków stanowiło jedynie potwierdzenie wcześniej dokonanych ocen i „oficjalnie” ustalonej pozycji malarza. Z perspektywy kilkunastu lat patrząc na historię „Grand Prix” trzeba powiedzieć, że najbardziej może niewątpliwe i słuszne było nagrodzenie Alfreda Lenicy, przeżywającego wówczas swój znakomi-

ty okres, gdy skryzalizowała się jego bardzo oryginalna wizja malarska. Spontaniczności i żywiołowości malarstwa Lenicy, przynależnej do rodzaju abstrakcji „cieplej”, posiadającej wiele cech wspólnych ze sztuką gestu i z taszyzmem, można przeciwstawić bardzo wysmakowane, dekoracyjne kompozycje Eugeniusza Gepperta. „Grand Prix” dla Gepperta w roku 1964, gdy bardzo aktywnych było wielu innych, z pewnością ciekawszych malarzy, świadczyło o tym, że szczeciński festiwal, dokonując kompromisu między tradycją i awangardą, odbierał nadzieje na pełnienie przez tę imprezę funkcji stymulatora eksperymentów malarskich. Bardzo jasnym momentem w historii FPMW jest „Grand Prix” dla Józefa Hałasa, który panującemu wówczas powszechnie w naszym malarstwie intuicyjnemu stosunkowi do materii malarskiej, próbował przeciwstawić świadome, niezwykle racjonalne porządkowanie struktur malarskich. Następne nagrody dla Tadeusza Dominika (kontynuacja tradycji polskiego koloryzmu) oraz dla Kazimierza Ostrowskiego (malarstwo dekoracyjne, o skłonnościach do Légerowskiego monumentalizmu) były dowodem uznania dla twórców, wprawdzie bardzo zasłużonych i interesujących, lecz w danym momen-



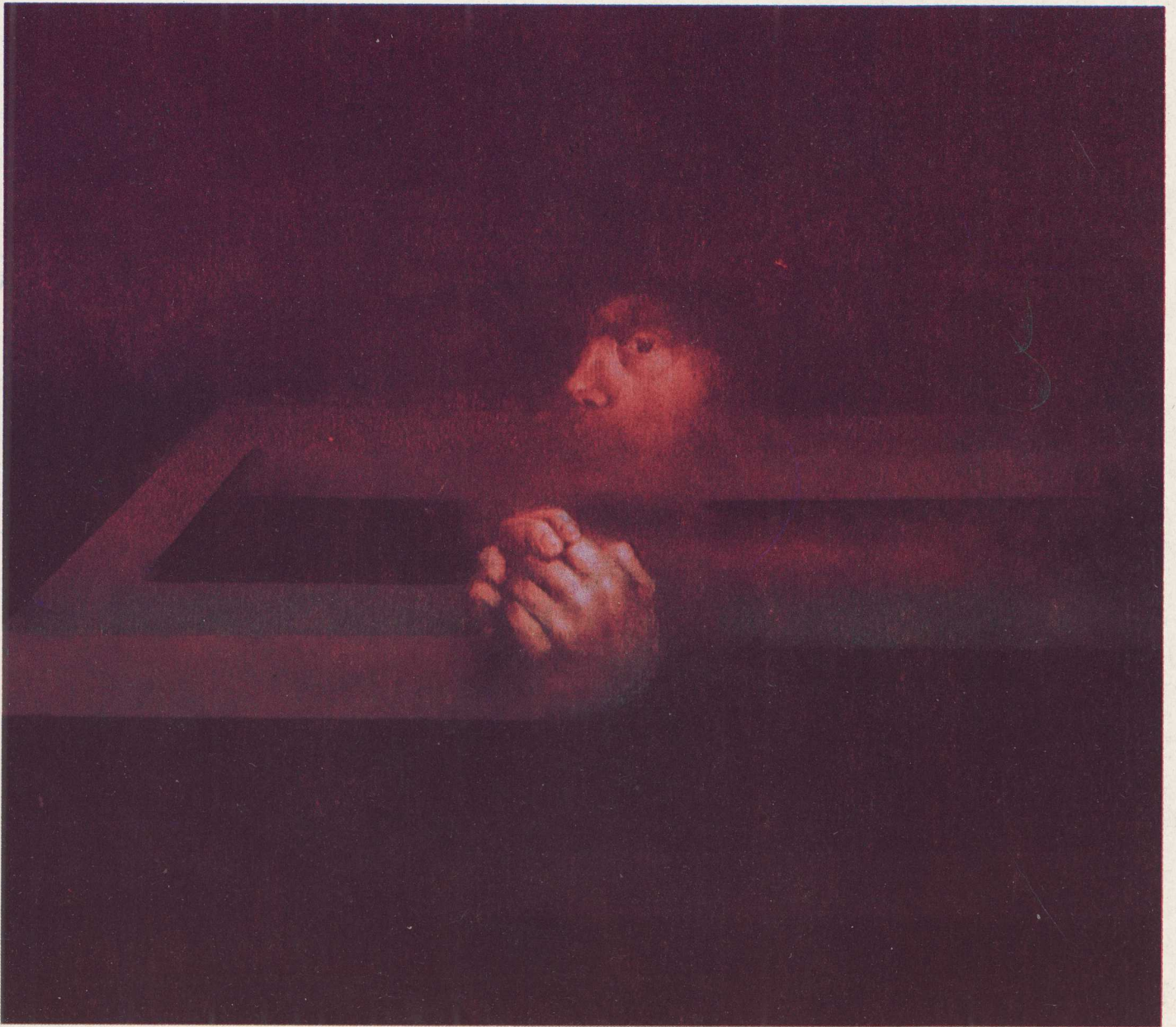


Foto. S. Pleśniarowicz

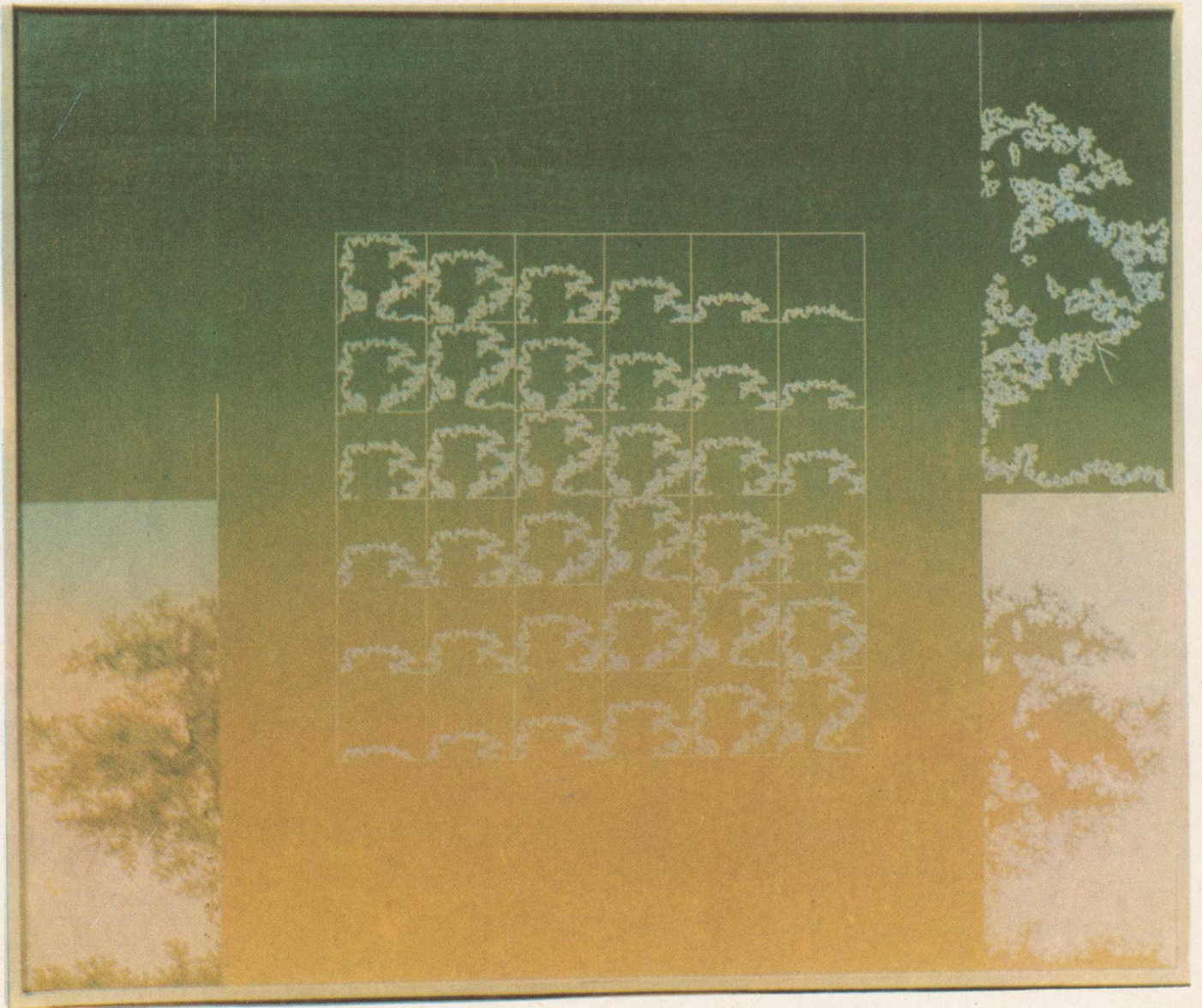


Foto. W. Termanowski

cie mających jednak za sobą okres swych najciekawszych poszukiwań i mających wśród polskich malarzy o wiele bardziej ciekawych „konkurentów”. Te dwie nagrody świadczyły raczej o pewnym asekuranctwie jurorów. Zwycięstwo Janusza Przybylskiego stanowiło dowód zdominowania informelu oraz koloryzmu przez pop-art i nową figurację. Tendencja ta znalazła jednakże potwierdzenie w werdyktach jurorów FPMW zbyt późno. Chociaż „Grand Prix” dla Przybylskiego było w 1972 r. w pełni zasłużone. Przyznając, że w 1974 r. „Grand Prix” dla Mariana Bogusza budziło moje duże opory, jednak późniejsze rozwinięcie przez tego malarza prób zaprezentowanych na FPMW udowodniło wprowadzenie przez niego do naszego malarstwa nowych wartości. Istnieje duże podobieństwo, w sensie myślenia o funkcjach malarstwa, między obrazami Bogusza i pracami Józefa Hałasa. W obu wypadkach została potwierdzona prawda, iż „mniej znaczy więcej”. Aby tego dokonać, malarz musi mieć dużą dyscyplinę intelektualną. Intelktualizm cechuje również poszukiwania Izabeli Gustowskiej, której „Grand Prix” wywołało dwa lata temu znaczne poruszenie i kontrowersyjne opinie. Ostrość środków wyrazu stawia ją bardzo blisko Przybylskiego. W wypadku Gustowskiej po raz pierwszy zostały tak wysoko ocenione poszukiwania odległe od tradycyjnie rozumianej techniki i dyscypliny malarzkiej. Gustowska bowiem posługuje się w sposób dosłowny fotografią, nie obawiając się prowokowania stereotypowych gustów.

I wreszcie „Grand Prix” nr 9, czyli Ryszard Kiełtyka. Jest to bardzo znaczący przypadek. Po raz pierwszy w historii FPMW „Grand

Prix” czyli werdykt jury pokrywa się z opinią widzów. Cztery lata temu na VII FPMW Kiełtyka został laureatem plebiscytu publiczności oraz ex aequo z Andrzejem Gieragą laureatem nagrody dziennikarzy. W ciągu tych kilku lat charakter malarstwa Kiełtyki nie uległ zmianie. Nastąpiło jedynie bardzo wyraźne udoskonalenie warsztatu malarzkiego.

Nawiązywanie do formuł dawnego malarstwa — w sensie stylów historycznych — jest sposobem twórczym obecnie niezwykle popularnym. Ryszard Kiełtyka świadomie odwołuje się do tradycji romantycznego pejzażu, łącząc dawne rozwiązania piktoralne z bardzo współcześnie rozumianą zasadą narracji. Można powiedzieć, że dla Kiełtyki źródłem inspiracji mogły stać się w większym stopniu poszukiwania w filmie i fotografii (przenikanie się planów przestrzennych) aniżeli w malarstwie. Jeśli szukać będziemy analogii w plastyce, to prędzej znajdziemy je na gruncie grafiki niż malarstwa. Obrazy Ryszarda Kiełtyki wywołują stan „filozoficznej” zadumy nad człowiekiem, jego losem i przemijaniem. Tajemnicze morskie pejzaże Kiełtyka „miksuje” z wizerunkiem człowieka, który przypomina refleks odbicia w szybie okiennej. W ostatnim okresie Kiełtyce udało się przełamać postawę estetyzującą i nasycić swe obrazy większym ładunkiem ekspresji. Nagrodzone na IX FPMW obrazy „Spojrzenia” I, II, III, (nowością jest monochromatyczna gama brązów, która zastąpiła błękity) posiadają głębię przestrzenną, jakiej nie powstydziliby się mistrzowie baroku i romantyzmu. Jest to poza tym malarstwo eleganckie i efektowne. Oczywiście nie można z tego robić zarzutu autoro-

wi. Jego zasługą jest, że swe poszukiwania artystyczne potrafił zespolić z oczekiwaniami publiczności.

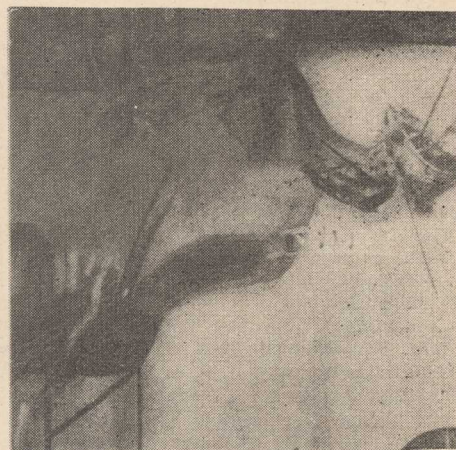
Proszę zauważyć jak daleko są te gładko malowane obrazy — według nieomal akademickich wzorców — od eksponujących autonomiczne wartości malarzkiej materii obrazów Lenicy, Hałasa, Dominika czy od pewnej prowokacyjności prac Przybylskiego, Bogusza i Gustowskiej. Ale przecież bez płócien Ryszarda Kiełtyki obraz naszego malarstwa z pewnością byłby uboższy.

Trzeba również powiedzieć, że Kiełtyka jest pierwszym szczenianninem, któremu przypadło w udziale najwyższe trofeum festiwalu. Symbolicznie rzecz traktując, można je przyjąć jako wyróżnienie dla całego środowiska.

— — —

Urodzony w 1944 roku. Ukończył Państwowe Liceum Sztuk Plastycznych w Szczecinie. W latach 1964—1969 studiował na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu w pracowni Bronisława Kierzkowskiego. O samodzielności jego poszukiwań, świadczy to, że nie zaciążyła na nim osobowość profesora, który jest jednym z najbardziej klasycznych reprezentantów nurtu strukturalnego w ramach tzw. „malarstwa materii”. Z tego wszystkiego u Kiełtyki nie ma. Jest świadomie tradycyjny, nawet w wyborze techniki: oleje.

Po studiach związał się z Grupą „Brama” (Oleg Bałakirew, Ryszard Kiełtyka, Waclaw Stanisławczyk i Ryszard Tokarczyk). Jej istnienie przerwała w 1977 roku tragiczna śmierć Bałakiriewa. Ostatnią wspólną wystawą była ekspozycja w Lublinie (1976).



JACEK SAWASZKIEWICZ

LIST

Jak się dowiadujemy, obserwatorium satelitarne OKO-8/12 w dniu 7 maja br. zловиło serię słabych sygnałów pochodzących z głębi kosmosu. Cała seria trwała zaledwie 345 sekund. Z uwagi na częstotliwość i charakter promieniowania sygnały te wzbudziły żywe zainteresowanie uczonych. Podjęto badania, w których wzięli udział deszyfranci, kryptolodzy i specjaliści w zakresie przetwarzania danych. Po dwóch miesiącach wspólnym wysiłkiem opracowali oni treść „Depeszy”, która jest w miarę dokładnym tłumaczeniem złowionych sygnałów kosmicznych. Przypuszczać należy, że „Depesza” nie została nadana pod naszym adresem, a tylko staliśmy się jej przypadkowymi odbiorcami. Pełny tekst „Depeszy” drukujemy poniżej. Luki w tym tekście zawinione są brakiem w naszym języku odpowiedników określeń stosowanych przez nadawcę, oraz nieprzetłumaczalnością pewnych sformułowań. Stąd ilość w nim uwag translatora.

A oto tekst „Depeszy”:

„Do Centrum... (brak odpowiednika).

W trakcie rekonesansu natknęliśmy się na średnich rozmiarów Obiekt wyekspediowany z Planety Trzeciej (chodzi o Ziemię). Po szczegółowych oględzinach Obiektu eksperci odkryli na jego pokładzie, prócz licznych prymitywnych przyrządów, tabliczkę aluminiową o wymiarach... (nieprzetłumaczalne, ale mowa tu o wymiarach 15×23 centymetry). Na tabliczce tej widnieją wizerunki rozmaitych figur geometrycznych oraz samicy i samca z gatunku najbardziej rozwiniętych istot myślących, jakie zamieszkują Planetę Trzecią. Jeden z naszych młodych, niedoświadczonych... (brak odpowiednika, ewentualnie chodzi tu o określenie „astrobiolog”) postawił fantastyczną hipotezę, według której wspomniana tabliczka jest listem zaadresowanym do Inteligencji Kosmicznych. Utrzymuje on, że figurujące w lewej górnej części tabliczki dwa okręgi przedstawiają połączone w cząsteczkę dwa atomy wodoru, że szereg dziesięciu różnej wielkości kółek zamieszczonych u spodu jest graficzną wizytówką Układu Słonecznego, a umiejscowiony pośrodku zestaw figur geometrycznych — szkicem Obiektu. Znaczną gwiazdźdźcie rozchodzących się linii wykreślonych obok tego rzekomego szkicu... (astrobiolog?) nie umie wyjaśnić.

Inną hipotezę postawił... (brak odpowiednika), który posiada najwyższy tytuł naukowy. Stwierdził on mianowicie, że omawiana tabliczka nie służy niczemu, oraz że nie warto się nią zajmować.

Hipotezy te zostały szybko obalone. Zespół ekspertów ustalił ponad wszelką wątpliwość, że wizerunki na tabliczce są ściśle związane z kultem religijnym. Kluczem do ich rozszyfrowania jest postać samca oraz znajdujący się za nim rysunek rzeczywiście przypominający nieco szkic Obiektu. Rysunek ten w istocie przedstawia fragment ołtarza ofiarnego, dość często spotykanego u wszystkich niemal ludów zamieszkujących Galaktykę. Stojący przed ołtarzem samiec unosi lekko górną kończynę, co w powszechnym rozumieniu, podobnie jak zwisający mu... (nieprzetłumaczalne) jest wyrazem pokory oraz gotowości oddania siebie i swej samicy w ofierze. Umieszczona obok rozeta z linii to naturalnie... (brak odpowiednika). Szereg dziesięciu różnej wielkości kółek wyobraża dziesięć wcieleń naszego bóstwa, z zaznaczeniem, że ofiara złożona zostanie wcieleniu czwartemu. Dwa figurujące w lewej górnej części tabliczki kręgi symbolizują oczywiście dychotomię boskości.

W sumie kompozycja wizerunków na tabliczce jest chaotyczna, jak zresztą cała działalność cywilizacji zamieszku-

jącej Planetę Trzecią w Układzie Słonecznym. Wprost wierzyć się nie chce, w jak niewłaściwym kierunku poszedł rozwój tej cywilizacji. Opanowała ona już technikę rakietową, a nadal nie potrafi odczytać jasno przecież sformułowanej przez nas wiadomości, którą zostawiliśmy w miejscu zwanym przez mieszkańców Planety Trzeciej Płaskowyzem Nazca.”

Wydrukowany powyżej tekst „Depeszy” pozostawiamy bez komentarza.

ODPOWIEDŹ

Najpierw nieco historii. Kilkadziesiąt lat temu, pewnego październikowego dnia, kiedy na pustyni Mojave przeprowadzano doświadczenia nad promieniowaniem flory, przyrządy zarejestrowały gwałtowny i niczym nie uzasadniony wzrost aktywności badanych roślin. Trwał on krótko, poszukiwania jego przyczyn — przeciwnie: wiele tygodni upłynęło, nim ustalono, zresztą przypadkowo, że bodźce, które pobudziły rośliny do silnego zwiększenia promieniowania napłynęły z gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy. Podówczas znany był już „efekt Backstera” i wiadano, że rośliny, aczkolwiek nie myślą, potrafią reagować. Wiedzano też, że bodźcami wywołującymi reakcje u roślin są bodźce napływające ze świata natury żywej, zwłaszcza ze świata zwierząt i przede wszystkim — ludzi. Nie znano jednak nośnika tych bodźców. Uczni nadali im nazwę sygnałów biologicznych i upatrywali w nich przyszłej formy kontaktu z cywilizacjami pozaziemskimi.

Upłynęło niemal ćwierć wieku, nim Jack Swatta ogłosił drukiem swą pracę naukową zatytułowaną „Pasma Fito”. Nie tylko określił w niej charakter sygnałów biologicznych, ale i zamieścił opis urządzenia pozwalającego modulować natężenie emanowanego przez rośliny promieniowania. W pracy swej Jack Swatta udowodnił, że sygnały biologiczne spowinowacane są z falami przenoszącymi myśli i że rozchodzą się z prędkością większą aniżeli światło. „Za pośrednictwem pasma fito — napisał on — można więc realizować natychmiastowe połączenia na dowolne, nawet astronomiczne odległości”.

Praca Jacka Swatty wzbudziła zrozumiałe zainteresowanie naukowców i została nader zyczliwie przyjęta przez kontynuatorów Programu Ozma poszukujących rozumnego życia we wszechświecie. Powołując się na wyżej wymienioną pracę i na teorię Buttlara głoszącą, że pozaziemskie cywilizacje wykorzystują w łączności sygnały biologiczne, kontynuatorzy ci zwrócili się do rządu z prośbą o przyznanie im subwencji na budowę opisanego w „Paśmie Fito” urządzenia. Za jego pomocą i za pomocą specjalnie wyhodowanych roślin postanowili oni nawiązać międzygwiezdny kontakt. Rejonem, w który zamierzili wysłać pierwszą informację, był oczywiście rejon gwiazdozbioru Wielkiej Niedźwiedzicy.

Rząd przyznał wymagane subwencje i urządzenie Swatty zostało skonstruowane. Pomyślnie też przeszło wszelkie próby. Niemniej upłynął rok, nim dokonano owego doniosłego eksperymentu. Tyle bowiem trwało opracowanie lingua cosmica, który przekształcony w urządzeniu Swatty na bodźce nadawał rytmowi zmian promieniowania emanowanego przez rośliny cech języka komunikatywnego. Inauguracyjną informacją, którą w paśmie fito zdecydowano się wysłać w kosmos, był lapidarny komunikat manifestujący obecność ludzi we wszechświecie.

Odpowiedź nadeszła zaskakująco szybko. Została sformułowana w tym samym lingua cosmica, w którym nadano wspomniany komunikat. Urządzenie Swatty przeanalizowało i rozszyfrowało zmodulowane sygnały z kosmosu natężenie promieniowania roślin i na ekranie dekodera ukazał się następujący tekst:

„Witamy w Kosmicznej Federacji nowych braci. Jesteśmy ogromnie radzi, że na kolejnej planecie rozwinęło się życie rozumne. Przypuszczamy, że wasz rozwój przebiegał podobnie do rozwoju braci z innych planet. Wnosimy przeto, że oprócz was na waszej planecie rozwinęły się również wielokomórkowe, cudzozywne organizmy zdolne do ruchu, niewykluczone, że myślące. Jesteśmy ciekawi, w jaki sposób udało wam się je wytepić, a tym samym zapewnić sobie spokojną i bezpieczną vegetację.”

Ufam, że powyższy tekst zaspokoi ciekawość tych, którzy od miesięcy pytają, co się stało z urządzeniem Swatty i z całym Programem Ozma.

RĘKOPIS

Egzotyczny Cudzoziemce —

— ja, fitomin z Primy, zwany Biokiem, odpowiadam na Twe wezwanie, które dotarło do mnie poprzez orbitalne stacje przekątnikowe. Pasjonuje Cię geneza naszego gatunku i jego rozwój, pragniesz wiedzieć, jak żyjemy i jak wygląda nasz dzień powszedni. Jesteś chyba młodym i nieufnym człowiekiem — uff, cóż za nazwa! (daruj, ale to nawet brzmi okropnie) — tak, jesteś chyba nieufny, bo na Twej planecie ukazała się niezliczona liczba publikacji dotyczących nas i wszystkiego, co z nami związane. Dość odwiedzić najuboższe archiwum, ażeby zaspokoić ciekawość.

Nieporęcznie jest zwierzać się obcemu, aliści odpowiem pokrótce na Twe pytania. Zwłaszcza, że zastanawiasz się, czy nie zostać fitominem.

Na powstanie naszego gatunku złożyły się względy historyczne, naukowe i obyczajowe. Metodę fitifikacji opracował zespół Teoxonta, przy pomocy geników. Założenia były następujące:

- zminiaturyzować człowieka;
- włączyć kod genetyczny chloroplastów do chromosomów jąder komórek skóry człowieka;
- przystosować organizm człowieka do takich procesów biochemicznych, ażeby mogła w nim zachodzić fotosynteza

Innymi słowy postanowiono przysposobić ciało ludzkie do fotolizy cząsteczek wody, procesu wymagającego energii świetlnej, a przebiegającego przy współudziale chlorofilu. Proces ów polega na rozkładzie wody na wodór i tlen. Tlen zostaje wydany, wodór zaś wiąże się z asymilowanym dwutlenkiem węgla, powodując powstanie adehydu fosfoglicerynowego, który łatwo przekształca się w aminokwasy, tłuszcze i glikozę, zatem w substancje odżywcze.

Mówiąc po prostu — wynaleziono sposób na zamianę organizmu ludzkiego (brrr, kiedy wspomnę, że do niedawna byłem takim tworm!) we wspaniałą, człekokształtną, myślącą roślinę.

Przebiegu fitifikacji opisać nie potrafię. Przed operacją genicy, których indagowałem o szczegóły, wyrażali się o niej z lekceważeniem i powściągliwie, a gdy odzyskałem przytomność, leżąc jeszcze w zasięgu fitotropów, otaczający mnie ludzie i ich działanie zdało mi się obojętne. Marzyłem wówczas, ażeby wyjść na dwór i wnieść ramiona do słońca.

Z oczywistych powodów wybrano na nasze siedlisko Primę. Planeta ta (nosimy się z projektem przemianowania jej na Fitominie) krąży wokół macierzystej gwiazdy w bezpośredniej bliskości, nurza się wprost w słonecznej koronie. Jest przy tym — co dotąd dziwi astrofizyków — zasobna w wodę. Polecieliśmy tam samoczwart, wszyscy po fitifikacji, promem pilotowanym przez automaty. Przyjęto nas serdecznie. Dookoła lądownika zgromadziły się zielone, falujące tłumy. Nie zdołałem Ci opisać owego przyływu przyjaznych uczuć, jaki mnie ogarnął, kiedy znalazłem się wśród swoich. To tak, jakby podrażniono w Twym mózgu ośrodek przyjemności. Szczęście innych staje się wyłącznym celem Twego istnienia, bo z owego szczęścia budujesz szczęście własne. W jednej chwili przeobraziłem się w cząstkę ol-

brzymiej społeczności czującej zawsze to samo, wtopiłem się we wspólny świat doznań i wrażeń.

Nie, Egzotyczny Cudzoziemcze, wzajemne przesyłanie wiadomości o aktualnym stanie psychicznym którejkolwiek jednostki albo grupy, w niczym nie przypomina telepatii. Odmienne jest źródło emisji, odmienny jest nośnik informacji. Myślimy i działamy indywidualnie, nikt nie ma wpływu na postępowanie poszczególnych istot, ale jeśli ktoś z nas spotka przykrość — cierpimy wszyscy, jeśli ktoś doświadczy radości — wszyscy się radujemy. Czujemy również to, co czują zwykle, bezrozumne rośliny.

Ta zdolność atoli ma i ujemne strony.

Któryś z inicjatorów Projektu Fitifikacji, oczywisty balwan (na lepszą opinię nie zasługuję), ubzdurał sobie, że znakomicie będziemy prosperować w otoczeniu roślin, gdyż tak jak ludzi cieszy i we własnym mniemaniu nobilituje rola panów zwierząt, fitominom poprawi samopoczucie świadomość, że żyją pośród organizmów niższych. Zasiano przeto kilka odmian pnączy, które rozpleniły się niesłychanie i od tam stały się prawdziwym utrapieniem.

Wyimaginuj sobie, Cudzoziemcze, że wokół Ciebie, na obszarze jaki okiem nie ogarniesz, rozciągają się Twe — choć nie połączone z Tobą — receptory. Zależnie od ich pobudzenia odczuwasz niepokój lub ulgę, doznajesz wrażeń miłych albo przygnębiających. Porastające Primę rośliny nieświadomie raczą nas swymi subiektywnymi reakcjami na bodźce zewnętrzne, toteż niezwykle ostrożnie trzeba poruszać się w terenie, ażeby nie przydepnąć gałązki czy liścia, i tym samym nie zadać sobie i rodakom cierpień. Mimo to często się zdarza, że ktoś celowo bądź nieopatrznie zniszczy trochę owego zielska — natychmiast fala bólesci dociera do najodleglejszych zakątków planety. Także mnie przytrafiło się niedawno, że zdenerwowany nachalnym pędem, który wybrał moje ciało na podpórkę (dłuższy czas tkwiłem w jednym miejscu i w niezmięnionej pozycji), ścisnąłem go w garści i wyrwałem z korzeniami. Stojący nie opodal przyjaciel, przewyciężając ból, uśmiechnął się do mnie z zyczliwością i zrozumieniem.

Gdyby herbicydy nie szkodziły również nam, już dawno rozprawilibyśmy się z ową zieloną, ograniczoną hołotą. Ostatnia nadzieja w botanikach obradujących właśnie na Kongresie Bojowników z Chwastami. Sprawa jest nagląca, gdyż i wśród fitominów żyją masochiści z lubością dręczący rośliny, a przy tym nas. Na przykład mój sąsiad — nie ma dnia, ażeby nie podeptał, nie rozgniół, nie stłamsił, nie wmiętosił albo nie zmiądzzył jakiegoś pnączy.

Szczęściem rośliny reagują na bodźce raczej słabo, toteż ich wrażenia zmysłowe są nikłe. Zresztą zagłuszamy je upojoną kontemplacją własnych tkliwych i rozkosznych przeżyć.

Ale pomówmy o rzeczach przyjemnych, a do takich należy niechybnie wypadek zakwitnięcia. Cóż za radość wzbucha, gdy któryś z fitominów pokryje się kwieciami! Jakież wczonasz odbywają się dysputy! Naturalnie zawsze się znajdzie ktoś zawistny, ktoś, kto dowodzić będzie, że widział kwiaty o wiele piękniejsze, bardziej aromatyczne i trwałe. Pochlebcy natomiast licytują się w uprzejmościach i komplementach. Ze pączki takie jędrne, barwne i świeże. Inni znowu obgadują na stronie. Aliści napływające zewsząd uczucia — a owych nie potrafimy symulować — są jednakie. Panuje powszechna szczęśliwość i nawet zjadliwe płotki rozpuszczane są w atmosferze przyjaźni i uznania dla kwitnącego kolegi.

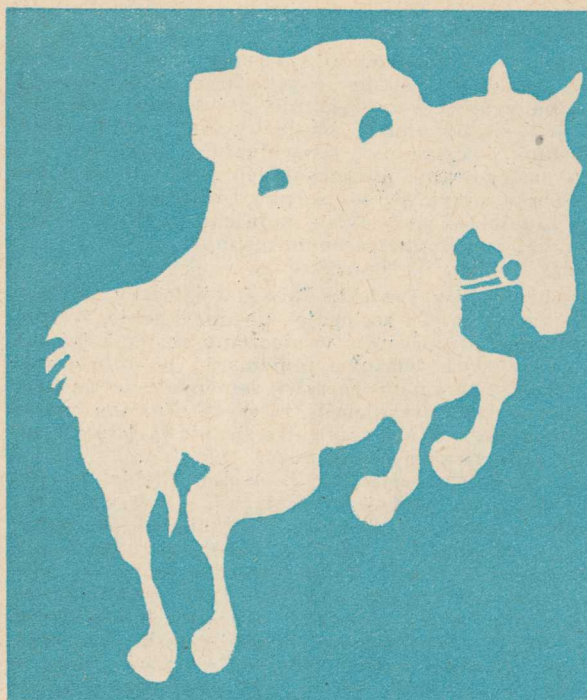
Egzotyczny Cudzoziemcze, prosiłeś mnie, ażeby na Twe wezwanie odpowiedział w sposób dyskretny, najlepiej listownie. Tak też czynię, używając miast papieru — którego ze zrozumiałych względów na Primie nie uświadczysz — lupków wapiennych, Litery wydrapują na nich końcem uschniętego palca (nie obawiaj się — odrośnie) i co rusz muszę go ostrzyć. Temperując przed chwilą czubek, zaciąłem się w dłoń. Wyciekło z niej parę kropel soku — zwykła eksudacja — stąd ta zielona, rozlana powyżej plama, za którą Cię przepaszam.

Zastanawiam się, o czym jeszcze mógłbym Ci napisać, co jeszcze może interesować człowieka. Zapewne rad byłś dowiedzieć się, czy żaluję dokonanego wyboru. Otóż nie. Z ręką na zdrewniałej piersi przysięgam, że jest wręcz odwrotnie. Chociaż...

Spróbuję być szczery. Jeżeli naprawdę czegośkolwiek mi żal, to tego...

Bo powinnięś wiedzieć, że my, fitminy, rozmnażamy się — niestety — przez pączkowanie.

Pozdrawiam Cię —
— Biok



Janaszek z klanu koniarzy

Profesor Bardini zauważył, że folklor bardziej dzisiaj zajmuje mieszkańców miast niż jego autentycznych twórców, których praktycznie już nie ma, bo ci, co w tej branży działają, są producentami powielanej szmiry i nie mają wiele wspólnego ze sztuką, z oryginalnością, a przede wszystkim z bezinteresownością, która jest fundamentem artystycznego działania.

A tak naprawdę to prawdziwy folklor jest nieuświadomiony. W chwili, gdy pierwszy lepszy czy gorszy przebieraniec zakłada czapkę z piórkami czy sukmanę, zaczyna się komedia, takie sobie większe czy mniejsze „Wesele”, z czego ów przebieraniec i jego ewentualny reżyser nie zdają sobie sprawy. Żeby coś z tego wyszło twórczego, trzeba już być Szopenem, niestety, albo takim kpiarzem jak Wyspiański.

Wiele razy spotykałem się z próbami odgrzewania „jakiegoś” folkloru u nas, w Szczecińskim. Śmiesz to i martwi, bo chyba nie o to chodzi. Folklor tworzy się i wyrasta żywiołowo z tego, czym rzeczywiście żyje człowiek i społeczeństwo przez wiele lat w jakimś trwałym zespole. Nie da się go zamknąć w ramy instytucji. Zauważamy go wtedy, gdy już jest. Nie da się go zrobić na siłę, bo każdy pseudoklasycyzm jest sztuczny, każda chłopomania śmieszna i podejrzana, interesowna. Kiedy powstaje? Któż to wie? Szukanie go u nas w Szczecińskim w formie takiej, jaką przekazuje nam tradycja starych dzielnic polskich, jest nieporozumieniem. Na pewno nie objawi się on u nas w kierezyjach, łowickich pasiakach czy innych tam ciupagach. Kto próbuje go takim znaleźć, ten nie dostrzega, że my, Szczeciniacy, jesteśmy zupełnie nowym jakościowo społeczeństwem, które tworzy własny folklor i nie ma na to rady i nie ma co szukać u nas krakowiaków, ani rozpaczać, żeśmy to jacy tacy bez tradycji. My już ją mamy. Tylko że inną.

Nie ulega wątpliwości, że jednym z jej składników jest wielkiej zacności człowiek, Zbigniew Janaszek. Że żywy człowiek, a nie gąk zielony? Właśnie! Bo nasze społeczeństwo przekroczyło niedawno trzydzieści lat istnienia i to całe szczęście, że Zbigniew Janaszek się doskonale trzyma, że zaświadcza o tej tradycji powsta-

waniu i trwaniu. Tak, bo kto go nie zna, mało wie o Szczecińskim, o jego ludziach i koniach, czyli folklorze żywym. Już w tej chwili nie można sobie bez niego wyobrazić Łobza. Dużej części tych, którzy go znają, Łobez kojarzy się przede wszystkim z nim. Łobez? I nie myślą wtedy o prężnym ośrodku nowoczesnego rolnictwa, ale o dyrektorze Janaszku – Ach, to tam, gdzie jest dyrektor Janaszek! I zaraz idą następne życzliwe pytania – Jak się ma szef? Bo czują się jego podkomendnymi, bo im imponuje i szanują go, poważają. Znają, oczywiście znają szefa!

Zachodziłem w głowę, jak to się dzieje, że ten człowiek, zajmujący się właściwie działalnością w dużej już mierze rozrywkową, jest tak popularny – a przecież to takie proste – on jest kontynuatorem dzieła tych, którzy zawsze wyrastali ponad przeciętność, którzy się czymś interesowali i robili rzeczy ładne, obdarzeni byli tą przysłowiową iskrą bożą, talentem i pasją. Czymże byłby Łobez bez tego zawsze nienagannie i stylowo ubranego i zadbanego pana, dystyngowanego, opanowanego, zwracającego tymi swoimi cechami natychmiast uwagę w tych dziwnych czasach, w których nie wiadomo co jest właściwie stylowe, co po prostu wynika z braku szlif i wiedzy, a nie jak się zwykło dowodzić – nareszcie swobody. Epigoni dyrektora są natychmiast znaczni – jeśli on nosi beżowe bryczesy, takąż marynarkę do figury – jeśli buty do konnej jazdy, to jest to wszystko bez plamki, odprasowane, do białej koszuli, chusteczki w butonierce i kremowego krawata – to oni są rozchełstani, zarośnięci, hałaśliwi, no i trochę zalatują, mówiąc delikatnie. Ale im to przechodzi – im dłużej obcuja z szefem, im rzetelniej wciągają się w szlachetną pasję, jaką jest jeździectwo, tam szybciej nabierają dystynkcji, jaka zawsze cechowała ludzi, którzy lubili konie. W żadnym innym sporcie gracia i szyk nie są bardziej naturalne i potrzebne jak w jeździectwie. Nie bez przyczyny Pegaz służy tylko dobrej sztuce i byle komu nie da sobą powodować.

Może właśnie ta tęsknota za czymś wzniosłym, eleganckim, czyni, że zainteresowanie koniem nie maleje, mimo gwałtownego zmniejszenia się jego wartości użyt-



Foto. S. Pleśniarowicz



Foto. S. Pleśniarowicz



Foto. S. Pleśniarowicz

kowej, pociągowej. Koń zadbany, zdrowy, rasowy, imponuje naturalnym wdziękiem, siłą, a także niewymuszoną uległością wobec człowieka. Idą za nim tysiąclecia tradycji, wrósł on w świadomość ludzką jako najbliższy i cierpliwy pomocnik w przekształcaniu opornego otoczenia, często towarzyszy narodowej historii: pochyla łeb nad umierającym Stefanem Czarnieckim, tonie z księciem Józefem w Elsterze, nosi majora Hubala...

Takiej służby nie da się pełnić z dnia na dzień, ją trzeba lubić, mieć we krwi. Niekoniecznie błękitnej. Dyrektor Janaszek akurat pochodzi z chłopskiej rodziny i mówi, że to nie jest profesja, to jest hobby, sztuka w dużej mierze, i nic w niej nie mają do szukania ci, co liczą na bieżące i natychmiastowe profity, jeśli na jakiegokolwiek w ogóle mogą liczyć, szczególnie wspólnie. Dzisiejsi „miłośnicy” koni chcieliby przede wszystkim jeździć, zaś hodowca musi tej sprawie poświęcić całe życie. Trochę z tym jednak inaczej niż z nierogacizną czy bydłem. Trudniej uzasadnić racjonalność tej sztuki, jak zresztą każdej.

Sam dyrektor jest kawalerzystą od dziecka. W 1935 roku kończy jako młody podporucznik Centrum Wyszkolenia Kawalerii i zaczyna służbę w 25 pułku ułanów w Baranowicach. We wrześniu 1939 roku otrzymuje pod Garwolinem Krzyż Virtuti Militari i ciężką ranę, którą z trudem przeżywa. Potem cała wojna w oflagu, a zaraz po niej wędrówki po Niemczech i żmudna rewindykacja ukradzionych Polsce stadnin. Dziesięć następnych lat w Nowielicach, osiemnaście w Łobzie, do dzisiaj. To nie jest żywot „pasikonika”, ale tylko taki się liczy w tej branży. Koniarze to klan – mówi dyrektor – znają się w całej Polsce i poza nią, zaś stadniny i stada im starsze, tym lepsze.

On sam dowodzi Państwowym Stadem Ogierów w Łobzie, które obsługuje pięć ościennych województw. Stado ma dwie setki ogierów rasy ardeńskiej, ciężkiej, roboczej i wielkopolskiej półkrwi, wszechstronnej, przydatnej także pod wierzch. Na lato, na sezon stado rozwożone jest do punktów rozplodowych i w ten sposób poprawia się tam rasę miejscowych koni, ale ta działalność kurczy się, więc hodowcy przechodzą na sport, rekreację i eksport, co idzie w parze z rzeczywistymi potrzebami.

Ludzie chcą jeździć konno – powstają sekcje jeździeckie. Pomerania, Orbis, PŻM, PŻB dowożą już setki turystów do Łobza. O dziwo, końmi na nowo interesują się pegeery, które zakupują zwierzęta dla dyrektorów pod wierzch i do bryczek. Okazuje się, że

czworonogi ciągle są niezastąpione w ciężkim terenie, można nimi dotrzeć tam, gdzie nie dojdzie nawet łązik. Pojawili się prywatni właściciele koni pod wierzch. Nie ma co – są to sygnały wzrostu zamożności społeczeństwa i renesansu konia szlachetnego. Czy snobizm? Bodaj to każdy snobizm był równie niepoważny jak ten. Ta zabawa wychowuje jak żadna inna – koń nie znosi ludzi niezrównoważonych, nie wolno na nim wyładowywać złości. On ma znakomitą pamięć, a zły jest tylko wtedy, gdy zostanie wychowany przez złego człowieka.

Czy ma duszę? Dyrektor wzrusza ramionami. Trochę za dużo tych legend. Po prostu w optymalnych warunkach i przy właściwej opiece jest to zwierzę chętnie poddające się człowiekowi. Ma świetny węch, słuch, ciekawe gusta. Na przykład są ogiery, które lubią siwe czy kare klacze, do innych nie chcą się zbliżać. Albo taki ulubieniec dyrektora – Druid po Awertynie i Drobnicy, ma piękny eksterier (wygląd, panie), nie boi się autobusu czy ciągnika, ale płoszy go listek na ścieżce. Kilkanaście razy zwałił samego szefa. I co z nim robić, kiedy i tak da się lubić? Na pewno, jeśli się go zna od źrebaka, wiadomo, czego się po nim można spodziewać. W świecie zwierząt nie ma takich pojęć jak honor, wdzięczność, obowiązek, co nam tak wzruszająco sugerują antropomorficzne bajki, jednak stanowczo łatwiej z nimi pracować niż z ludźmi, właśnie dla braku złudzeń i przesadnych oczekiwań. One są takie, jakie są – na miarę ujarzmiających je ludzi.

I taki właśnie jest ten łobeski folklor. Ci, którzy tu dla przyjemności przyjeżdżają i upowszechniają potem swoje jeździeckie przygody, ci, co sławią piękny tutejszy krajobraz, co wspominają tutejszych sympatycznych ludzi, nie wiedzą, że także ten folklor utrwalają, że na niego pracują. Bo to jest właśnie to, co robi życie barwniejszym, pełniejszym, ciekawszym, a przez to szczęśliwszym. Czy akurat zaznaje tego dyrektor Janaszek? Zupełnie przypadkowo dowiaduję się że ma sześćdziesiąt cztery lata! Ten szczupły, sprawny i co tu ukrywać – elegancki pan? A tak! I doroczną gonitwę za lisem znowu sam poprowadzi. I już od jutra ruszy w kolejny objazd swoich punktów w pięciu województwach. I mistrzostwo Polski we wszechstronnym konkursie konia wierzchowego też organizuje. I zagranicznym gościom piękno ziemi łobeskiej pokaże. I poczucie humoru ma. I radnym miejskim jest. Bodaj to każdemu człowiekowi tak się życie udawało! Czy to zazdrość? Nie – podziw i szacunek, bo na to wszystko trzeba także pracować.



HENRYK BRZOZOWSKI

Jak ptak

Sploszony sztormem wiatru
las poderwał się

złamany skrzydłem
i w poszyciu zacichł.

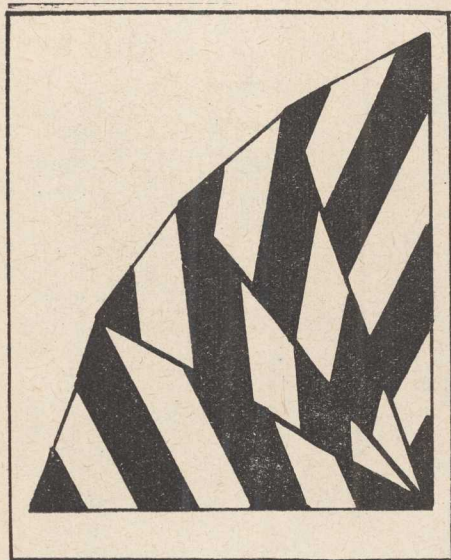
Wrzos tylko sadzi się po
skrajach —

siwe wydmy brodami
płytko owrzosił.

Nagle brzeg
urwiskiem się szarpnął
i oniemiał.

Zanim odważyłem w sobie obraz
lżejszy od widoku —
spod nóg frunęła mi ryba
trzepocząc jak serce
wyjęte z powietrza.

Morze uniosło się
jak ptak do lotu.



Nie bójcie się być szczęśliwymi

6 września 1973 roku. W notesie pod tą datą mam dwa zapisy. Pierwszy o tym, że jacht „Maria” wypłynął w rejs dookoła świata i drugi, mniej teraz dla mnie zrozumiały: „szkoła, LO nr 5, godz. 11.00, prelekcja”. Dziś już nie pamiętam o czym. O wyprawie „Marii” pisała prasa. Pisał o tym również Wojciech Jacobson — uczestnik wyprawy, członek załogi jachtu na trasie od Świnoujścia do Peru. Sięgam więc po jego książkę „Marią do Peru”:

— „Pilot 66, Pilot 66, woła „Maria”, „Maria” woła!

Była godzina pierwsza po południu, 6 września 1973 roku. Za rufą jachtu zostawiamy powoli falochrony Świnoujścia. Ludek — Ludomir Mączka zdławionym głosem nawiązywał ostatnią pożegnalną łączność:

— Do widzenia, dziękuję za wszystko... Spełniają się moje marzenia... Wtedy na pokładzie słowa te brzmiały dość patetycznie, ale nie miały się z prawdą. „Maria” ruszyła w rejs, który miał być urzeczywistnieniem pragnień z lat młodości 45-letniego kapitana”.

Czego szuka Ludomir Mączka w tej wędrówce po świecie? Czy już znalazł? Nie chciał pływać sam. Żegluga samotna, to nie to, czego pragnął. Dlatego zaproponował kilku osobom, by płynęły razem z nim. Założył też, że będzie dobierał załogę polską. W miarę możliwości ze Szczecina, no i tak było dotychczas. Po drodze do Australii miał dwie wymiany załóg. — Tak Wojtku? Wojciech Jacobson przyszedł do mnie do Radia. Siedliśmy przy magnetofonie i rozmawiamy o Mączce.

— Po mnie i Andrzeju Marczaku, również koledze z naszego klubu z AZS-u szczecińskiego, płynęło jeszcze dwóch następnych, to znaczy Antoni Jerzy Pisz i Kazik Jasica. Ci dwaj płynęli na odcinku z Peru do Australii, właściwie do rejonu Australii. Byli z nim na Nowej Zelandii i Tasmanii. W Australii przerwali podróż, a kolejną załogę stanowili również żeglarz z naszego klubu, chociaż pochodzi ze Śląska. Student WSWF z Katowic — Bogdan Zachajkiewicz.

Wojtek Jacobson przerywa na chwilę. Pociąga tyk kawy. Zbiera myśli. Za oknami zaczyna padać śnieg. To już druga połowa grudnia. Co teraz robi Mączka? — Może posłuchamy?

— „Dzień dobry Wojtek — to głos Mączki. Zresztą nie wiem, kiedy to dojdzie. Czy będzie dobry, czy dobry wieczór. Bogdana odebrałem. Wygląda o key. Wąsaty, kudłaty, ale wygląda zupełnie przyjemnie. Na gitarze gra tak, że jakoś powinniśmy wyłączyć. W niedzielę przysięgą wychodzę na Balinę. Wychodzimy we dwóch. Załatwiliśmy przedłużenie wizy w Brisbane. Prawdopodobnie do Brisbane jachtem nie będę wchodził, tylko zostawię go gdzieś na wejściu, bo to się rzeką kawatek wchodzi. Kontakt w tej chwili podałem na Edwarda Tomaszewskiego. Zresztą adres jego tam masz na liście. I on to wszystko, ten cały majdan, jeżeli coś przyjdzie, prześle pod wskazanym adresem. W tej chwili, poza tym, że idę do Baliny i że gdzieś tam będę koło Brisbane, a może i w Mulułuba (no muszę jeszcze popatrzeć na mapę), to nie wiem, jaki będzie nasz adres kontaktowy. Tak więc na razie kontakt przez Edwarda. No, poza tym co jeszcze? Na fódce jest wszystko o key. Jana, a ten interes jak się zatrzymuje?... — bo mi w tej chwili zabrakło konceptu. Tutaj? „Pstryk... My też zatrzymujemy na chwilę magnetofon. Wojtek wyraźnie ożywiony:

— Już cztery lata minęło od czasu, gdy płynąłem z nim ze Świnoujścia do Peru, ale nadal jestem z tym rejsiem związany. Ludek twierdzi, że jestem nadal w załodze „Marii”. Nadal „płynę”, tylko jestem oddelegowany do spraw lądowych.

— „No, to, echyy... Wracam z powrotem do magnetofonu: do mówienia, które na chwilę przerwałem, żeby nabrać rozpędu. Polizałem troszeczkę czegoś dobrego z kieliszka... Czekaj, zaraz ci powiem co to jest... taki... scherje likier z Góry Carmel. Robota naszych przyjaciół z Izraela. Ale zupełnie przyzwoita... No i kontynuuję dalsze sprawy.

W tej chwili siedzę u Jasi Booth. Pożegnałem znajomych i przyjaciół z Wollongong. Jutro rana jedziemy z powrotem do Sydney. Bogdan siedzi i kleci pismo do swego pana dziekana z prośbą o urlop dziekański na czas bliżej nieokreślony. Dołożę mu też jakieś pisemko od siebie, a nuż to coś pomoże.

Dziękuję Ewie za to, że prosiła Bogdana, żeby uważał na mnie. Nie wiem w jakiej formie ma być to uważanie i na co on ma zwrócić uwagę. Czy, żebym się dobrze zachowywał i nie łajdaczył? Czy... O co, o co tam chodzi? W każdym bądź razie dziękuję za pamięć i nawzajem: uważaj na Ewę i na Magdę.

Wybieram się właśnie pokończyć... To znaczy nie pokończyć, tylko napisać kupę zaległych listów. Całe szczęście, że może Bogdana zrobię na jakiegoś kronikarza, bo sądząc z jego pisma, które uklecił do dziekana, to ma jednak chłopak polot do pisania... No, to cóż?... Na razie znowu na chwilę przystanę. Pociągnę sobie z kieliszka i nabiorę następnego, o... , jakiegoś takiego natchnienia.”

— Ostatnia relacja Ludka mówiła o tym, że minęli Cap York. To jest ten północno-zachodni narożnik Australii, czyli weszli już w Cieśninę Torresa i podążali do Darwin. Przepuszczam, że w tej chwili są już w Darwin, gdzie mają zimować.

Pstryk... — „No to ciąć dalszy... Byłem przed jakąś godziną, czy więcej u Dawida Walscha się pożegnać. Jakoś tak trochę... Jakoś tak nijako było mi. Nieprzyjemnie i smutno, bo to wiesz, raczej wiadomo, że drugi raz już się nie będziemy widzieć. Wprawdzie on powiedział, że chyba tam na górze jest jakiś cichy kącik dla żeglarzy, to w najgorszym wypadku tam się spotkamy. No, ale jakoś to... to wiesz jednak nie było takie, miłe. Byłem też u Johna Mettesitcha. Nawet rozmowa się specjalnie nie kleiła. Nie lubię się żegnać, ale trzeba...”

— Koniec taśmy. Musimy ją przełożyć na drugą stronę. — O kim mówił Ludek?

— Dawid Walsch? — bardzo ciekawa postać i ciekawa historia. Zresztą też ilustracja z tego, jak w rejsie Ludek spotyka po drodze ciekawych ludzi. Dawid Walsch — to żeglarz australijski, który przed wojną płynął z Australii do Anglii z Polakiem Wagnerem na jachcie „Zjawia”. Teraz spotkał Ludka w Sydney, czy w Wollongong koło Sydney i Ludek mu zaproponował rejs do Nowej Zelandii. Płynęli razem przez Morze Tasmana do Auckland i stamtąd Dawid wrócił samolotem. Tak więc jeszcze raz polsko-australijskie spotkanie pod żaglami. Odbiło się to głośnym echem w tamtejszej prasie i w radiu.

— Remiszewska na jakimś spotkaniu wspominała, że Ludek powiedział jej w wielkiej tajemnicy, iż podczas rejsu, w który się wybiera, chce spenetrować jedną z wysp; Wyspę Skarbów. On z wykształcenia geolog, miałby może większe szanse niż inni, ale tak naprawdę, traktowałem to jako żart. Myślałem, że to dowcip.

— Nie. To nie jest żart, Ludek mówił o tym całkiem serio. Jednym z jego marzeń było łowienie perł w czasie rejsu po dojściu do Wysp Perłowych. I drugie, to zwiedzenie Wyspy Skarbów i szukanie skarbów kapitana Flinta. I obydwa cele, obydwa marzenia przeszły mu koło nosa i to trochę z naszej winy. Mojej i Andrzeja Marczaka. Byliśmy już po drugiej stronie Kanału Panamskiego, na Pacyfiku, ale bardzo spieszyliśmy się na spotkanie z następną załogą, z polskim statkiem i chcieliśmy w jak najkrótszym czasie dotrzeć do Calao w Peru, rezygnując właśnie po drodze z Wysp Perłowych i z Wyspy Skarbów. Ludek miał rysunek przekazany przez kolegę — geologa, który mógł go naprowadzić na miejsce, gdzie te skarby miały rzeczywiście leżeć, gdzie jeszcze nikt nie spenetrował, chociaż wyspa była penetrowana przez wiele osób. Ale przez nas nie mógł sprawdzić, co zostawił dla niego kpt. Flint.

— Ta korespondencja, która dotarła do ciebie z Australii, w tym przypadku nie pisała, a nagrana na taśmie magnetofonowej — taki niecodzienny mówiony list, była jedyna? Więcej dostałeś takich listów?

— Kilka. To są jakby reportaże z bytności Ludka u rodziny polsko-australijskiej mieszkającej niedaleko Sydney w Wollongong. A ta rodzina ma tu krewnych w Szczecinie.

— „No, to wracam z powrotem... Nawiasem mówiąc te przerwy, to nie jest tak, że po każdej przerwie wychylam pełny kieliszek, tylko sobie liżę powoli ten likierek, żeby nabrać natchnienia...”

W tych wszystkich wycinkach, co Bogdan przywiózł, wczynałem o samotnych regatach o puchar „Poloneza” i bardzo się cieszę, żeś był drugi. Widać jakoś jeszcze żeglarswo ci służy, no i życzę dalszych sukcesów regatowych. Brakuje mi plotek z klubu. Od czasu do czasu wyczytuję nazwy nieznanymi mi jachtów, tudzież nieznanymi szyprów i w ogóle nie bardzo wiem, co się w klubie dzieje. Czasem jeszcze Irena coś naplotkuje, ewentualnie przyśle parę wycinków. Rozumiem, że ty w tej chwili to czasu wiele nie masz, ale poproszę Irenę o trochę konkretnych plotek klubowych. Znaczą się nie plotek, a faktów. No, Bogdan za chwilę przyjdzie, tak że ja w tej chwili chyba skończę piękną audycję i... QSO ze Szczecinem. Chciałbym jeszcze... podziękować i pozdrawić ciebie i Iza i Grzesia, no i mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy i chciałbym jeszcze podziękować za umożliwienie takich zupełnie, nazwijmy to prawieeeee bezpośrednich koon...tów. No, to na raaz... ..ystk'im. Pozdrowienia dla ojców, tudzież wszystkich żeglarzy, znajomych i przyjaciół, no w związku z tym powiedzmy, jak to się mów QSP”.

(dokończenie na str. 36)



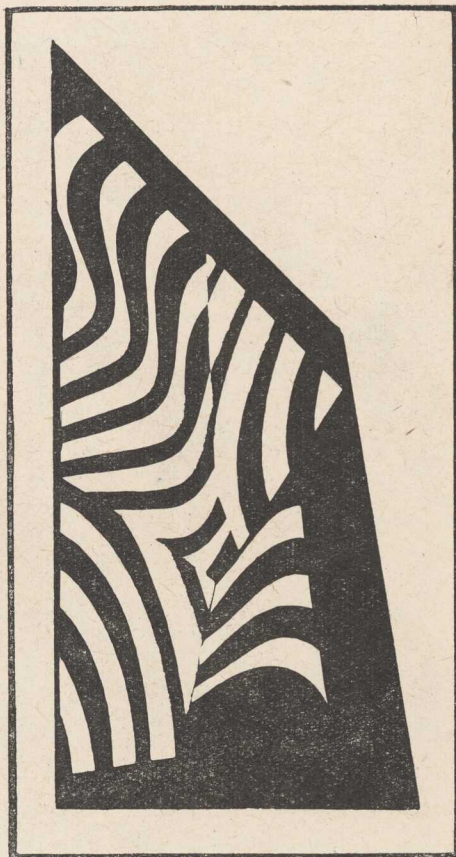
DEBIUTY

EUGENIA ŁAZUKA

Nasze ptaki

*Za widnokregiem jasność
ptak przestworzy
nasze serca*

*— opuszczone gniazda
przejdźmy drogą
aż mrok się rozżarzy
i zaplonie gwiazda
nasze ptaki powrócą
tam, gdzie gniazdem
jest morze.*





— Trochę się łamał ten głos, no a Ludek kończył skrótami, którymi operują radioamatorzy. Ludek ma na pokładzie radiostację amatorską, oznaczoną szcześcińskim numerem SP-1 CVO/MM. Radiostacja ta daje mu ogromne możliwości towarzyskie. Ludek gdziekolwiek przypląwa, to już czekają na niego koledzy, przyjaciele, poznani w eterze. Tak mu zresztą przepowiadali szcześcińscy radioamatorzy. Gdy Ludek przypląwał na Thaiti, był witany przez tamtejszych radioamatorów. Czekali na niego na brzegu z kwiatami. To samo było w dalszej drodze i z wieloma z tych osób Ludek się zaprzyjaźnił na długie lata. Tak chociażby, jak z takim Jugostowianinem, który mieszka w Australii, z Johnem, czy Janem Mettesitschem, czy Robby Villa — radioamatorem, który obsługuje cały trafik w eterze. Po prostu obsługuje jachty, które płyną Pacyfikiem. Odbiera od nich wiadomości i przekazuje je dalej na inne jachty. Pełni taką społeczną funkcję jakby ochrony radiowej nad ruchem jachtów na Pacyfiku.

— Czy Ludek ma rodzinę?

— ...Ma mamę, ma siostrę, ale nie ma swojej rodziny w tym znaczeniu, że nie ma żony i dzieci. To było jedno z jego, powiedzmy, wyrzeczeń. Niestety, nie można osiągnąć żadnego celu bez wyrzeczeń. Ponieważ taki rejs był jego zda-

niem marzeniem życia, całe postępowanie Ludka było temu celowi podporządkowane.

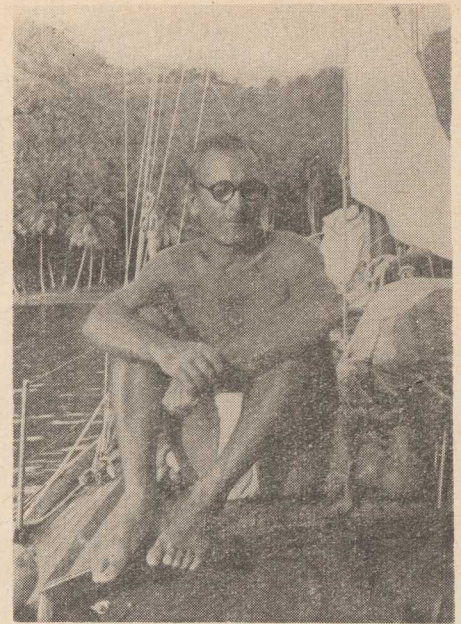
— Chcesz przez to powiedzieć, że również i sprawy osobiste, które każdy człowiek jakoś tam przeżywa na swój sposób, były odsuwane na plan dalszy, dlatego, że on chciał zrealizować ten cel?

— Chyba tak. Ludek nie mając jeszcze pełnych możliwości zrealizowania tego rejsu, już się do niego konsekwentnie przygotowywał. Od lat zbierał wyposażenie przyszłego jachtu, jeszcze wtedy, gdy nie miał realnej szansy, żeby mieć ten jacht. To on pożyczyczał swoje wyposażenie Tefidze. Kompas Ludka płynął razem z Teligą i już raz zrobił rundę dookoła świata. Część wyposażenia jachtu wcześniej uzbieraną, trzymał po ludziach, tak, że z chwilą gdy już miał środki finansowe na realizację zamierzenia, był do tego przygotowany i fizycznie i materialnie i psychicznie. Na ten jacht i rejs dookoła świata pracował kilkadziesiąt lat.

Środki zdobywał również w trakcie swej pracy jako geolog za granicą. Najpierw okres trzyletni w Mongolii, właściwie trzy sezony badań w tym kraju, a potem trzy i pół letni okres w Zambii w centralnej Afryce. Trzydzieści lat pracy, by osiągnąć cel.

— Jak sądzisz, czy to, co on teraz przeżywa jest wystarczającą rekompensatą za te wszystkie lata wyrzeczeń?

— Myślę, że tak. Chociaż na pewno konfrontacja tych marzeń z rzeczywistością wypada zawsze inaczej, niż te marzenia wyglądały. Świat się zmienił i ten świat, który Ludek spodziewał się zobaczyć jest inny de facto i tak samo przeżywanie rejsu jest inne. Przeżywanie dorosłego mężczyzny, a marzenia były mło dzieńcze. W każdym razie Ludek sam się



boi tego, że w czasie rejsu robi się coraz bardziej nerwowo...

— Byłoby cię stać na podobne wyrzeczenia? Czy potrafiłbyś się podporządkować tak jednemu celowi?

— Chyba bym nie potrafił, bo po prostu zbyt wiele rzeczy mnie absorbuje. Zbyt wiele rzeczy mnie interesuje i bałbym się jakiejś jednostronności, wypaczania, podporządkowując się tylko temu celowi — podróży dookoła świata. Nie wyobrażam sobie, że to może być jedyny cel, ale z kolei te chwile tam przeżywane są tak piękne, że chciałbym być z nim na przykład w obrębie Wielkiej Rafy Koralowej. To jest ten odcinek drogi, który on przepływał od sierpnia do grudnia. Przejście przez wody wewnętrzne rafy, akwen mało penetrowany, właściwie teraz dopiero odkrywany dla żeglarstwa. Spotkania z innymi jachtami, cudowna atmosfera, która właściwie doskonale charakteryzuje to, co podał zarówno Bogdan, jak i Ludek w korespondencji z jednym z postojów tam na Wielkiej Rafie Koralowej. Mianowicie oni znaleźli taką szpęgę, która była jakby schroniskiem żeglarskim. W każdym razie, kto się tam znalazł, mógł przenocować, mógł tam znaleźć jedzenie z tym, że musiał zostawić to miejsce w porządku, zostawić coś dla następnych gości.

W tym schronisku znaleźli proporczyk z napisem: „Don't worry be happy...” co znaczy: nie obawiaj się być szczęśliwym... I to jakoś... i ich uderzyło i wrzuciło i mnie się szalenie podoba, bo wiem jakby charakteryzuje ten rejs, to podejście do rejsu, żeby się cieszyć z tych dobrych chwil. Umieć się cieszyć z dobrych chwil, umieć znaleźć radość.

— Chciałbyś znaleźć taki proporczyk?

— Chciałbym znaleźć..., chciałbym umieć być szczęśliwym.

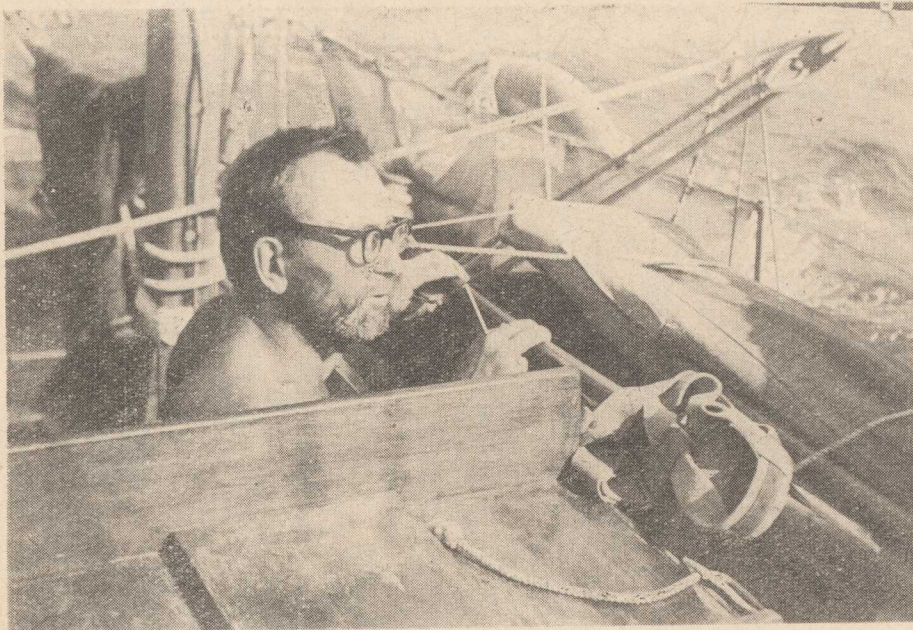




Foto. S. Rakowski



Foto. S. Rakowski

Namiar

Uchwycić w dłonie
swoją gwiazdę i pójść
jej śladem
aż wyprowadzi na pełne
morze
Wtedy wiadomo kim się jest
Czółno życia odpływa
i powraca
łącząc sobą bezpowrotny czas
I tak powstaje delikatna
tkanina
Wątek przeszłości
nie urywa się nagle
lecz za plecami wiąże
nowy świat
Dopłynąć do niego
płynąc pod prąd złudzeń
to odkryć w sobie
nieskończony ład

Rybackie żniwo

Miesiąc gorący i ciężki
pokryty potem ryb
Zmęczenie jak nóż gorejący
rozcina sieci snu
A serce wciąż puste słucha
którędy cieknie krew
mroczna posoka
wciąż ranionego świata
W nabiegłe śmiercią oczy
sypie się piasek dnia
Milczenie w piekącym słońcu
pęka a nasienie gwiazd
w zastygłych skrzelałach nieba
majaczy jak niejasny znak
niemego pojednania

STANISŁAW
WASYL

Wachta

Staję w miejscu
gdzie nie dociera już nic
prawda że jestem
ma podwójne dno
Osiada na nim
dziwny namuł istnienia
puszysty pył niewiary
I widzę w nim to
czym się staję
otoczony niewidoczną
powłoką trwania
od wewnątrz jak na
zaroszonym szkłe
wypisuję palcem
swą ulotność przez którą
widać ciągle niknący
nieboskłon
Jego brzegiem niepowtarzalna
fala goni samą siebie

Z pokładu

Wstaje dzień
nagle jasny i płaski
jakby świt zawisł
na ostrzu Pacyfiku
to cudowne dziecko morza
patroszy perspektywę
która nabiegła do oczu
W przekrwione sieci światła
zaplątane życie
rozbiegło się nagle
we wszystkich kolorach
Ziemia
drzewa i ludzie z tego oddalenia
tworzą obraz pozorny
Moją dłoń zaciśniętą na rybie
przystania już widnokrag
więc odcinam półkulę
świat odpada od stóp
a jego kulistość toczy się
jak pojęcie
do którego wracają umarli

EUGENIUSZ A. DASZKOWSKI

PRZEPUSTKA NA MORZE

Od samego początku nie wierzył, że młodzieńczy zamysł się spełni. Wszystko było tak odległe: morze, szkoła. Nawet siedząc już w pociągu nie miał pewności, czy dojedzie, a jeżeli nawet, to czy rzeczywiście przyjmą go bez żadnych dodatkowych przeszkód do tej szkoły, która wystawiła mu już uczniowską legitymację Państwowej Szkoły Morskiej w Szczecinie przy ul. Piastów 19. Matka jej nawet nie chciała oglądać. Czuła się oszukana przez niego i to podwójnie, raz w swoich planach, w których widziała go inżynierem, albo lekarzem, drugi raz — nieopatrznie wysłaną z Gdyni kartkę, którą zawiadomił ją, że do szkoły nie został przyjęty i co było zgodne z prawdą, ale tylko przez jeden dzień. Ta wysłana kartka jeszcze bardziej matkę utrwaliła w przekonaniu, że marynarzem nie powinien zostać. Nie po to przeżył, jej zdaniem, wojnę i nie po to ze zmartwień o dzieci osiwiała, żeby syna pozbyć się z domu i to jeszcze śląc go na morze, a przedtem do Szczecina. Pewnie by Gdynię łatwiej zaakceptowała. Była w niej raz przed wojną, poznała nowe portowe miasto. Samo morze ją przerażało i nie mogła zrozumieć wyboru syna, który wychowany z daleka od morza i nie znający morza — taki zawód sobie wymarzył.

Dopóki zainteresowania dotyczyły książek i prenumeraty „Żeglarsza”, tolerowała te jego dziecinne marzenia, podobne do przedwojennej lektury „Bufallo Billa”. Jednak, kiedy po serii rozwiązanych i przesłanych zadań do redakcji pisma — otrzymał wezwanie na kurs pracy morskiej do Państwowego Centrum Wychowania Morskiego w Łebie, już z oporem, przy poparciu ojca, podpisała zgodę na wyjazd. W końcu dała się przekonać, że taka wakacyjna przygoda nie znaczy wiele, bo do samej szkoły jeszcze bardzo daleko. Zresztą podobnie on sam myślał. Gdzieś w podświadomości tliła się nadzieja na mundur ucznia Szkoły Jungów. O Państwowej Szkole Morskiej nawet nie marzył, znając gęste sity komisji egzaminacyjnej i setki chętnych kandydatów do zawodu morskiego i szkoły, która dawała wszystko wraz z mundurem i utrzymaniem, bez potrzeby jakiegokolwiek pomocy materialnej z domu, a to się po wojnie bardzo liczyło. Drugiej szkoły podobnej w Polsce, poza wojskiem nie było.

Ale wtedy takie argumenty nie były mu potrzebne. Wyjeżdżał na kurs pracy morskiej i to wszystko. Myślał już o Szkole Jungów, ale tego jeszcze mamie nie mówił. Zdawał sobie sprawę, że i do Szkoły Jungów też nie będzie łatwo się dostać. Przez kursy pracy morskiej przechodziło tysiące młodzieży, a miejsce było 150.

Trzy tygodnie na kursie w Łebie zleciały szybko. Ręce bolały od wiosłowania, ale morze, w którym codziennie rano i wieczorem się kąpali — tym bardziej stało się bliskie i namacalne, a marzenia tym bardziej uparte, choć trudne do zrealizowania.

Przed zakończeniem kursu dla kandydatów do Szkoły Jungów zorganizowano dodatkowe egzaminy bez podania wyniku końcowego, jedynie z informacją, że ci, którzy najlepiej zdadzą ze wszystkich kursów, zostaną powiadomieni listownie o przyjęciu do Szkoły Jungów. Wrócił więc do domu z zaświadczeniem o odbyciu kursu i z niewielką nadzieją na zawiadomienie o przyjęciu do szkoły, która dawała zawód zwykłego marynarza, a po jej ukończeniu — możliwość ubiegania się o przyjęcie do Państwowej Szkoły Morskiej. W rozmowie z matką napomknął o pierwszej możliwości odległej jeszcze w jego marzeniach.

— Głupstwo — odpowiedziała. — Masz rok tylko do matury, a potem zobaczymy. Do Warszawy godzina drogi. Możesz wybrać uczelnię, taką, jaką chcesz — Uniwersytet, Politechnikę, Akademię Medyczną. Nawet jak nie dostaniesz akademika, nie będzie ci trudno, czy Wiesiek z Jurkiem nie dojeżdżają? Wybij sobie z głowy te twoje dziecinne pomysły. Byłeś nad morzem i wystarczyło ci chyba?

Nie, żadne argumenty do matki nie przemawiały. Rzeczywiście był tylko nad morzem. Statki na razie roily się w jego marzeniach, ale były bardziej odległe, niż „Otogo” Conrada nawet dla niego, a co dopiero dla matki, która Conrada nie czytała, zapracowana od rana do wieczora w ziemi i w domu. Nie podejmował więc dyskusji. Argumenty matki były nie do zbicia i zdawał sobie sprawę, że rzeczywiście do matury tylko rok, a do Warszawy kilkadziesiąt kilometrów.

— Morze — to była ta cicha nadzieja, do której przeważnie wracał wieczorami już leżąc w łóżku i wyobrażając sobie na dużym statku, takim, jaki zobaczył na widnokręgu w Łebie podczas kursu pracy morskiej. Spierali się wtedy o jego wielkość, czy to pięć- czy dziesięcioletni. Te ich spory autorytatywnym głosem przerwał sternik ze Szkoły Jungów: — Jakie tam pięć tysięcy chłopaki? Nie macie pojęcia! Przecież to kalosz pięćsettonowy! Może innych przekonaj, jego nie. Dla niego ten statek pozostał dużym. Płynął majestatycznie zawieszony między niebem, a wodą. Ulotny ptak, którego kursy prowadziły w nieznane, w przyciętą. Widział siebie za sterem takiego statku. Kabinę sterową pomnożoną dziesięć, a może dwadzieścia razy przeniósł do swojej wyobraźni z kutra rybackiego, na jakim miał okazję być w Łebie. Reszta już się z niczym nie kojarzyła, raczej tylko z dałą i czymś nieuchwytnym, kiedy dal się kończy, a odkrywają nowe lądy. Tu wyobraźnia była skrepowana światłem doznań Conrada, a zdrowy rozsądek podsuwał myśl, że życie na statku musi dziś inaczej wyglądać, gdyż okupacyjne lata nauczyły patrzeć podejrzliwie nawet na najprostsze marzenia.

Dlatego też wezwanie na konkursowy egzamin za miesiąc do Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni, które przyszło do domu, potraktował jak nieporozumienie. Bo i skąd? Ta ewentualność w ogóle nie wchodziła w rachubę w poprzednich rozważaniach. Myślał najpierw o Szkole Jungów, jako pierwszym proku do PSM-ki. Matka z pobłażaniem patrzyła na jego nerwowe ruchy i niespokojne spojrzenia. Miała rację — nie powinien sobie zwracać głowy, bo tylko ma kłopoty i po co mu to wszystko? Zaraz wrzesień, nowy rok szkolny, a tu bzdurne wezwanie nie do Szkoły Jungów, tylko na drugi egzamin do Gdyni. Nie mógł się pogodzić z tą pomyłką. Napisał szybko list z zapytaniem i otrzymał odpowiedź potwierdzającą wezwanie na egzaminy wstępne do Państwowej Szkoły Morskiej. Zwiększono ilość miejsc na Wydział Nawigacyjny do Szczecina. Nie miał żadnej nadziei na ten konkursowy egzamin i nie ukrywał tego przed matką. To w wyraźny sposób wpłynęło na jej reakcję. Już nie odwozili go zbyt natarczywie od nowego wyjazdu, tym razem do Gdyni.

Żegnając go przed podróżą, powiedziała bez zbędnego żalu w głosie: — No jedź sobie, jedź, na te egzaminy, przynajmniej Gdynię zobaczysz, a swoją drogą dam na mszę świętą, żebyś egzaminu nie zdał — i poglaskała go czule po głowie, kiedy całował matczyną rękę. Zdawał sobie sprawę, że w takich obietnicach mama nie żartuje i że już następnego dnia da wikaremu, a może proboszczowi pieniądze na zbożny cel, żeby pozostał do matury w domu, a następnie pomyślał o przyzwoitym zawodzie. Wziął z sobą niewiele rzeczy na drogę z przekonaniem, że z matką i Bogiem nie wygra, co najwyżej można popróbować swoich sił dla uspokojenia samego siebie, że szansy na dostanie się do szkoły nie było. Wyruszył więc w drugą samotną wyprawę nad morze.

Zjechało się do dużego gmachu Państwowej Szkoły Morskiej w Gdyni na ulicy Czerwonych Koszniców kilka setek takich samych jak on marzycieli. Niektórzy nawet z dwiema walizkami z listami popierającymi od znajomych, czego nie ukrywali w rozmowach. Zostali zakwaterowani w gmachu szkoły i spali na piętrowych łóżkach przygotowanych dla zwiększonej ilości sezonowych mieszkańców.

W tej konkurencji niewiele miał szans, jak mu się zdawało, pamiętny również obietnicy mamy. Pisemne egzaminy nie były wcale trudne. Tak z matematyką, jak i z polskim uporał się dość sprawnie, nad podziw łatwo. Oczekiwały już tylko egzaminy ustne i badania lekarskie. W kolejce do gabinetu lekarza, rozebrany do pasa drżał

ze zdenerwowania, a serce mu łomotało coraz prężej i głośniej. Czuł je dosłownie aż w żołądku, w rękach i w nogach. Piersi rozsadzał potęgający się skurcz i nie mógł tego opanować. Czym dłużej z tym walczył w myślach, tym serce biło mocniej. Starał się w ogóle nie myśleć, rozpoczął bezsensowne liczenie, a jednak czuł niezmiennie wzrastający rytm, nie znany mu dotąd. Inni kandydaci stali spokojnie, żartowali, piersi im nie pulsowały, tak jak jego. Tymczasem jego klatka piersiowa pracowała, jak miech kowalski. Było mu głupio i z przerażeniem myślał o czekającym badaniu. Zdawał sobie sprawę, że w tej chwili jest coś z nim nie w porządku.

Wywołany po nazwisku wszedł do gabinetu lekarskiego, jak na ścięcie. Lekarz długo przytrzymał słuchawkę w okolicy serca, jeszcze dokładniej mierzył mu ciśnienie.

— Cemu się tak denerwujesz? — zapytał.
— Sam nie wiem — odpowiedział zgodnie z prawdą.
— A przechodziłeś jakieś choroby?
— Odre.
— I to wszystko?
— Tak, panie doktorze! — odpowiedział z naciskiem.
— No to co ty masz za serce?
— Chyba normalne, panie doktorze — odpowiedział prawie błagalnym głosem.
— Może i normalne, ale dla mnie nie za bardzo, rozumiesz?

I na tym się badanie skończyło. Na wieczornym apelu, odbywającym się niezmiennie każdego dnia, podano kto odpadł na egzaminach wstępnych z pisemnego. Nie usłyszał swego nazwiska, ale, to nie było wszystko. W kolejności zaczęto podawać, kogo odrzuciła komisja lekarska.

Bez zdziwienia usłyszał swoje nazwisko. Przecież tak musiało się skończyć, albo na egzaminie, albo inaczej — myślał — a i księdza starania nie mogły pójść na marne. Trudno, żeby Pan Bóg nie trzymał z mamą. Przeżywał jednak po cichu swój zawód. Wstępne badania niczego takiego dwa miesiące temu nie wskazywały. Serce biło normalnie. Skąd naraz teraz taka zmiana? — zadawał sobie pytania, na które nie umiał znaleźć odpowiedzi. Przynajmniej jednak mamie nie sprawię zawodu, bo w tym przypadku i Szkoła Jungów nie wchodzi w rachubę — pocieszał się sam.

Położył się po apelu do łóżka. Pociąg miał następnego dnia po obiedzie. Już nic go nie obchodziło. Mógł następnego dnia poznawać Gdynię, tak jak mu radziła matka.

Rano więc zjadł śniadanie i zaraz wybrał się do miasta. Nie poszedł jednak w stronę portu. Marzenia odpłynęły bezpowrotnie, nie chciał ich drażnić nowymi widokami morza i statków. Mógł wracać pogodzony ze sobą do domu. Na niepowodzenie był przygotowany znacznie wcześniej. Nie wiedział tylko, z jakiej strony ono przyjdzie. Z tej się raczej nie spodziewał, ale nie zmieniało ono wcześniejszego przecucia. Kupił po drodze pocztówkę z fragmentem Gdyni i wstąpił na pocztę. Wpadało wysłać pozdrowienia do domu z takiej ważnej „wycieczki”. Napisał: „Nie zostałem przyjęty do szkoły, łączę serdeczne pozdrowienia i ukłony z Gdyni — niedoszły marynarz”. Wrzucił ją do skrzynki. Przeszedł ulicę 10 Lutego po obydwu stronach, obejrzał Skwer Kościuszki, następnie wracając do szkoły zawędrował pod górę aż do lasu. Po powrocie z tej zaimprovizowanej z przypadku wycieczki spakował swoją wążką i wysłużoną teczkę, pożegnał się z kolegami, którzy przeszli do drugiej rundy egzaminów i wyszedł na korytarz, zmiernając do schodów prowadzących do głównego wyjścia z gmachu. Gdzieś z głębi korytarza dobiegło go wołanie. Przystanął, czy rzeczywiście słuch go nie myli, bo po co miałyby go ktoś wołać? Nie mylił się jednak. Po korytarzu niosło się coraz głośniejsze wołanie jego nazwiska, aż wpadł na niego uczeń dyżurny.

— Jestem, czego chcesz? — zapytał go,
— No to dobrze. Nie wiedziałem, w której sali mieszkaś. Masz się zgłosić do wychowawcy i to natychmiast.
— Ale ja wyjeżdżam do domu, co on może ode mnie chcieć?

— Nie wiem, idź do niego, sam się dowiesz?
Wraz z teczką wszedł do pokoju wychowawców i zameldował się przepisowo.

— A dokąd to kandydat się wybiera? — zapytał dość nieoczekiwanie wychowawca.

— Do domu, panie wychowawco — odpowiedział. — Nie nadaję się do szkoły.

— A gdyby tak w szkole pozwolili zostać, to co by miał kandydat do powiedzenia?

— Nic, panie wychowawco, bo nie pozwalają.

— Nie powiem, nie powiem. Zastanawiają się jeszcze nad tym. Egzaminów pisemnie dobrze zdane. Coś tam niby serduszko szwankuje. Macie zostać do jutra i rano ponownie zgłosić się do lekarza, a jak decyzyja będzie pomyślna — egzaminów ustne, no i co wy na to?

Nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć. Znów otwierała się delikatnie furtka, która w każdej chwili mogła się zatrzasnąć. Nawet nie umiał się z tej wiadomości cieszyć.

— To znaczy, że mam się rozpakować i zacząć do jutra? — zapytał, ażeby się upewnić, czy aby wszystko dokładnie zrozumiał.

— Jeżeli poważnie myślicie o szkole, to tylko to wam pozostało, a w ogóle kandydat ma szczęście, że nie wyjechał rano.

Rzeczywiście miał. Wprawdzie swego serca zupełnie nie uspokoił, ale już nie waliło tak mocno. Pogodzony z ewentualną, powtórną klęską, był bardziej opanowany, kiedy po raz drugi znalazł się przed obliczem lekarza. Przyjął go teraz zupełnie inaczej.

— To co, chcemy być marynarzem? — zapytał od progu.

— Bardzo — odpowiedział krótko.

— No to czemu się tak denerwujesz, pozwól tu bliżej!

Wziął go za przegub ręki. Popatrzył na leżącą na stole kartę, którą podała pielęgniarka.

— Dziś już znacznie lepiej z tym tętnem. A na pewno chcesz być marynarzem? — upewniał się z uśmiechem dla żartu, a może na poważnie.

— Oczywiście, panie doktorze. Po to tu przyjechałem.

— To brzmi przekonująco — powiedział sam do siebie lekarz. — Siostró, wypiszcie zupełnie nową kartę! — dodał, starą drąc na kawałki i wyrzucając do kosza. — A wam życzę dalszego pomyślnego zdawania egzaminów ustnych.

Nie wierzył własnym uszom. Wszystko zaczynało się rzeczywiście odwracać, jakby dobra wróżka odczytała zle czary.

— Panie doktorze, czy to znaczy że jestem zdolny do nauki w PSM? — zapytał z nadzieją w głosie.

— Jak będzie z tą zdolnością, to nie wiem. Z mojej jednak strony nie ma żadnych przeszkód i to chyba najważniejsze w tej chwili.

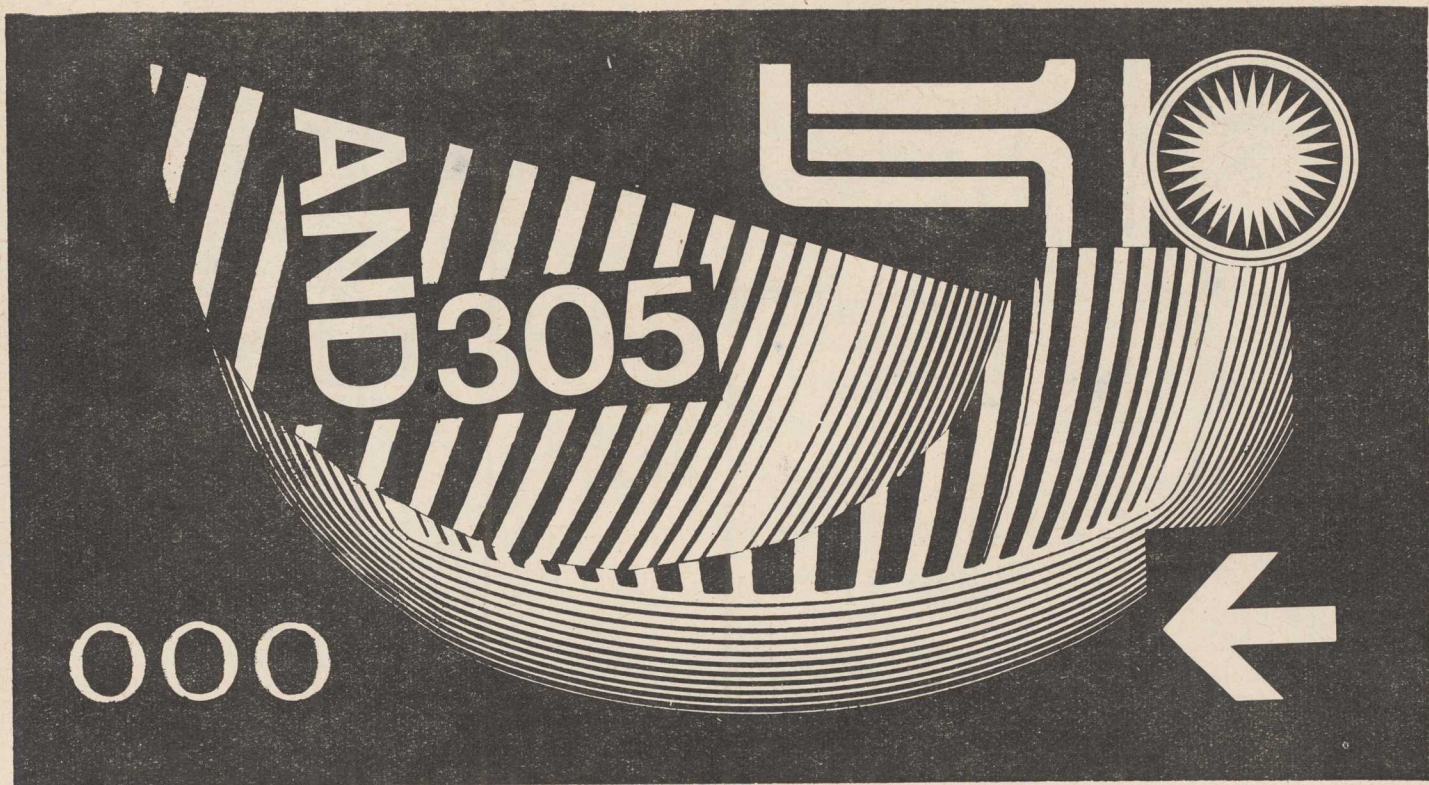
Już nie pamiętał, czy powiedział dziękuję, czy tylko do widzenia. Wskoczył z gabinetu, jak z procy i pobiegł do wychowawcy z wiadomością, że może przystąpić do egzaminów ustnych.

MARIAN YOPH-ZABINSKI

CONRAD

*szkuner Siedem Mądrości Wschodu wypłynął w morze
na sfalszowanych papierach
poszarpane żagle nerwów zaledwie powiązane
koniec z końcem w Patusanie
pola ryżowe okazały się fałszywą legendą malajską
podzielono i rozdano cały zapas chininy
zrobionej na fałszywej recepcie
tubyłcy modlili się do obłąkanego lorda
woda odgryzała ręce piaskom a z brzegu Sziwa
sześcioreki rzucił rękami w stronę wiatru
jakby zagarniał przyszłość całą
nie unikniesz swego przeznaczenia szeptali Malaje
tej nocy obłąkany lord rozmawiał z Dainą i Kissimem
w pałacu radży oczyma wyobraźni
a Malaje dyszeli jak byli i żądali białego proszku
zrobionego na fałszywej recepcie
tylko szczyptę sproszkowanej nadziei przeżycia
marynarz który nigdy nie miał talentu
nagle zaczął grać na skrzypcach... żagle rwał świt
zimny jak chińska porcelana
i z pól ryżowych i z poźółkłych stron świata
z trzcini w jedwabiach szła śmierć rodzaju męskiego
SKORPION BÓLU GŁOWY — nikt nie ocalił duszy
Jakuba Almayera*

Z wierszy nagrodzonych II nagrodą na I Ogólnopolskim Konkursie Literackim „O Laur Gryfa Stupskiego”



ANDRZEJ ŻYCHLIŃSKI

POMYŁKA

Zygmunt chodził zdenerwowany. Przemierzał długi pokład od śródkręcia po dziób, zawracał z powrotem by dalej pójść niecierpliwie tą samą drogą. Jego zachowanie od kilku dni sprawiało wrażenie nieudolnie ukrywanej niepewności, wewnętrznych przemyśleń, stał się opryskliwy i nieprzyjemny. Załoga to szybko podchwyciła, a próby dogłębnego wyjaśnienia przyczyny kończyły się odczepnymi frazesami.

Stali na redzie Cape Town. Osiem jednostek różnych bander oczekujących na wprowadzenie do portu wrożyło nieokreślony postój. Zapanowała atmosfera domysłów i dyskusji.

— Pewnie ze trzy dni postoiemy — stwierdził szef kuchni dołączając do sporej grupy załogi ustawionej przy burcie.

— Bzdury! — Cape Town to port bunkrowy dla nas, możemy wejść w każdej chwili, przecież nie dali jeszcze znać a w maszynie piętnastominutowy st-by — odpowiedział zadziornie „motor” przerywając panujące gadulstwo.

Janusz należał do tych ludzi statkowej społeczności, którzy wszystko wiedzą, cytował jak z rękawa wszelkie wiadomości i często w dyskusji przyjmował rolę arbitra. Spoglądano na niego z przymrużeniem oka, a tylko nowi na statku podejmowali polemikę, ustępując w obliczu przytłaczających argumentów. Czy wszystko było prawdą? — on sam tylko o tym wiedział.

Długobrody „trzeci” z maszyny dołączył do paczki gapiów z przenośnym radiem Made in Japan. Spokojnie, z precyzją wychwycił na falach eteru stację z programem rozrywkowym, rozległa się muzyka, przytępiając dyskusję.

— Nie ma się co martwić! Jak mają miejsce to szybko wprowadzą, a jak nie, to postoiemy z tydzień... — szelmowsko podlat oliwy do ognia.

Z odległości kilku mil od brzegu, słabym kształtem rysował się port, główki wejściowe, a dalej dzielnica murowanych domków krytych czerwoną dachówką. Wzdłuż wybrzeży fragmentaryczne odcinki autostrady a po nich poruszające się z dużą szybkością pojazdy wzmagaty pragnienie zejścia na ląd.

Przełot z Australii do Afryki Południowej był dla nich męczący. Trochę kofysało, poważna awaria maszyny, przez cztery doby postój przymusowy na kotwicy i walka o sprawność techniczną dały im się mocno we znaki. Rejs im się przedłużał a wszyscy mieli świeżo w pamięci obraz zmagani wzdychając o bezawaryjną jazdę.

— Z portu wyszły dwa holowniki! — wskazał Janusz z dumą wyższości. I tym razem miał rację. Holowniki wzięły kurs prosto na ich statek, nie uległo wątpliwości, że za kilka godzin będą stać przy nabrzeżu. Operacje związane z podaniem holu i wejściem pilota na pokład nie trwały zbyt długo. Po wszelkich przygotowaniach maszyna bezbłędnie zastartowała, olbrzymia masa zielonkawo-niebieskiej wody zakotłowała się za rufą i statek marudnie nabierał szybkości zmierzając do portu. Surowy, skalisty kontynent stał się teraz bardziej czytelny, weszli w należycie zagospodarowane nabrzeża portowe i stanęli na końcu długiej kei. Przed nimi cumował pękaty japoński zbiornikowiec.

Ciężkie liny zawisły na polerach, holowniki pomogły wybrać luz między statkiem a nabrzeżem. Oczekiwali na agenta. Portowi robotnicy kręcili się po nabrzeżu lustrując fachowym okiem ich statek. Przy trapie zapanował ożywiony ruch zwiastujący gorączkowe przygotowania do wyjścia do miasta.

— Agent już był? — spytał trapowego Zygmunta.

— Nie — odpowiedź otrzymał od kilku osób.

— Ileż to potrwa?! Przecież agent powinien czekać na statek!

Są różni agenci. Jedni obrotni i zaradni, czuć opiekuńczą rolę i wszystko załatwią, inni obojętni i spóźnialscy. To denerwuje załogi statków, a w skutkach jest wiele spraw nie załatwionych, odłożonych ad akta do następnego spotkania.

Z piskiem podjechał zakurzony samochód i zatrzymał się tuż przy trapie. Wysiadł wysoki, szczupły mężczyzna w eleganckim garniturze, w ręce trzymał skórzaną teczkę. Szybkim krokiem wszedł po trapie.

— Good morning! Where is captain? — Dzień dobry! Gdzie jest kapitan?

Wskazano drogę i szybko zginął w zakamarkach statkowych korytarzy.

Teraz wszyscy chętni do wyjścia do miasta ustawili się w kolejce pod drzwiami ochmistrza. Będą przepustki do miasta, korespondencja z kraju, świeże wiadomości od najbliższych i przez te kilka minut czytania szczęśliwcy trafią do zakamarków domowych spraw pozostawionych dawno na drugiej półkuli.

Gdy drzwi się otworzyły, zapanował tłok. W głębi stęchać było donośny głos ochmistrza.

— Jackowski Leszek — zaległy list z Japonii i Australii.

— Łukomski Marian — list z Cape Town.

— Borowczyk Jan — list z Japonii.

— Wach Roman — trzy listy; z Japonii, Australii i Cape Town.

Szczęśliwiec! — głośnie komentarze rozległy się wśród zgromadzonych.

Spora sterta listów szybko topniała w rękach ochmistrza. Zrobiło się luźniej, już tylko garstka pozostała z nadzieją na list.

— Lipski Ryszard! — głośnie z namaszczaniem powiedział ochmistrz. Wyjął chusteczkę, zroszone potem czoło otarł i z ulgą wskazującą zmęczenie rzekł: — Więcej listów nie ma! Za dwadzieścia minut będą przepustki!

Drzwi od kabiny ochmistrza z trzaskiem zamknęły się. Stojący koło nich szef kuchni, w nieco przybrudzonym kitlu, spurpurowiał. Zaklął pod nosem bogatą wiazanką, strzelił śliną przez zaciśnięte zęby i biegiem ruszył do kabiny „radiego” po krętych schodach nadbudówki. Dochodziły odgłosy w biegu redagowanego telegramu...

Zygmunt nie dostał listu. Stał jeszcze chwilę, dokończył palić papierosa, wyciągnął natychmiast drugiego, przypalił, dwa razy głęboko się zaciągnął i poszedł do kabiny. Pomimo wolnego czasu nie wyszedł do miasta. Krzątał się w pomieszczeniach statkowych, nie wiedząc, co z sobą zrobić. Trafił z powrotem do kabiny. Cisnął ze złością w kącie nie dokończoną książkę. Nad kąją wisiało zdjęcie Elżbiety. Wtedy jeszcze była panną, jeszcze jej nie znał. Włączył oświetlenie i zaczął się bacznie jej przyglądać.

— Dlaczego nic nie piszesz? Co się z tobą dzieje?! — przecieć to już setny dzień rejsu. Żadnej wiadomości. Przecież tak nie można! Trzy razy próbowałem połączyć się telefonicznie, cisza, nikt nie odpowiadał! Co to ma znaczyć? Jak czują się dzieci?!

Ta lawina pytań była bez odpowiedzi. Rozmawiał sam z sobą, a Elżbieta dalej pogodnie spoglądała uśmiechając się. Była urocza i tylko taką pozostała, nie reagowała na wszelkie zarzuty i pytania. Wisiała spokojnie nad kąją w estetycznej cieniutkiej ramce. Obok dwójka uroczych dzieci, syn zaczął chodzić w tym roku do szkoły. Tak! Miał rozpocząć naukę we wrześniu, już w lipcu przed wyjściem w morze rozmawialiśmy o tym. Były plany, szumne zakupy szkolnego rańca, elementarza i kredki.

— Czy chodzi do szkoły? — Który dzisiaj? — spojrzął na wiszący nad radiem kalendarz. Dwudziesty piąty wrzesień!

Myśląc uciekał wstecz, gdy zarabiał mniej, gdy dzieci były zwykły przypadek zdecydował, że dzisiaj są ośmioletnim małżeństwem. — Jaka jest Elżbieta? — Czy znam ją na tyle, by wszystko powiedzieć o jej problemach? Jak postępowałem w naszym pożyciu, czy nie popełniłem zasadniczego błędu? — te pytania tłoczyły się na siłę, wprowadzając chaos, a główna myśl; dlaczego nic nie pisze? Od około dwóch lat dostrzegł pewne zmiany. Ich powitania z rejsu w jakimś zasadniczym stopniu się nie zmieniły. Zawsze były kwiaty, pocatunek, dla dzieci drobne prezenty. One przysparzały najwięcej radości, uśmiech Elżbiety niby pozostał ten sam, wyczuwał jednak jakąś ukrytą tajemnicę, tę nieprzeniknioną głębię oddalającą nieubłaganie ich osoby. Zafatował, że wtedy nie zdobył się na szczerą rozmowę, wyjaśnić sprawy, które tkwiły w domysłach, rozwiązać niepewność narastającą w kolejnych rejsach.

Myśląc uciekał wstecz, gdy zarabiał mniej, gdy dzieci były bardzo małe, gdy dorabiali się wspólnie najdrobniejszych szczegółów. Wtedy było dobrze. Teraz, gdy jest mieszkanie, samochód, dzieci dla których wspólnie pragną żyć, coś zaczyna przyskadzać. Dlaczego? — Może sprawa mojego pływania? Kobieta potrzebuje obecności mężczyzny. Przecież życie składa się z tych drobnych spraw, które budują problemy, czasami za trudne do pokonania przez tylko jedną osobę. — Nonsens! — Przez tyle lat nigdy nie wspomniata; zrezygnuj z pływania. Poznała mnie marynarzem i zawsze była z tego dumna. Czy tak jest dalej? Muszę koniecznie z nią o tym pomówić!

Głośnie pukanie do drzwi wyrwało Zygmunta z tej niezmqcanej niczym chwili przemyśleń.

— Budzę na wachtę! Wpół do dwunastej! — znajomy głos przerwał te rozważania.

Szybko ubrał się w kombinezon, poszedł do penty, coś przegryzł, wypalił papierosa i stromymi schodami zszedł do maszyny. W pomieszczeniu stęchać było miarowy rytm pracujących agregatów.

— Bierzymy paliwa! — rzekł krzykliwie w ucho do niego Ryśiek zdający wachtę.

— Chodź, pokażę ci otwarte zawory, byś nie pomylił.

— Zygmunt! Co się z tobą do cholery dzieje?! Nigdy nie byłeś w tak grobowym nastroju. Z powodu listu? Wszystko będzie dobrze, nie martw się idioto!

— Odpieprz się, to są moje sprawy!! — spojrzął złowrogo Ryśkowi prosto w oczy.

Rejs znacznie się przedłużał. W morzu przyszła wiadomość, by udać się do Grecji, a później do kraju. W Grecji Zygmunt też nie dostał listu. Zresztą przyszło ich bardzo mało, widocznie armator nie był w stanie w porę poinformować rodziny.

W cieśninach duńskich wszyscy żyli już własnym domem, w messie panowała ożywiona dyskusja zwiastująca powrót do kraju po wielu miesiącach.

— Panie „czwarty”! Pańska syrenka pewnie już wyjechała ze Szczecina. Jak panowie zobaczą popielatą syrenkę z szafową blondynką za kierownicą, to „czwarty” premiuję „kielichem” — ożywił dyskusję Janusz.

— Syrenka to jeszcze marka! Gorzej z trabantem. Może przez te kilka miesięcy szczury go podżarły i przyjdzie „lataj lotem” lub byle jakim „auto-stopem” — odgryzł się czwarty.

Wjeździe do Swinoujścia okazało się wyjątkowo dobre. Droga radiową przekazano informację, że statek stanie przy nabrzeżu postojowym Władysława IV, bo pod węglowym zajęte. Dwa holowniki wyszły na redę, podano hol i idąc wolno-naprzód statek wszedł do portu. Była późna jesień, słoneczna pogoda z dość silnym północnym wiatrem. Cała załoga wyległa na burcie, nawet kucharz w białym kitlu wyskoczył na pokład, by wśród sporej gromady oczekujących odnaleźć swoją.

Na nabrzeżu stała grupa około czterdziestu osób. Nieśmiało pomachiwała. Gorączkowo szukano się nawzajem.

Zygmunta nikt nie witał. Stał na uboczu przeżywając akt głęboko tłumionej rozpacz. Co się stało? To niemożliwe, musi być jakaś poważna przyczyna! Muszę jak najszybciej do domu. Zaraz po odprawie statku, która wydawała mu się jak nigdy długa, szybko zbiegł po trapie. Wsiadł na postój do taksówki.

— Do Szczecina proszę! Możliwie szybko, bez przystanków, na Chęcińską.

Przez całą drogę nie zamienił ani słowa, pomimo że taksówkarz okazał się wyjątkową gadułą. Różne myśli płątały się po skołowanej głowie. Ślamazarna prędkość samochodu potęgowała napięcie, rozsądzała wewnętrznie ujarzmioną niepewność marynarskiej duszy. Jeszcze tylko dwie ulice. Przekłęte skrzyżowanie. Znowu te światła. Ostro zahamował samochód przed domem numer siedem.

Wyskoczył jak oparzony, długimi skokami znalazł się na pierwszym piętrze. Głośnie zapukał do drzwi. Cisza! Cholerna cisza! Nerwowo przerzucił kieszenie kurtki. Znalazł klucz, przekreślił go w zamku, wbiegł do przedpokoju.

Jego oczom ukazało się mieszkanie puste, pokryte równo odłożonym kurzem. Na stole oparty o popielniczkę był list. Zadresowany ręką Elżbiety. Charakter jej pisma dobrze znał. Ilek goryczy listów do różnych portów świata było nim pisanych. Rozerwał kopertę, wyciągnął kartkę:

Zygmunt!

Ja dłużej już tego nie mogłam wytrzymać! Widocznie jestem zbyt słabą kobietą, by pokonać to wszystko. Walka z samotnością jest okropna. Nigdy Ci o tym nie mówiłam, abyś zrezygnował z pływania. Również teraz, w obliczu podjętej decyzji nie chcę tego. Wiem, czym dla Ciebie jest praca na morzu. Poznałam mężczyznę, który będzie moim przyjacielem na co dzień. Przy jego ramieniu będę mogła żyć spokojnie. Wiem, że pomyliłeś się licząc na mnie. Ja sama również się pomyliłam. Inne kobiety widocznie są silniejsze, bardziej zaradne, by sprostać same życiowym problemom. Już nie jest w stanie zmienić to, co nastąpiło.
Elżbieta.

Usiadł, zapalił papierosa, rozejrzał się po pokoju, jakaś nieprzenikniona pustka zapanowała wokół. Wszystko wydawało się szare, smutne, nieprzystępne i obce. Na stole postawił dwie maskotki przywiezione dla dzieci z dalekiej Japonii.

Powoli zszedł po schodach, przed domem czekała nie zapłacona taksówka.

— Jedziemy z powrotem do Swinoujścia!! Na Władysława IV!

OD WIDOKÓWKI DO MITU

Nie mam zamiaru pisać, którzy poeci i jakie wiersze znalazły się w tej antologii,* kogo nie ma i który wiersz powinien by znaleźć się w owym wyborze. Zbigniew Jankowski dozwolił autorom dokonać samodzielnego wyboru utworów, a osobiście zajmował się tym wówczas, kiedy otrzymywał *carte blanche* w tej mierze lub spotykał się z *desinteressement* ze strony autora. W samym fakcie powstania jeszcze jednej antologii nie byłoby nic niezwykłego i tego rodzaju wydawnictwo byłoby zapewne godne jedynie odnotowania w otoczce laurki. Jednakże Jankowski postanowił ukazać czym jest, jak funkcjonuje morze (ściślej: pojęcie morza) w twórczości i świadomości poetów; tytuł antologii wcale nie jest przypadkowy. Więc przypomnijmy, że oprócz zbioru wierszy Jankowski zamieścił również wypowiedzi autorów na temat ich filiacji z morzem, wypowiedzi nieprzypadkowych, lecz napisanych na użytek tej właśnie antologii. Zatem zawarty w niej został niemal cały topos morski — „najstarszy topos ludzkości”, jak napisał S. Stabro — i zarazem geneza powstania wierszy morskich (lub raczej z motywem morza), a tym samym również ukazana została samoświadomość pisarzy zawarta w tej swoistej ankiecie — czym dla nich, w życiu i w poezji, jest morze.

Bodaj najczęściej eksploatowanym w poezji (choć może bardziej w wypowiedziach niż w praktyce artystycznej) okazuje się pojęcie morza jako żywiołu. Charakterystyczna wypowiedź Z. Bieńkowskiego: „Bezbrzeżne, nieogarnione, a przecież ograniczone pojemnością oka, a przy tym zmienne w trwałości, dotykalne i nienamacalne, jednocześnie jest kompleksem sprzeczności, a więc tym, co ze wszystkich elementów ziemskiego świata najbliższe jest wyobrażeniu nieskończoności. Jest jedynym dostępnym ludzkiemu oku pejzażem metafizycznym, pejzażem niepodległym empirii. Żadne doświadczenie człowieka całkowicie go nie ogar-

nie. (...) Dopiero w konfrontacji z żywiołem ludzkiej duszy żywioł morza ujawnia się w pełnej skali. (...) Dopiero w morzu Melville'a i w morzu Conrada odbija się nieskończoność, moralne i metafizyczne odniesienie skończoności ludzkiego losu. Bo będąc sobą morze jest przede wszystkim morzem możliwości. I dlatego było, jest i będzie bardziej wyobrażeniem niż rzeczywistością.” Nie negując tej wypowiedzi, zwłaszcza słów o „konfrontacji duszy ludzkiej” (czymże innym jest „Statek pijany” Rimbaud'a?), a także o „kompleksie sprzeczności”, przyznać się muszę, że pobrzmiwa mi tu trochę młodopolska egzaltacja z jej kultem żywiołów.

Zastanawiam się, czy gdyby autor tej wypowiedzi odbył rejs (zresztą, może odbył) na pokładzie statku wibrującym od pracy maszyn, nadal miałby kult dla morskiego żywiołu. Biedny żywioł, bezbronny wobec plam ropy naftowej. Żywioł, na którym być może, w niedalekiej przyszłości zostaną wytyczone szlaki żeglugowe pomiędzy wieżami wiertniczymi, fabrykami filtrującymi magnez i stacjami badającymi, co z tego żywiołu da się jeszcze wycisnąć. Żywioł Conrada... Jakaż różnica między żaglowym szkunerem a przemysłowym stutysięcznikiem. Może ten żywioł będzie miał niedługo już tylko swoje rezerwy. Przepraszam... oczywiście, że przejęskrawiam, wcale nie jestem katastrofistą. Ale nad pojęciem „żywioł” warto się zastanowić. Co to właściwie jest?

Tak najprościej mówiąc, to coś groźnego, nieokiełzanego, niepoznawalnego, z czym często człowiek musi się zmagać. Lecz właściwie człowiek zawsze z czymś toczy zapasy. A czy dla Leśmiana nie były metafizycznym żywiołem las lub łąka, tajemnicza żywej przyrody? Znamienne i wprost rewelacyjne połączenia żywiołów widzimy np. w wierszu J. B. Ożoga „W lipcowy czas”:

*kołysze się dno wonią młodą
jak pierwsze w dłoniach listki bzów.
Wrażenie masz, jak gdyby wodą
gnał milion rozszalanych krów.*

*Srebrzą się brzuchy pianą mleka,
ostrzą się grzbiety, rogi gną —
i pod niebieski dach z daleka
stada od wodopaju prą.*

Zastawiam się również, czy nie są także żywiołem kamienne pustynie współczesnych zmotoryzowanych miast, martwych, lecz przecież stworzonych ręką człowieka. A kosmos? Od ilu tysięcy lat ludzie patrzyli w niebo, odkrywali nowe gwiazdy i galaktyki i zastanawiali się z zadumą nad ogromnymi przestrzeniami pomiędzy nimi. Nawiasem mówiąc, ciekawa byłaby antologia na temat „obrotów ciał niebieskich”. Żywioły, te naturalne. Rzeczywiście, istnieją, chociaż coraz bardziej karleją i coraz bardziej będą się stawać wyobrażeniem właśnie, mitem.

Wróćmy jednak nad morze. Oto E. Bryll, piewca mazowieckiej bulwy: „W mojej poezji morze pojawiło się po raz drugi wtedy gdy zobaczyłem Pacyfik. Za San Francisco idzie droga na północ. Już kilka mil za miastem wspina się na góry obrywające się tuż nad oceanem. Tam zobaczyłem widok, który wydał mi się jak wyjęty z księgi Genesis. Huk fal, rozrzucone cielska skał, na których legiwały lwy morskie i brzeg jakby jeszcze nie tknięty żadaną dłonią — poza dłonią stwórcy”. No tak, żywiołu nie zobaczy się ze słonecznej plaży.

Ciekawą też wypowiedź zamieścił L. Szwed. Nawiązuje ona do problematyki żywiołu, ale z nieco innego punktu widzenia. „Ustabilizowany, uporządkowany i w systemy ujęty łąd daje nam poczucie bezpieczeństwa, głosi (...) że zna ostateczną tajemnicę. (...) łąd to twarde, pewny grunt pod nogami. Domaga się reguł, zasad, prawa i wierności. łąd jest dla mnie symbolem racjonalizmu, który daje poczucie pewności i bezpieczeństwa. Ale w oczach ludzi morza podpatrzyłem stałą czujność i niepokój. Bo wystarczy kilka godzin, żeby fala zmieniła się w złowrogą potęgę, grzmotnęła w nas, przewróciła statek i wessała tak, że ani śladu nie pozostanie (...) łąd i morze to dla mnie symbole głównych orientacji: racjona-

* ZBIGNIEW JANKOWSKI: *Morze u poetów. Wiersze i wypowiedzi współczesnych poetów polskich. Antologia.* Gdańsk 1978.

lizmu i irracjonalizmu. Dwie moce bowiem rządzą nami: prawo lądu i bezprawie morza." Oczywiście, można by na ten temat dyskutować, czy bezprawie nie pełni się przypadkiem zarówno na morzu, jak i w „przeźrliwie trzeźwych oczach miasta”, ale zawsze pozostaje licentia poetica, prawo do własnej wizji, niepodporządkowanej (pseudo)naukowym racjom.

Morze, to również pamięć, że tam gdzie dziś chodzimy suchą stopą, przelewały się fale i że z tych fal przed milionami lat wyszliśmy na brzeg jako nędzne stworzenia wodno-ziemne (W. Szymborska, podobnie A. Szymańska). J. Markiewicz stwierdza: „Pamięć zawarta w naszym DNA co najmniej w 3/4 ukształtowała się w morzu.”

Mówiąc o morzu, nie sposób pominąć pracy z nim związanej. Mamy w antologii poetę kapitana żeglugi wielkiej — W. Perkowskiego. Pisze: „Autopsja nie jest rzecz jasna gwarancją najdoskonalszej wizji morza, ale lekceważenie faktu doznania i doświadczenia żywiołu na własnej skórze, jest wyjściem zaledwie nieco poza główkę falochronu. (...) Pomimo całego dwudziestowiecznego wyposażenia człowieka w elektroniczną aparaturę, najnowocześniejsze urządzenia nawigacyjne — trud człowieka morza do dzisiaj ma i śmiem mniemać, długo jeszcze będzie miał, coś z trudu pierwotnego.” Kapitan ż. w. przeczy moim poprzednim wywodom. Nie będę się spierać, dodam tylko przekonanie, że na drogach lądowych ginie co najmniej kilkadziesiąt razy więcej ludzi niż na szlakach morskich. A w samej poezji Perkowskiego więcej refleksji — wpisanej w morskie tło — niż „pierwotnego trudu”. Czego nie mam poecie za złe.

Tym, który m. in. ukazuje pracę na statku, jest sam twórca antologii Z. Jankowski, poeta, który jak nikt w Polsce zauroczył się morzem. Biorąc do ręki książkę, byłem bardzo ciekaw, jakie też własne wiersze wybrał do niej. Wybrał utwory różne. Ale znalazły się również te mówiące bezpośrednio o pracy na kuterze rybackim, pracy, którą pisarz sam podjął na krótki czas, aby i od tej strony poznać morze. W wielu wierszach Jankowskiego morze jest wielką metaforą, Bogiem i Kosmosem, przestrzenią przenikającą wszystkie zmysły i myśli, opływającą każdy niemal konkret. A jednak nie te wiersze wybrał, bo poza nim i S. Wasylem o pracy rybaków mało kto pisał. Postanowił dać jeszcze jedno spojrzenie, mało znane czytelnikom poezji. Metaforę i symbol pozostawił tym razem innym poetom. Zaś S. Wasyl, który odbył rejs rybacki aż na Pacyfik, pisze: „Mieszkając nad morzem, pracując w morzu, wyczulony jestem na nieprawdę o nim wypowiedzianą poetycko, nie fałsz wierszy „morskich”, płynących bezwładnie na falach własnej emfazy.”

Lecz z inspiracją morską różnie bywa. R. Liskowacki: „Mieszkam w Szczecinie ponad 20 lat. (...) spotykam się z ludźmi morza, mam serdecznych przyjaciół wśród tych, którzy większą część życia spędzili na pokładzie. Ale ja morza nie znam i chyba nie znam dokładnie moich przyjaciół marynarzy, bo aby ich poznać, trzeba dokładnie poznać morze. (...) I chyba właśnie dlatego ani jedna z moich dwudziestu wydanych książek nie jest z morzem zwią-

zana, nie jest morzu poświęcona”. A w wierszu: „bom nie twój jeszcze — morze”.

Cz. Kuriata: „Morze traktowałem zawsze jako metaforę, która w poetyckim symbolu oddaje zmagania się człowieka z naturą”. A oto fragment „Dialogu”, który odczytuję jako erotyk:

*I nagle mówi Wyrzuć mnie z tej
formy
jaką jest ciało Wypełń mnie
Wypełniaj
mnie wciąż od nowa Bierz przykład
z fal
morskich Niech rytm będzie wieczny*

*I nagle odpowiada Jesteś mi
potrzebna
potrzebą powietrza słońca krwi Optyń
mnie morzem Owiniń strumykami
błyszcząca twoich żył*

Podobnie u T. Kijonki w wierszu „Co powiesz...”, a nieco inaczej u Teresy Ferenc, jako że w jej poezji dominuje motyw demetrejski:

*A kiedy rozwiązania pora
cierpliwłość tak dopasowana
jak ból brzucha*

*W zieloną skórę ziemi idę
jak we własną
A ty kotyszysz się
wielki ukwiat
na cienkiej strużce
ponad powierzchnią rozbuchanej
wody
głód rozwiera ci usta
(Spojrzenie ziemią)*

Odmienne przedstawia się obraz morza u J. Stycznia, uznanego za najwybitniejszą indywidualność wśród polskich surrealistów. Styczeń pisze: „Każdy z widzów chciałby dotknąć chociaż na chwilę owego falowania, dotknąć ręką Czasu. Zwierciadło to byłoby jednocześnie przestrzenią, taką jak na obrazach surrealistów. Bowiem malarze surrealiści z wszystkich artystów najlepiej oddają wrażenie przestrzeni.” To w malarstwie. A w poezji? Raczej tęsknota za przestrzenią.

*— może gdy serce nabierze od tych
łez wody —
przezroczyściej źródlanej
i zamieni się w szumiące morze
ja sam pójdę brzegiem tego morza
którego szum wydobędzie ze mnie
natchnienie
(W domu na środku morza)*

Bo kiedy indziej (zresztą, o ile znam twórczość Stycznia, nie morze jest żywiołem tej poezji) motywy morskie sprowadzają się raczej do rek wizytów, np. w wierszu „Anarchistyczni argonauci”: „najpierw znaleźliśmy się w chłodni/ nauczał tam książd/ pod jego przewodem/ składaliśmy ryby do cyborium/ którym był kielich z napisem:/ „most smartly gentlemen”/ stojący na kredensie w salonie nad chłodnią/ przy mszy pomocą księdzu był radar i echosonda”. Oczywiście, ryba składana do cyborium przypomina tu przede wszystkim znak wczesnego chrześcijaństwa.

Wiele by można pisać o znaczeniu metafor i symboli, zastanawiać się nad funkcjami motywów morskich w poezji, przywoływać przenośny sens masztu lub żagla itd. Warto by się zastanowić

nad znakami ogólnokulturowymi — np. Itaka — inspirowanymi przez morze, a zakorzenionymi w tradycji literackiej, posiadającymi nawet wartości archetypów. Ale to już temat do pracy habilitacyjnej, więc pozostawiam go ku uwadze drobiazgowych analityków.

Nasuwa się bowiem ogólniejsze pytanie: czym jest ta antologia? czy tylko przeglądem morskiego toposu? dokonaniem polskiej poezji marynistycznej? Nie tylko. To jest również podtrzymanie i rozszerzenie mitu morza. Nie tyle przez sam dobór wierszy, ile przez wypowiedzi poetów, być może dopiero teraz uświadamiających wielu z nich samym, czym w ich twórczości jest morze i precyzujących może właśnie w owej ankiecie swój własny mit. Jest w tym niewątpliwa zasługa Jankowskiego. Bo w moich rozważaniach częściej przez przekorę próbowałem podważać morską mitologię, a ściślej, nie tyle mitologię, ile egzaltację i fetyszyzowanie morza.

Dygresja: użyłem słów „poezja marynistyczna”. Niektórzy skrzywią się z niesmakiem. Ale nie trzeba być „marynistą”, aby napisać dobry utwór o morzu. A zła sława marynistyki (zwłaszcza w prozie) bierze się stąd, że często przedostatni w literaturze chcą być w czołowiec marynistów. Czy umniejszy wielkości Conrada, jeśli go nazwiemy marynistą? I po co, zamiast skrótów, mamy mówić „literatura o motywie morskim”.

Wracając do antologii: nasuwa się refleksja, że poezja z obrazem morskim bardzo często rodzi się okazjonalnie. Lecz cóż poradzić na to, że z wybrzeża wygląda morze jak duże jezioro, w którym można się zaledwie zamoczyć, podczas gdy pomiędzy góry o wiele łatwiej wniknąć. A u nas łatwiej znaleźć się wśród gór, niż w sztormie na pełnym morzu.

Jankowski w wierszu „Głębokość” (poza antologią) napisał: „Co wiemy o morzu/ wzdychacze od zachodów słońca/ podkarmiający swoje duszeczki/ mewim okrucmem”. To — przeciwnie łatwym i powierzchownym wzruszeniem, przeciwnie kiczowatym widokówkom. Ale ja nie mam nic przeciwko ładnym, dobrym widokówkom, których trochę i w antologii się znalazło. I nie znam ładniejszych „widokówek”, popartych przecież najczęściej refleksją, niż M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, która już nie mogła wypowiedzieć się i znaleźć w antologii, co tym bardziej kusi mnie, by zacytować początek jej wiersza „Morze”:

*Morze jest całe w koła oczu émy lub
sowy,
całe w drzeniach jedwabi, biały
szytych ścięgiem
—i jest podobne sukni pstrej,
grodnaplowej,
w falbankach śnieżystych,
musujących brzegiem.*

Na zakończenie wypadałoby zastanowić się, które wiersze w wyborze Jankowskiego są najlepsze, które poruszają myśl i uczucie. No cóż, to prawdopodobnie, że najlepsze wiersze piszą poeci najlepsi. W tym wypadku najchętniej wymienię „Rozmowę z morzem” M. Jastruna, „Conrad” A. Słonimskiego, a z młodszej generacji J. Markiewicza „W ciałach kobiet wschodzi słońce”.

PODWIECZOREK PRZY TEXELL

„O godz. 08.42. rozpoczęto akcję ratunkową załogi motorowca bandery holenderskiej „Lya” zatopionego na skutek zetknięcia z dryfującą miną (...) Wiatr 6—7, stan morza 5 (...) Rozbitków pływających w morzu podjęta własna szalupa. Rozbitków znajdujących się na tratwach zdjęto z pokładu (...) W czasie akcji ratunkowej wypadł z szalupy za burtę starszy marynarz Antoni Bielik. Nie odnaleziono go mimo intensywnych poszukiwań (...)”

(fragmenty zapisu w dzienniku okrętowym s/s „Nakło”)

Z całej załogi holenderskiego motorowca zginął tylko jeden człowiek.

Można więc mówić o dużym szczęściu i sprawnej akcji ratowniczej, bo warunki były trudne. Zupełnie wyjątkowe szczęście mieli kapitan i radiotelegrafista motorowca, którzy dosłownie w ostatniej chwili opuścili mostek. Udało im się ująć wielkim wirom stworzonym przez tonący kadłub i niebawem wyciągnęła ich z morza szalupa.

Na drugi dzień, koło Texel, przekazano rozbitków na wezwany drogą radiową holenderski statek ratowniczy. Oni położyli się na swój stary kurs w kierunku Kanału.

Marynarze po zdaniu rozbitków składowali pokład i zjedli obiad razem z podwieczorkiem. W mesie krzesło Bielika pozostało puste. Młodszy jak zwykle wcisnął się na wąską ławkę pod ścianą. Wszyscy jedli w milczeniu z rzadko przerywanym krótkimi uwagami o czekających ich zajęciach. O tym co było — nie mówił nikt.

Dawna osada szalupy od wczoraj nie zdała nawet kolegom dokładniejszej relacji. Zresztą, nie było na to specjalnie czasu przy krzątaninie wokół rozbitków i w tym całym zamieszaniu, jakiego wprowadzili w rytm statkowego życia. A może zbyt ciężko było się tłumaczyć... Tylko na nocnych wachtach powściągliwie rozważano techniczne przyczyny bielikowego dramatu.

Bosman dopił ostatni łyk kawy i stuknąwszy kubkiem o stół powiedział:

— No więc jak jutro będzie sucho, wracamy do malowania wind. Trzeba to skończyć przed Anglią. I żeby wachtowni jak schodzą ze steru nie palili pół godziny papierosa, tylko zaraz łapali za pędzel. Czerski, wiesz chyba, że teraz będziesz na stałe jeździł z Mroczkim. Ty jesteś starszym wachty.

— Mroczek już na sterze...

— Dobra. A ja zostanę na dejmance sam — stwierdził takim tonem jakby miał o to pretensje do całego świata. Zaraz jednak dorzucił: — Wszystkim nam będzie teraz trudniej... — spojrzął ukosem na puste krzesło — bez Antosia...

Atmosfera zrobiła się jeszcze cięższa, bo te ostatnie parę bosmańskich słów zabrzmiały jak mowa pogrzebowa. Ktoś odchrząknął, ktoś wymruczał jakieś przytakujące monosylaby, ale nikt nie podjął tematu. Odczuwało się, że wszyscy mają ochotę jak najprędzej wstać od stołu, wyjść z mesy, tylko żaden nie chce być tym pierwszym.

Bosman obrzucił ich krótkim spojrzeniem i nagle podniósł się z krzesła. Mimo swej tuszy ruchy miał szybkie i zdecydowane, a spojrzenie, wbrew sprzeczności, przez opuchnięte powieki wrażeniu — żywe, jak czasem marynarze powiadali — świdrujące. Nim inni zdecydowali się pójść za jego przy-

kładem uchylił drzwi mesy, wyrzwał na pokład, zamknął drzwi i wydobyl z kieszeni poszczerbiony, składany nóż. Odśapnąwszy głośno schylił się i podważył nożem boczną ścianę szafki kredensowej, tuż przy podłodze.

Weidzieli co teraz nastąpi. Zawsze ich śmieszył ten niezmiennie konspiracyjny ceremoniał otwierania prymitywnego, bosmańskiego schowka, o którym wiedziała cała załoga pokładowa. Ale nikt jeszcze nie odważył się doń zajrzeć, mimo że często bywały tam rzeczy łakome dla marynarskiego podniebienia. Schowek stanowił jeden z uznanych zwyczajowym prawem wyłącznych bosmańskich przywilejów.

Wyjął litrówkę spirytusu, postawił ją na stole i usiadł na swoim miejscu.

— Jesteśmy prawie w komplecie... — powiedział i nie kończąc zdania zaczął im się po kolei przyglądać, jakby chciał przypomnieć sobie ich twarze, lub znaleźć w nich coś, czego gdzie indziej bezskutecznie poszukiwał.

Byli rzeczywiście prawie wszyscy, z wyjątkiem Mroczka i Józwiaka, którzy zrezygnowali z jedzenia i prosto po pracy poszli spać. Rzadko zdarzało się, by na morzu spotykali się wszyscy przy posiłkach. Teraz byli tu i obaj pozostali starsi marynarze — żylasty Grzelak z posiwiałą czupryną i nonszalancki Gerard, który nawet roboczy drelich nosił tak, jakby to był smoking. I pyskarty deck boy Olek. I młodszy marynarz Czerski. Wraz z bosmanem pięciu.

— ...więc myślę, że powinniśmy się napić za pamięć Antosia — dokończył bosman i rozumiejąc, że odpowiedzi i tak być nie może, ostrożnymi uderzeniami dłoni otworzył butelkę. Nalał po tegiej porcji do pięciu kubków.

W milczeniu wzięli kubki w garście. Nie wiedzieli co powiedzieć, czy w ogóle należy cokolwiek mówić. Nawet Gerarda, potrafiącego na poczekaniu wymyślać zgrabne toasty, jakby zamurował. Wreszcie Grzelak wydukał swoim zachrypłym głosem:

— No to... za Antosia.

Łyknęli jednocześnie, z rozmachem wlewając spirytus w gardła. Piekący do bólu płyn miał zeżreć tę dziwną substancję, która im osiadła na sercach. Jedni nazywają to uczuciem smutku czy żalu, inni strachem przed własnym losem, wyrzutami sumienia i jeszcze inaczej. Wszyscy próbują to splukać, zedrzyć, strząsnąć, stosując środki i sposoby najróżniejsze, choć z równym powodzeniem można przenieć własną skórę. Wiadomo bowiem, że ową substancję skutecznie kruszy jedynie czas, a i to w trudniejszych przypadkach — razem z jej nosicielem.

Popili kawą a bosman zaraz rozlał następną kolejkę. Mocna dawka alkoholu nieco osłabiła posępne napięcie. Grzelak powoli zakręcił wypróżnionym kubkiem po stole i mruknął:

— Joo...

Niby nie znaczący nic, to przeciągnięte z kaszubska „o”, z wolna zanikające i zamierające jakby w westchnieniu. Ale oni zrozumieli rozległą treść jaką zawarł w nim Grzelak.

— Joo... — odpowiedział mu bosman.

A Czerski się wyrwał z nietaktowną impulsywnością, szczeniackim gadulstwem.

— Szukaliśmy go jak długo się dało... Podchodziliśmy pod każdą pływającą beczkę... Dwa razy ciągnęliśmy do korytkowych obijaczy, bo wyglądały z daleka

jak ludzka głowa na fali. Krążyliśmy w wirach, szliśmy z wiatrem i wracaliśmy. Przecież każdy z nas wypatrywał oczy... A nie widzieliśmy nic... Znikł. Chyba od razu poszedł pod wodę... No i trzeba było wybierać tych Holendrów, póki jeszcze trzymali się na wierzchu. Przy wraku było bardzo trudno. Kiedy zatonął — jeszcze gorzej. No i fala... Może gdyby nie fala... Robiliśmy co było można, tak myślę... Niewiele było można... No i na nic...

— Coś ty, Czerski, spał się po dwóch kielichach? — wyrębał bosman złym głosem. — Zaraz na ster idziesz, nie rozklejaj się.

— Niech opowie. Mało co o tym wiemy. Nie spowiadaliście się dotąd — zauważył spokojnie Gerard.

— To nie są historyjki do opowiadania — zaperzył się bosman. — Jak chcesz się dowiedzieć szczegółów to przeczytaj sobie w dzienniku okrętowym. Tam wszystko wypisane czarno na białym... — sapnął i dodał: — A spowiadać to się będziemy wszyscy na milicji a później na sądzie ostatecznym — nie przed tobą.

— No, bosmanie nie ma się co indyczyć — Gerard nie dał się zbić z tropu. — Powinniśmy od was usłyszeć jak to było.

— Wczoraj rano Antoś jeszcze tu z nami siedział. Dzisiaj nie będziemy z niego robić kina. Ani z siebie.

— Uszanujcie, chłopcy... — zachrypiał Grzelak.

Zamilkli. Zapalili papierosy, wlepili wzrok w stół i tak chwilę siedzieli niemal bez ruchu, póki bosmanowi nagle się nie wyrwało:

— Kurwa mać! Tyle konwojów opływał, a tu... Ech... — urwał i znów chwycił butelkę. Czerskiemu nie nalał.

— Ty już nie. Za szybko cię bierze — i dodał zaraz tonem rubasznego usprawiedliwienia: — Zaraz idziesz na mostek, jeszcze byś nam w krzaki wjechał.

Do mesy zajrzał przez drzwi kucharz.

— Wachtowy! Dwa gwizdki!

Czerski się poderwał i zarzucił kurtkę.

— Widzisz, przegapiłbyś... Smaruj po log — podjął ojcowskim tonem bosman, chcąc widać złagodzić tamten wybuch irytacji. Gdy Czerski wybiegł, skinął na stojącego wciąż w drzwiach kucharza.

— Chodź Kola, usiądź z nami na chwilę — i wskazał krzesło po Bieliku. Kucharz podszedł, spojrzął na krzesło, po czym usiadł na ławce, na miejscu Czerskiego.

— Ano, tak... — westchnął gdy bosman nalewał mu podwójną porcję spirytusu. Nikt z marynarzy nie zamierzał podejmować z gościem konwersacji, lecz on nie czuł o to urazy, bo

pojął z jakiej okazji jest ten poczęstunek. Poruszył siwym, krótko przyszczyżonym wąsem i wznosząc kubek zaczął mówić powoli, mocno akcentując:

— Za duszę świętej pamięci Antoniego Bielika. Był z niego szlachetny człowiek i dzielny marynarz. Złego słowa rzec nie można, choćby mu życie ze świecą przeszukać. Amen.

Wypił długim łykiem, a potem głęboko pochylił głowę nad stołem. Gdy ją po chwili podniósł i wstał, oczy miał wilgotne.

Trudno było stwierdzić czy wpłynęło na to wzruszenie czy spirytus.

— Skoczę po ogóreczki... — wykrztusił zduszonym głosem.

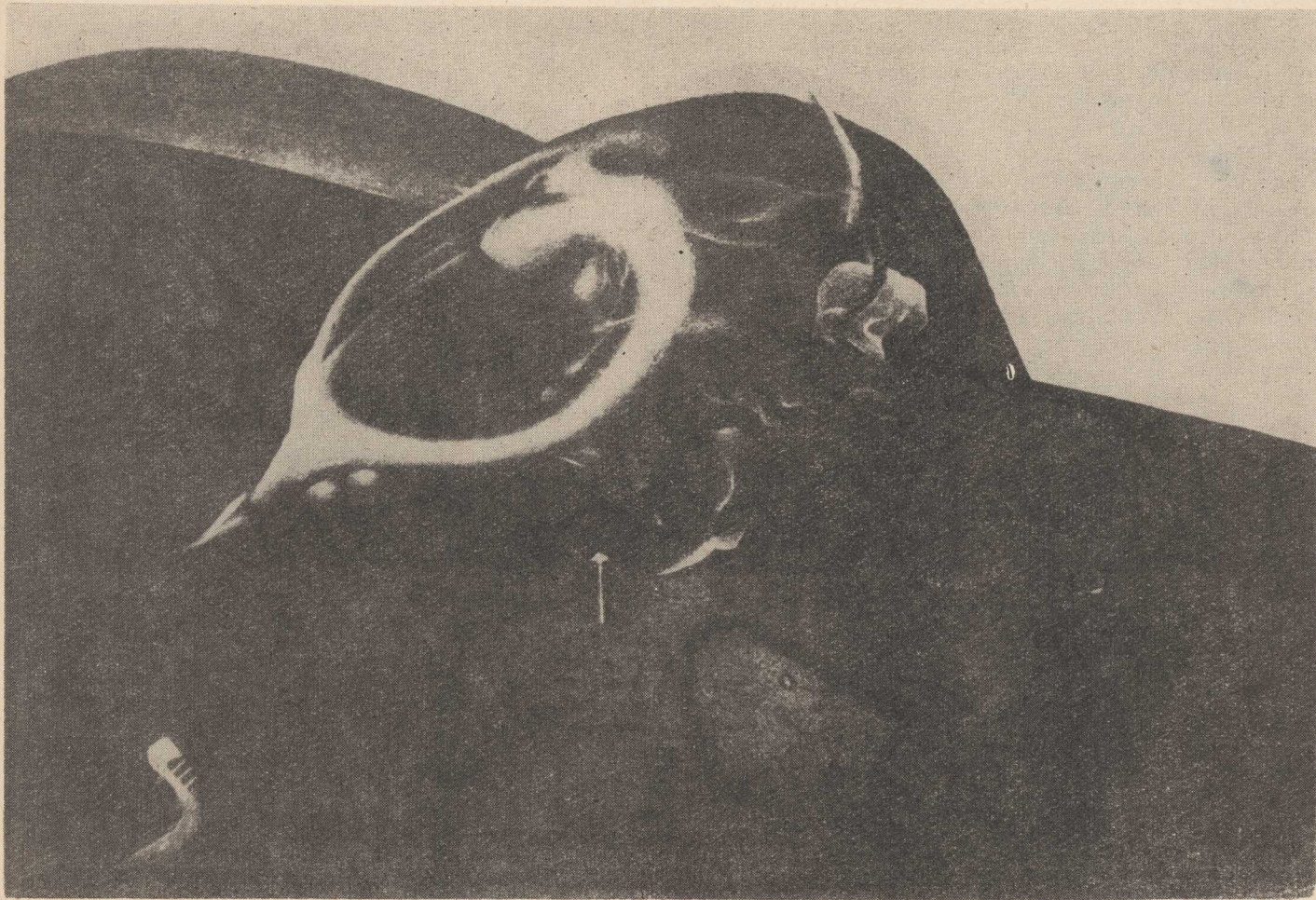
— Skocz, Kola — zgodził się bosman.

Kucharz jednak nie wrócił już, choć siedzieli jeszcze, zapiekli w swym milczeniu, długie minuty. Potem wstał Gerard, szurnawszy przedtem gwałtownie kubkiem po stole. Za nimi zaraz wybiegł Olek. Grzelak wytrzymał jeszcze chwilę wreszcie ścisnął bosmana za ramię.

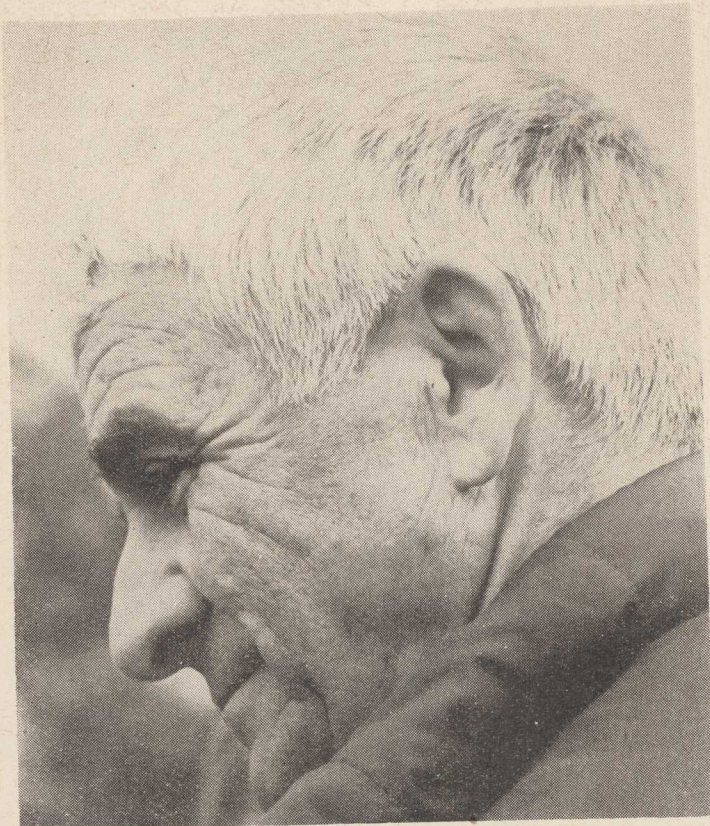
— Czas braćie gnaty w koi złożyć. Czas...

Wyczłapał na pokład.

Bosman został w mesie sam. Przyglądał się ceniom przemykającym po szotach w takt przechyłów statku... I dopiero teraz usłyszał, jak trzeszczy i gada pracujący na fali kadłub wystuzonego trampa.



WITOLD CHROMIŃSKI



Z morzem związał się już przed wojną, studiując w Politechnice Gdańskiej na wydziale budowy okrętów i uzyskując tam stopień magistra inżyniera. W czasie studiów, aby choć w części zrealizować swe marzenia o podróży dookoła świata, zamustrował na statek jako pomocnik palacza i w ten sposób zwiedził Amerykę Północną i Południową. Reportaże z tego rejsu zamieszczał w przedwojennych pismach „AS”, „Morze” i „Na szerokim świecie”. Po skończeniu studiów przebywał we Francji i w Anglii, pracując w tamtejszych stoczniach. Po wojnie początkowo osiedlił się na Śląsku, a w 1950 r. przyjechał do Szczecina i tu przebywał już do śmierci. Zaskoczyła go niespodziewanie jesienią ubiegłego roku.

Czy rzeczywiście w Szczecinie przebywał? Do Szczecina wracał po dalekich rejsach, po dłuższych pobytach w egzotycznych krajach. Wracał, by bogaty materiał fotograficzny opracowywać i przekazywać do wydawnictw, czasopism, na wystawy. Wracał również po to, aby trochę zarobić na następne podróże fotografią, ponieważ ze stanowiska wicedyrektora stoczni zrezygnował wkrótce po uzyskaniu członkostwa Związku Polskich Artystów Fotografików.

Jego pasją i celem w życiu były podróże. Prawdopodobnie jego pragnieniem tuż przed śmiercią była jeszcze wyprawa na Antarktydę. Był wielokrotnie w Afryce, w Kanadzie, w Ameryce Północnej i Południowej, w Japonii i w Indiach. W czasie tych podróży na morzu dokumentował życie załogi, ich pracę, rozrywki, uroczystości. Uwieczniał przeróżne oblicza żywiołu morskiego od spokojnej tafli wody do sztormu. W czasie pobytu na lądzie tropił p o-

lonica, w każdym kraju odwiedzał ciekawych Polaków, przeprowadzał z nimi wywiady. Uzbierało się z tych podróży wiele wartościowego materiału na książki, albumy. Oprócz prowadzenia systematycznych dzienników podróży, do których wklejał bilety, druki i w których rysował, miał zwyczaj zapisywania dowcipnych powiedzonek osób poznawanych. Niemalą skarbnią takich porzekadeł i dowcipnych zwrotów był jego własny wuj, znany szczeciński malarz Tadeusz Haberko, który mieszkał z nim razem przy al. Wojska Polskiego. Przez to mieszkanie dwóch samotnych kawalerów przewijało się wiele ciekawych postaci szczecińskiego świata artystycznego. Często gościem był Berent, niespokojny duch, aktor i poeta, wszechobecny na zebraniach, koncertach, prelekcjach. Tę charakterystyczną sylwetkę chudego starca z siwym, długim włosom Haberko malował, a Chromiński fotografował. Dziś wszyscy trzej już nie żyją.

Jak do tego doszło, że mając specjalistyczne wykształcenie wybrał zawód fotografa? Witold Chromiński fotografią, jak opowiadał, zajmował się już w szkole, potem na studiach, oczywiście brał udział w konkursach fotograficznych, zdobywając nagrody. Po wojnie należał do Wrocławskiego Towarzystwa Fotograficznego. Będąc w Szczecinie jako pierwszy na tym terenie uzyskał przynależność do Związku Fotografików. Należał do okręgu gdańskiego. Z Gdańskiem łączyły go zawsze wspomnienia i przyjaźnie zawarte w czasie studiów. Z pasją podróżowania łatwiej było połączyć wolny zawód fotografa, aniżeli obowiązki dyrektorskie. Dlatego systematycznie pogłębiał swą wiedzę fotograficzną, w czym bardzo pomocne były mu kwalifikacje inżyniera.

Był doskonałym technikiem w fotografii czarno-białej. Opracował metodę tonorozdzielczą, zbliżoną do izohelii, wynalezionej przez polskiego uczonego, a również członka ZPAF, prof. Romera. Swą metodę W. Chromiński opublikował w 1954 r. i nazwał ją izoprintem. Cytowana jest w podręcznikach fotografii. Przy typowych dla inżyniera zainteresowaniach technologią i techniką procesu fotograficznego i przy wielkiej dbałości o poprawność własnych zdjęć. W. Chromiński był humanistą. Interesował się wszystkimi przejawami w sztuce, bardzo bliski był mu teatr, przyjaźnił się z malarzami i aktorami. Pod koniec życia słabo widział, o czym wiedzieli tylko najbliżsi i do czego się nie przyznawał, bo przecież poza podróżami fotografia była jego największą pasją, której się nie chciał wyrzec.

W ostatnim roku przed śmiercią, mniej podróżując, zabrał się do podsumowania swego życiowego dorobku, do uporządkowania zebranych w ciągu życia materiałów. Niestety tylko jedna z książek, które przygotował, została wydana drukiem — „W dolinie Kilombero”. Pozostała po nim bogata spuścizna w postaci zdjęć, negatywów, zapisków, dzienników.

Twórczość jego była twórczością na wskroś marynistyczną i to zarówno przymorską (wybrzeże, region, miasta) jak i zamorską (rejsy, porty, kraje), a przede wszystkim morską, bo jako fachowiec fotografował niemal że od początku stocznię i port.

Krystyna Łyczywek

„GAUDE MATER POLONIA”

— Ta stara, piękna polska pieśń chóralna rozpoczynała wszystkie koncerty Chóru Akademickiego Politechniki Szczecińskiej, który podczas swego najdłuższego tournée artystycznego po Stanach Zjednoczonych i Kanadzie dał ponad 50 koncertów.

Niemal wszystkie nasze zespoły artystyczne, wyjeżdżające na drugą półkulę, zapraszane były dotychczas przez polonię amerykańską. Tym razem politechnicy rewizytowali zespoły uniwersyteckie Stanów Zjednoczonych i Kanady. W programie licznych koncertów wykonywano przede wszystkim muzykę polską, dawną i współczesną, oraz pieśni różnych narodów przywiezione przez szczeciński zespół z kilku krajów Europy, Azji i Ameryki.

Śpiewający politechnicy, wśród których i ja miałam szczęście się znaleźć, przemierzili ogromny obszar sięgający od Ann Arbor w Stanie Michigan przez Detroit, Chicago, Vancouver, Los Angeles do Nowego Jorku. Docieraliśmy wszędzie — do wielkich, znanych ośrodków, w których z kulturą polską mieszkańcy już się zetknęli, jak też do zupełnie małych, nieznanymi miejscowości, osad, gdzie polska pieśń rozbrzmiewała po raz pierwszy. I tu chciałabym wspomnieć o koncercie, na którym słuchało nas trzystu czerwonoskórych Indian spośród pięciuset mieszkających w kanadyjskiej wiosce. W pierwszej chwili trudno było stwierdzić, jak odbierają naszą muzykę, oblicza ich bowiem były nieprzeniknione, twarde, jakby wykute z kamienia, takie jakie widzi się jedynie na filmach indiańskich. A jednak polska pieśń ich przemogła. Brawom nie było końca. Okazało się, że sympatyczni ludzie doskonale zrozumieli muzykę polską. O tradycyjnym zakończeniu koncertów i wyjściu ze sceny, nie było mowy. Nasz dyrygent — Jan Szyrocki użył podstępku. Pożegnaliśmy niezwykłych słuchaczy wychodząc ze śpiewem, krokiem poloneza. To ich zupełnie rozbroiło. Na znak niezwykłego uznania — co jest u Indian bardzo rzadkim zjawiskiem — jeden z nich wręczył nam własnoręcznie wyrzeźbionego orła.

Pamiętać będziemy również występ w jednej z najwspanialszych sal koncertowych w Vancouverze — w Sali „Orfeum”. Wśród wypełnionej po brzegi sali — tym razem 2500 osób — witał nas również prezydent Stanu British Columbia, który na znak uznania dla „ambasadorów polskiej kultury” wręczył nam flagę kanadyjską. Powiewała ona jeszcze w przeddzień tego koncertu na gmachu Parlamentu w stolicy Stanu British Columbia — Victorii. Ta wielka uczta muzyczna, przerodziła się w manifestację przyjaźni. Tamtejszy Chór im. Jana Sebastiana Bacha wykonał wspólnie z nami stary hymn studencki — „Gaude Mater Polonia”, my zaś — Hymn Kanadyjski oraz dwie ich ludowe pieśni. Ciężko nam było wyjeżdżać z Kanady, bo i piękny kraj i wspaniali, gościnni, życzliwi ludzie. By poza uczuciem przejedzenia i zmęczenia nie wywieźć stamtąd innych wrażeń — chórzyci z Vancouver zorganizowali nam dwa dni wypoczynku (na 26 dni pobytu). Jeden dzień nad pięknym jeziorem przy temperaturze powietrza +24°C, drugi zaś w śnieżnych górach otaczających Vancouver.

To była Kanada. Na 26 dni pobytu — 27 koncertów, czasem w miejscowościach odległych o 10 godzin jazdy autobusem. Poznaliśmy więc ten kraj właściwie zza szyby pędzącego do 100 mil/godz samochodu.

Potem ponownie Stany Zjednoczone Ameryki Północnej. Gorące kalifornijskie Los Angeles z Hollywood i Disneylandem. To okrzyczane centrum kinematografii — rozczarowało nas. Nie tak wyobrażaliśmy sobie świat sławnych amerykańskich aktorów, reżyserów i scenografów filmowych. To już tylko niestety pozostałości dawnej świetności. Dzisiaj jest to jedna z najgorszych dzielnic pięknego Los Angeles. Za to Disneyland jest rzeczywiście krainą baśni wyczarowaną przed laty przez Walta Disneya. Wybierając się tam wiedzieliśmy, że spotkamy się z ulubionymi postaciami dziecięcych lat — Kaczorem Donaldem, Myszka Miki, Psem Huckelberry. Nie spodziewaliśmy się tam jednak supernowoczesnych urządzeń, które przynosiły nas nie w świat baśni, lecz w świat kosmiczny. Efekt ogromny — przeznaczony jedynie dla ludzi o wyjątkowo mocnym systemie nerwowym. Umierałam ze strachu, kiedy znalazłam się tam wśród całkowitych ciemności, przy niesamowitej pozaziemskiej muzyce spotęgowanej wrzaskami mniej odpornych nerwowo współpasażerów tej szaleńczej jazdy w kosmos. Chyba ja należałam do najgłośniejszego „stworzenia” w tym kosmosie. Z prawdziwą przyjemnością wróciłam do rzeczywistości — na koncert w Disneylandzie. Tym razem — my szczecinianie, byliśmy atrakcją tej krainy. W upalne popołudnie pod sklepieniem jarmarcznego dachu rozbrzmiewała polska pieśń niesiona przez setki megafonów. A przeważała wesoła, skoczna polska muzyka ludowa w opracowaniach naszych kompozytorów. Wspaniale w tej scenerii „grało” „Rondo” Andrzeja Koszewskiego z efektami gwizdów, szmerów i szepców. Dla licznych przedstawicieli Polonii była to największa atrakcja Disneylandu.

Chór Szczeciński śpiewał także w ogromnej sali koncertowej w Los Angeles, wykonując prawie cały nasz program. W przerwie koncertu i po jego zakończeniu, otaczali nas ze wszystkich stron uradowani rodacy. Łamaną polszczyzną wyjawiali swe wzruszenie, zachwyt i zdziwienie, że Polska ma tak piękną muzykę XVI i XVII wieku, której oni absolutnie nie znali. Dotychczas niestety, docierała do nich tylko muzyka lekka i to nie zawsze w najlepszym wydaniu. Tak więc nie dziwnego, że po raz pierwszy dostarczyliśmy im takich przeżyć, których — jak twierdzili — nigdy nie zapomną.

Po czterech dniach pobytu w Los Angeles i trzech koncertach, czekał na nas Nowy Jork. Ogromna metropolia — miasto szalonych kontrastów, supernowoczesny, wielopiętrowy rozświetlony kolorowymi neonami Manhattan z tyśiącem atrakcji na Broadwayu. Tutaj słuchaczami naszych koncertów byli przede wszystkim ludzie młodzi o niezwyklej temperamencie. Sposób odbierania przez nich naszej muzyki był zaskakujący. Owacje wyrażane gwizdem, tupaniem, histerycznym krzykiem — zmuszały nas do wielokrotnych bisów. My jednak — mając w świadomości upragnioną podróż do domu, czym prędzej schodziliśmy z praktykali.

I tak nasza amerykańska podróż dobiegała końca. Przywieźliśmy ogrom wrażeń, wiele recenzji, liczne nagrania, świadomość dobrze spełnionej misji oraz przyjaźni tych wszystkich, którzy nas tam gościli. I znowu — już po raz ostatni na tym tournée — tym razem na nowojorskim lotnisku, rozbrzmiewała stara polska pieśń chóralna — „Gaude Mater Polonia”.

Człowiek za burtą

Mężczyzna potrącony przez samochód... Karambol na drodze... Zderzenie autobusu z traktorem... Wykolejenie pociągu... Katastrofa lotnicza... Takie i podobne tytuły — niejednokrotnie trafiają na łamy gazet. Nie zaskakują nas te nagłówki. Cóż, zdążyliśmy się już przyzwyczać, małe i duże tragedie w jakiś swoisty sposób wyznaczają naszą epokę.

Człowiek za burtą... O tym pisze się rzadko. Dlaczego? Może są to sprawy dla nas, szczerów lądowych, zbyt odległe. Dzieją się tam — w morzu. Czy rzeczywiście nas nie obchodzą? Każde życie lekkomyślnie utracone, obojętnie gdzie — w nurtach rzeki, na miejskim kąpielisku czy na dalekich akwenach, to niepowetowana strata. Piszemy w gazetach o wypadkach nie dla taniej sensacji ale dla przestrogi. Chcemy przez to powiedzieć innym, że każda lekkomyślność może mieć swój nieoczekiwany tragiczny finał. Czy tych, co na morzu, nie warto przed tym przestrzec?

Człowiek za burtą statku... Wysoka fala. Chłód wody. Głębia — do dna dziesiątki albo i setki sążni. Od brzegu dziesiątki, nieraz nawet setki mil.

Morze ma swoje srogie prawa. Czy wszyscy, co po nim pływają, je znają. Czy przestrzegają? Czy w morzu nikt nie naraża bez potrzeby swojego i cudzego życia?...

Ten rejs, w którym brałem udział, trwał sto czterdzieści sześć dni. Zaczął się w lipcu, a skończył w listopadzie. W tym rejsie przeżyłem dwa alarmy — „człowiek za burtą”. Czy musiały one mieć miejsce?...

Początek rejsu, druga dekada lipca. Stoimy na kotwicy. O kilkanaście mil od nas jest brzeg Zachodniej Afryki. Przy naszej burcie przycumował drugi statek. Trwa przeładunek.

Dwa statki obok siebie, na pełnym morzu. Między burtami potężne odbijające. Napięte struny cum. Z jednego statku na drugi można przejść przy pomocy sznurowanej drabinki o drewnianych stopniach. Pod sztormtrape, zgodnie z przepisami, rozciągnięta dla bezpieczeństwa solidna siatka. Normalna wysoka atlantycka fala. Kołysanie obu statków. Ocieranie się i postukiwanie drewnianych szczebli sztormtrapu o jedną lub drugą burtę. Od czasu do czasu ktoś z załogi jednej lub drugiej jednostki schodzi po sztormtrapie w dół, aby po chwili wspiąć się w górę i wyjść na pokład sąsiedniego statku. Przechodzi się po to, aby załatwić jakąś sprawę u sąsiada. Albo na zwykłą pogawędkę. Nie ma w tym nic niezwykłego. Pogoda jest dobra, więc czemu nie odwiedzić kolegów.

Raptem... Nagle jeden ze schodzących marynarzy odpada od trapu. Spada na siatkę ochronną. Szamocze się. I stacza się do wody. Jest między burtami. Ktoś to spostrzegł. Rzuca mu koło ratunkowe.

Sygnał alarmu „człowiek za burtą”. Załogi obu statków wybiegają na pokład.

Każdy marynarz nad koją ma umieszczoną instrukcję alarmową. Każdy marynarz wie, jakie w trakcie alarmu czekają go zadania. W każdym rejsie kapitan zarządza próbną alarmy. Tym razem jednak to nie szkolenie. Gra toczy się teraz o życie. I...

Załogi obu statków wybiegły na pokład. Każdy patrzy w dół. Tam, między burtami, jest ich kolega. Chwycił koło ratunkowe. A mimo to raz po raz zalewa go fala. Ktoś spuszcza trap. Po nim na pomoc zagrożonemu śpieszy dwóch marynarzy. Usiłują wyciągnąć tonącego. Statki „chodzą na fale”. Przez chwilę odbijacz — potężna gumowa grucha — grozi tonącemu i ratującemu go ludziom zgnieceniem. W każdej chwili zalewany przez fale człowiek może osłabnąć. W każdej chwili uchwyceni trapu marynarze mogą wpaść do morza. Ten co tonie i ci co go ratują mogą być porwani przez silniejszą falę.

Jeden z ratowników słabnie. Wdrapuje się na pokład. Jego miejsce zajmuje inny. Ktoś rzuca do wody pas ratunkowy z linką. Trzeba opasać nim tonącego, zapiąć sprzączki, aby można było wyciągnąć osłabionego człowieka na pokład.

Na jednym statku i na drugim statku są kapitanowie. Są pierwsi oficerowie. I oficerowie niższych stopni. Nikt jednak nie każe opuścić szalupy, aby w przypadku, gdyby morze porwało i uniosło poza statki tonącego, móc pośpieszyć mu w porę na ratunek. Nikt nie opuszcza drugiego trapu i nie próbuje z drugiego statku spieszyć na ratunek.

Ratownikom udaje się zapiąć pas pod pachami tonącego. Asekurują go w czasie wyciągania na pokład. Ociekający wodą człowiek na w półprzytomny jest już bezpieczny. Jest lekarz. Wszystko kończy się szczęśliwie. Tym razem szczęśliwie. Ten, co był między burtami statków zawdzięcza życie kilku kolegom. Tym, co nie stracili głowy. I tym, co mieli odwagę, tym co mogli pośpieszyć mu z pomocą. Im właśnie zawdzięcza życie. Sam przez swą lekkomyślność i nieuwagę naraził swoje życie na szwank.

Po alarmie kapitan wydaje zarządzenie zakazujące przechodzenia ze statku na statek. Sztormtrap zostaje zdjęty. Załogi przeładunkowe są transportowane na sąsiednią jednostkę przy pomocy kosza.

Odbija statek. Przy naszej burcie cumuje inna jednostka. Między obu statkami zostaje przerucony sztormtrap. Tym razem jednak trapowi pełnią przy trapie wachtę. A schodzący lub wchodzący członek załogi musi zakładać pas asekuracyjny (z linką). Potem wszystko wraca do normy. Zakładanie pasa jest kłopotliwe, więc czemu utrudniać sobie życie?...

Drugi alarm „człowiek za burtą” miał miejsce przy końcu października. Już w drodze powrotnej. Wydarzył się na wysokości Gambii. Pisano o nim w naszej prasie. W gazecie popołudniowej dziennikarz popuścił wodze fantazji. Wyszła z tego wzruszająca opowieść kreuająca poszkodowanego i — niestety lekkomyślnego marynarza... — kreuająca go na bohatera. W gazecie porannej relacjonujący ten wypadek członek załogi był bardziej powściągliwy. Ale to tylko na marginesie.

Drugi wypadek miał miejsce około godziny dwudziestej. Rumor spadającego z pokładu rekreacyjnego sztormtrapu zaalarmował załogę. Zerwany łańcuszek zabezpieczający reling wskazywał, że sztormtrap nie osunął się przypadkowo. Kapitan zarządził sprawdzenie stanu osobowego załogi. Brakowało jednego marynarza. Ogłoszono alarm — człowiek za burtą. Sygnał alarmu poszedł też w eter.

Statek wraca. Idziemy kontrkuresem. Jest noc. Ciemna bezgwiezdna tym razem i bezksiężycowa afrykańska noc. Reflektory statku przeszukują ciemność.

Do akcji ratunkowej zgłaszają się trzy będące w pobliżu jednostki. Gotowość pomocy deklarują także inne statki, nawet te spod Las Palmas.

Szukanie człowieka w morzu i to nocą — to szukanie igły w stogu siana. Wystarczy małe odchylenie od kursu — wtedy gdy miał miejsce wypadek albo teraz, gdy trwa poszukiwanie — a nie natrafi się na oczekującego pomocy marynarza. Szum agregatorów i silnika zagłuszy jego krzyk. Tej nocy poszukiwanie utrudnia fakt, że nikt w momencie wypadku nie wyrzucił za burtę koła ratunkowego z bojką świetlną. Podobne niedopatrzienia miały już miejsce; w tym rejsie czytałem o tym artykuł w „Prawie i Życiu”.

Mijają minuty, dziesiątki minut, godzina. I dalsze minuty. Światła rakiet wykwitają raz po raz po obu stronach statku — naszego statku i trzech innych uczestniczących w akcji ratowniczej. Rakiety płoną krótko. I oświetlają tylko niewielki wycinek oceanu. Na wodę spuszczone szalupy. Jedna z nich jest niesprawna — silnik raz po raz gaśnie.

Czy ten, którego szukamy, jeszcze żyje? Czy spadając z pokładu z wysokości kilku metrów, nie utracił przytomności? Czy nie został ranny? Czy nie sparaliżował go lęk przed ciemnością i obawa przed rekinami? Ciemna atramentowa noc, rozległość oceanu, wysoka fala. Woda w okolicach Gambii ma temperaturę około trzydziestu stopni w skali Celsjusza, jej duże zasolenie, a więc i wyporność stwarzają nadzieję, że ten, którego szukamy, jeszcze żyje.

Zbliża się godzina dwudziesta druga. Druga godzina poszukiwań. Wreszcie jest!... Ci co są w szalupie słyszą jego wołanie. Szalupa pod pływa. Dwu marynarzy wskakuje do wody. Holują ledwie trzymającego się na wodzie człowieka. Dobijają szalupy do statku. Lekarz jest przy poszkodowanym. Następuje odwołanie alarmu. Tego na morzu.

W gabinecie lekarza alarm trwa całą noc. Statek zbacza z kursu. Nad ranem lekarz przekazuje pacjenta do szpitala w Dakarze. Po kilku dniach wróci on samolotem do kraju. Wróci po to, aby

(dokończenie na str. 53)

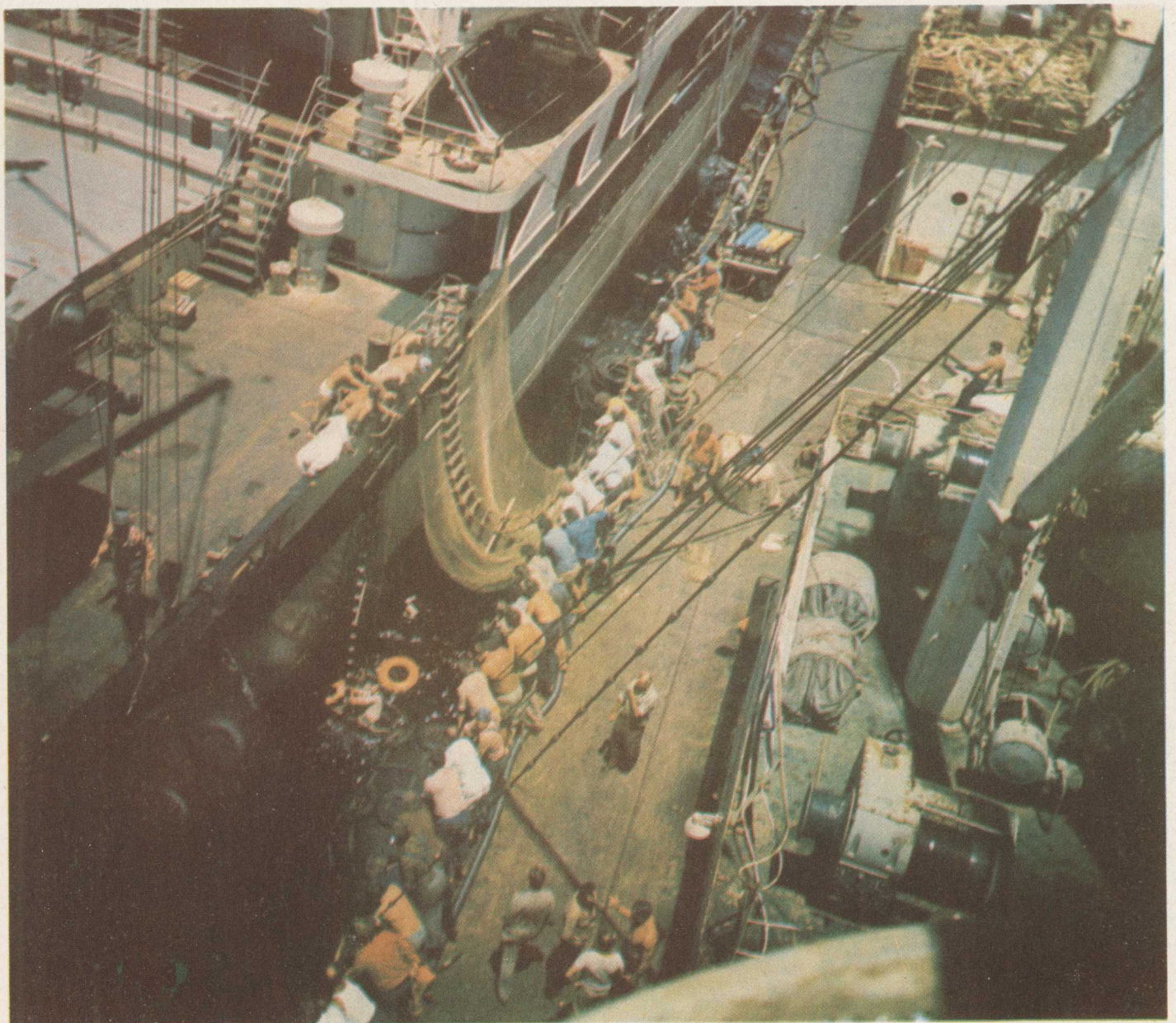
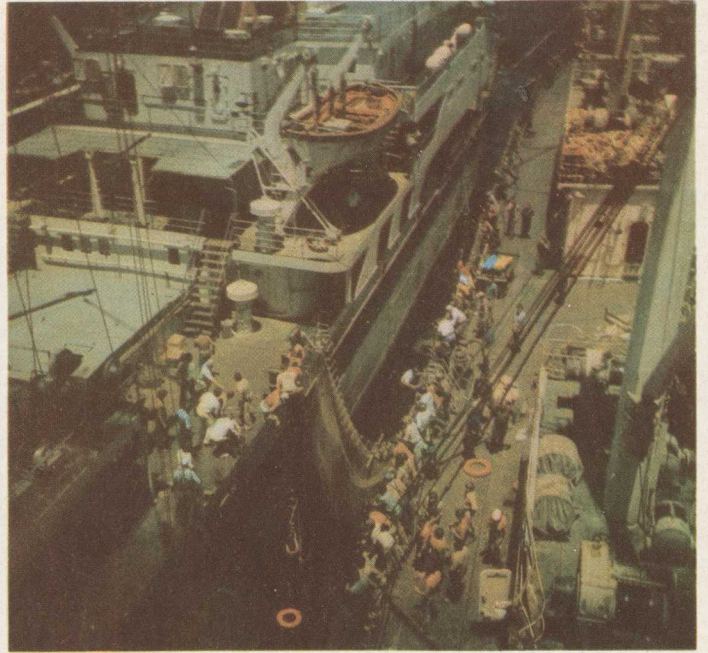
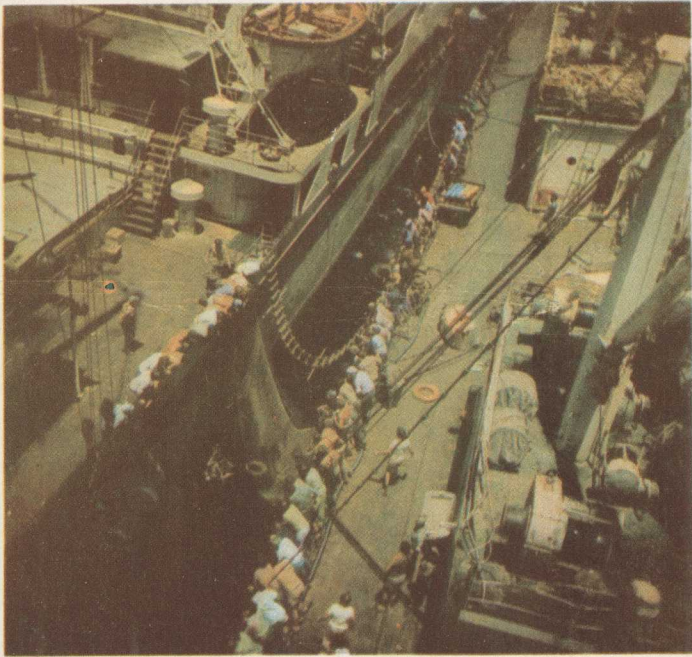
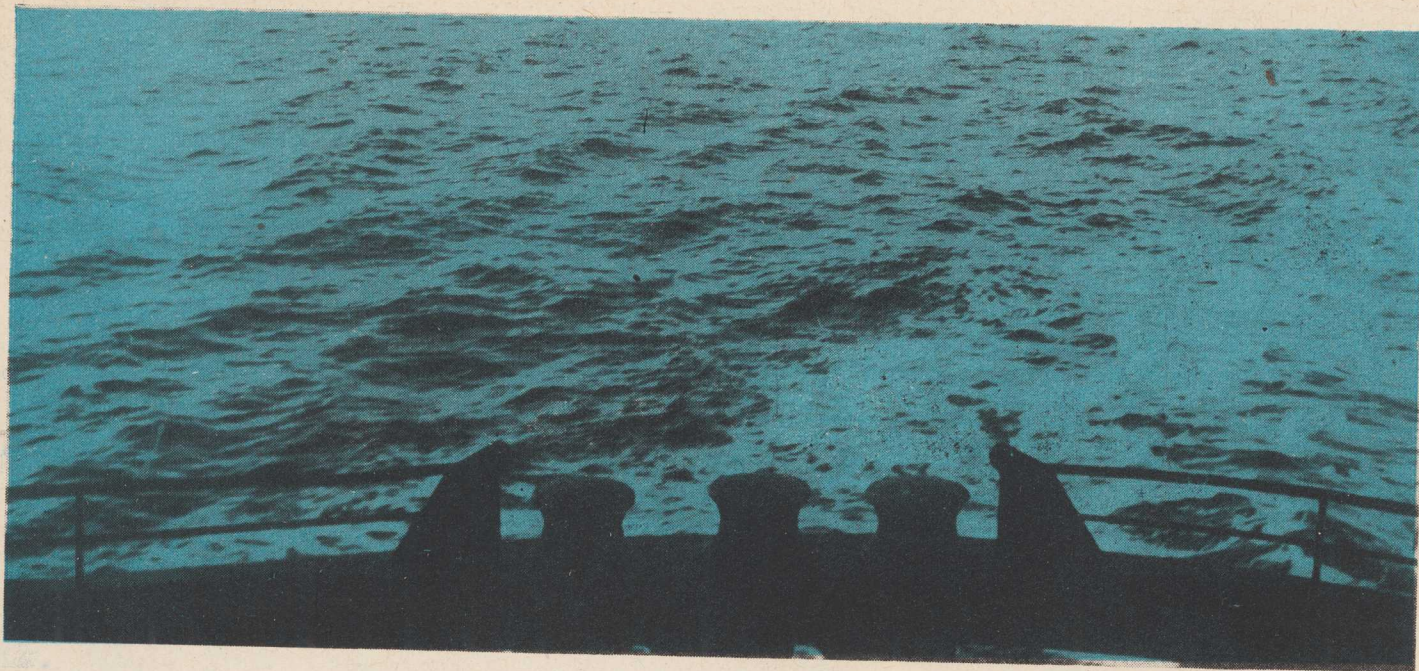


Foto. W. R. Zdraq





R E D A

Z listów

JAN MAREK

Rozpoczęły się ferie, więc mamy dużo wolnego czasu, co pozwala mi na napisanie długiego listu, a poza tym już bardzo stęskniłam się za Tobą i dlatego piszę do Ciebie, pomimo że od Ciebie nie ma żadnych wiadomości. Mamusia wzięła adres z PZM-u i tylko dlatego możemy do Ciebie pisać.

Na ferie nigdzie nie wyjeżdżamy, bo pogoda jest brzydka, poza tym mamusia nie czuje się dobrze (ale nie martw się, to przejściowe). Co do mnie, jestem w bardzo dobrym humorze, choć za Tobą tęsknię, Tatusiu.

Przed kilku dniami mamusia wysłała bardzo obszerny list do Twoich rodziców, na razie nie mamy od nich żadnych wiadomości (gdy przyjdzie, napiszemy do Ciebie, co u nich słychać, bo na pewno martwisz się o nich, o ich zdrowie, tak jak ja o Twoje).

W Szczecinie nic szczególnego się nie dzieje, dni są podobne do siebie, ponure, deszczowe. Na sankach jeszcze nie byłam, bo zanim wyciągnęłam z piwnicy sanki, już śnieg zdążył stopnieć. A w szkole jak to w szkole: pytania, odpowiedzi, wypracowania. Na półrocze będę miała jedną czwórkę, reszta — piątki. Trudności nauka mi nie sprawia, choć nieraz... Po feriach znów zacznie się okres sprawdzianów (jak mi radziłeś — stopniami się nie przejmuję). Coraz trudniejsza zaczyna być chemia, szczególnie równania chemiczne. Wiele poświęcam im czasu, żeby umieć je rozwiązywać — muszę nad nimi nieraz do późna w nocy posiedzieć.

Poza nauką w ostatnim tygodniu miałam wiele rozrywek, między innymi udana zabawa w szkole; otrzymałam na niej koronę „miss zabawy”, więc możesz być ze mnie dumny. Następnie na trzeci dzień byłam zaproszona na Pawła S. imieniny (nie wiem czy to imię Ci coś mówi? To kolega z klasy). Oczywiście miałam pozwolenie mamusi.

1.

Wiadomość o zamachu na szefa państwa, generała Murtala Mohammeda, na statek dotarła błyskawicznie; przechwycił ją radiooficer i natychmiast przekazał służbowemu oficerowi. Wśród członków załogi zmęczonych wielomiesięcznym czekaniem na wejście do portu najpierw niedowierzano, potem gdy radiooficer potwierdził informację, zaczęto się zastanawiać, jaki wpływ będzie miał przewrót polityczny na prace w porcie. Wkrótce dowiedziano się, że port zamknięto, przerwano rozładunek statków.

W mesie zaczęli się zbierać marynarze.

Kapitan czuł się już do tego stopnia zmęczony tą największą redą na świecie, tym koszmarnym wyczekiwaniem na wejście do portu, że nie stać go było choćby na kilka słów uspokajających załogę. Siedział w swym fotelu naprzeciw iluminatora i bezmyślnie patrzył w dal. Na biurku od dwóch tygodni leży kartka papieru, która mimo czynionych z jego strony wysiłków nie stawała się listem do żony i dzieci. O czym pisać? — zastanawia się mierząc w iluminatorze przesuwającą się kreskę zetknięcia morza z niebem — ma się przyznać, że zgodził się już z tą sytuacją i powoli wraz z całą załogą pograża się w beznadziejności czekania?

Steward przyniósł z pentry wodę na lód do whisky, włożył miseczkę do zamrażalnika, zajrzał do salonu i spytał czy jest jeszcze potrzebny. Kapitan wiedział, że pytanie stanowi tylko pretekst do nawiązania rozmowy na zgoła inny temat, że na relację z przebiegu tej rozmowy czeka załoga.

Polecił mu przygotować whisky z odrobiną wody.

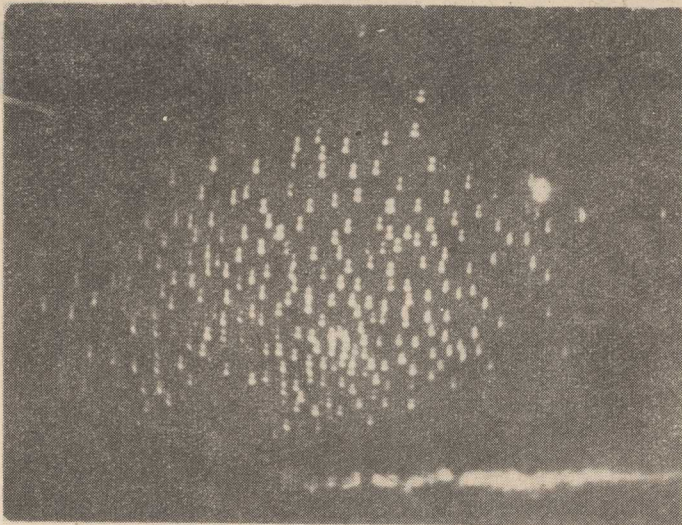
Z tej odległości, z pozycji wygodnego fotela, w ciszy salonu, do którego poza brzękiem szklanki nie docierały żadne inne przejawy życia, jakaś polityczna awantura na lądzie wydawała się być tylko mało istotnym epizodem w fabule konstruowanej przez zmęczonego narratorkę.

— Zawsze szukacie pretekstów do buntu. I znaleźliście. Nic was nie obchodzi, co tam się dzieje. Po prostu chcecie wejść do portu, a jeśli nie — to przynajmniej doprowadzić na statek do awantury. Proszę bardzo, ale pamiętajcie, że gdy w tej diabelnej zatoce ucichnie, każdy z was będzie pił swe nieszczęście taką miarką, na jaką zasłużył.

Zółwik, którego przywiozłeś z Safi, stale jest obiektem zainteresowania mamusi i mojego. Kichuś jak nie je, to śpi i „rośnie” w oczach. Je tylko same smakołyki: kapustę, sałatę, tarte jabłko. Kapustą ostatnio zaczyna pogardzać, jak nie ma co innego do jedzenia, to zje, choć z miną pokrzywdzonego dziecka. Już w drodze do legowiska zasypia. Gdy go kąpię, mamusia krzyczy, że się przeziębi, ale ja wolę zółwika z katarą i kaszlem, niż miałby mi pod nosem śmierdzieć. Zawsze kąpię go w letniej wodzie. Martwi mnie tylko, że nie widać jego odchodów, może ma obstrukcję. Kiedy piszę ten list, on znów śpi.

Co słyszeć u Ciebie, Tatusiu? Jak działa na Ciebie klimat, jak się w nim czujesz? Co robisz, czy zaczynasz już tęsknić? Jakie jest jedzenie? Czy byliście już na lądzie? Jeśli tak, to proszę Cię bardzo, Tatusiu, opisz mi swoje wrażenia z pobytu na nim. Życzę Tobie dużo zdrowia, cierpliwości.

Pa, pa, całuję mocno; bardzo mocno.



Fot. Bohdan Kowalski WEJŚCIE NA REDE

Nadszedł okres burz, codziennie przechodzą gwałtowne ulewę. Nagle wokół ciemnieje i spadają na nas tony wody. Po przejściu opadów jest chłodniej i ponuro.

Wczoraj był zamach na prezydenta. Zamknięto wszystkie porty, ogłoszono godzinę policyjną. Ten fakt na pewno wydłuży nasz postój na redzie. Albo bardzo skróci. Wszystkie wiadomości o przebiegu zamachu i dalszym rozwoju wydarzeń docierają do nas nie stąd, z portu, ale z Europy, z kraju.

Kiedy patrzę w mój bulaj, widzę tylko morze, morze, morze, a wieść o zamachu na prezydenta bardzo nieprawdopodobna.

Jestem zaskoczony, że dotąd nie otrzymałyście ode mnie listów. Wysłałem kilka. Wszystkie przez agenta naszego Mr Ryszarda Bejtmana. I dla Joli oczywiście pocztówki, jakie kupiłem w Abidżanie, gdzie braliśmy wodę, prowiant. Miejmy nadzieję, że jeszcze nadejdą.

U mnie nic nowego. Wciąż to samo czekanie, wypatrywanie na wodzie wszystkiego, co się porusza. A przede wszystkim motorówki pilota. Niestety mija dzień za dniem, a nie ma nadziei na wejście do portu.

Nastroje różne. Bo i wieści z kraju od rodzin różne.

— Panie kapitanie — na to steward — nie wiemy, ile ta pałacowa awantura potrwa. Miesiąc, dwa? A może i rok?

Kapitan chciał przypomnieć, że armator za ten wielomiesięczny postój bierze nieźle odszkodowanie i daleki jest od zmartwień o losy kilkudziesięciu ludzi, którzy po długich rozmyśleniach wyścignęli kilka światopoglądowych wniosków i pragną wracać do kraju. Wypił whisky i nic nie powiedział. Nie wierzył, by stewarda przekonały jakiegokolwiek argumenty, on chciał się buntować, wraz z innymi postanowił wykorzystać sytuację.

— Poproś ochmistrza — polecił mu.

Nie pozwolił ochmistrzowi składać relacji z wydarzeń na statku, były one bez znaczenia, skoro wejście portu zamknięto, a powrót do kraju z ładunkiem jest absurdem. Patrzył na przerażonego ochmistrza i bawił się jego strachem. Takie typy, pomyślał, są przykładem zwyrodnienia ludzkiego gatunku. Niewiele mają do stracenia, ale na samą myśl, że to co posiadają, też mogą stracić, ich nędzne tkanki przenika strach, wbija się w serce ostrością gwałtu. Codziennie umierają z powodu miliona błahych spraw i codziennie rodzą się do czynów, których nigdy nie podejmą.

— Więc widział pan na własne oczy, że opuszczono szalandy?

— Na wszystkich statkach w lagunie i przy nabrzeżu Apapy przerwano pracę — powiedział ochmistrz. — Nie wiadomo jak długo to potrwa.

— Niech kucharz przygotuje dziś kolację, jakby chciał dla wszystkich urządzić imieniny.

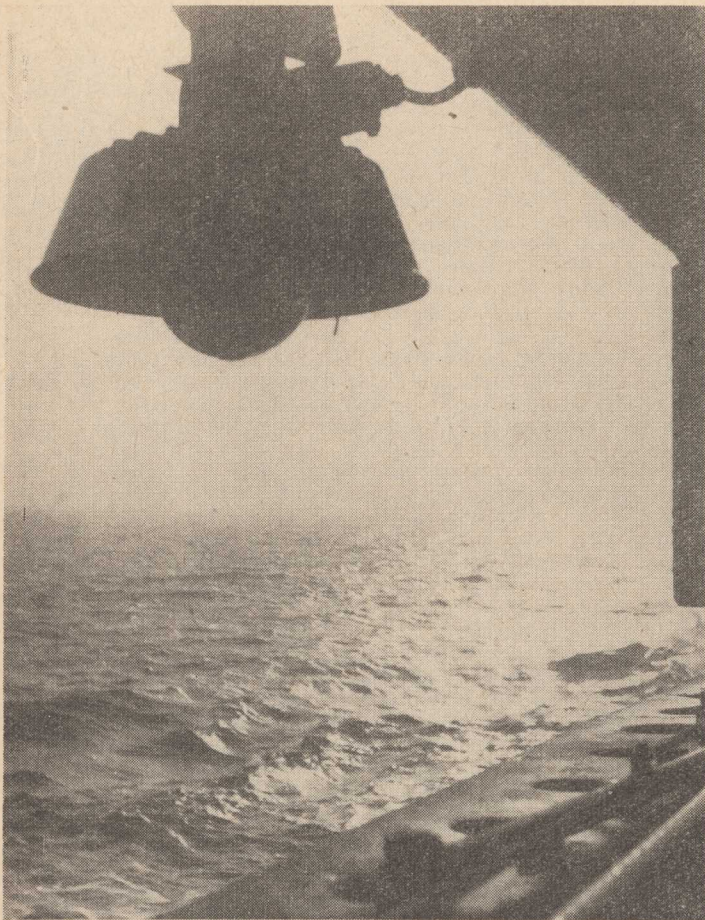
2.

Na mapie aluwialna nizina nad Zatoką Benin jest częścią Czarnej Afryki z buszem, sawanną, gdzie na przemian monsum i harmattan poruszają długimi liśćmi palm kokosowych, trzciniowe dachy kleci uginają się pod ciężarem tropikalnej ulewy.

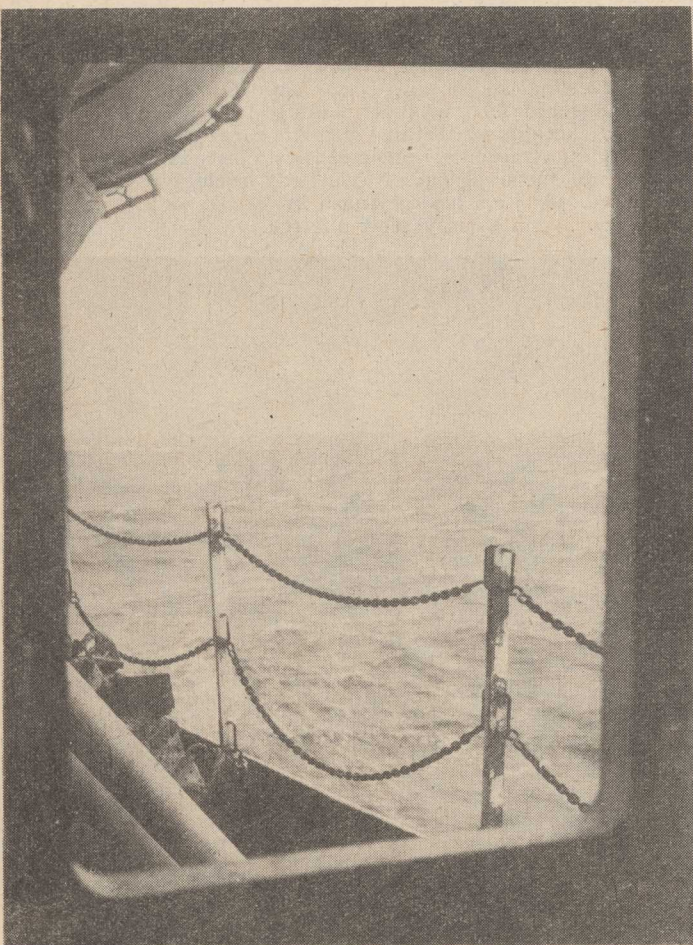
Ranna chmurność opadła szybko, spoza mglistości słońce przedarło się ostrą jasnością od samego świtu i zaraz ogarnęło wilgotne pokłady, rdzawe liszaje nadbudówki, pozostawione na rufie krzesła. Wilgoć leżała wszędzie, wdzierając się nawet w najtrudniej dostępne zakamarki, pokrywała przedmioty, była wrogiem dającym o sobie znać na każdym miejscu.

Kroki wzdłuż i wszerz sterówki.

— Więc w tym Murmańsku wtedy było zimno, wiatr jak cholera, że z lodówki mroźniejszego byś nie miał, a pod butami, buty mieliśmy wysokie, ocieplane futerkiem, więc pod butami skrzypi śnieg, a taki bielutki jak cholera. Idę ulicą w stronę „Junosti”, ślizgam się po tym mrozie i śniegu na chodnikach, ręce trzymam przy uszach, by mi nie odmarzły i myślę: zaraz wejść do restauracji i napiję się czaju gorącego jak cholera. Nagle ramieniem o kogoś. Szedłem w tym mrozie z łapami przy uszach, z zamkniętymi oczyma, więc nie w tym nie ma dziwnego. Otwieram oczy, patrzę — Jezus, Maria! (wiesz, jak ja lubię czarne!), patrzę, a tu babka jak cholera! Czarna. Odrzynam łapy od uszu, jedną do czapy, drugą do serca przykładam i przepraszam, przepraszam, przepraszam. Co ona, że niby w porządku i chce odejść, ja znów przepraszam, przepraszam. — Casanova przerwał, odczekał, aż drugi oficer nakręci zegar. — Przepraszam i przepraszam gorąco, że śnieg koło nas zaczął tajać. W końcu domyśliła się, że przepraszam wcale nie za to, co zrobiłem, a za to, co chcę. — Uśmiechnął się do wspomnień. — Na imię miała Nina, Ninoczka. — Zrobił pauzę. — Posłuchaj, Drugi, opowiem ci historię fajną jak cholera — zapalił papierosa. — Staliśmy na redzie Świnoujścia. Po Lagosie to druga wielka reda na świecie. Dwa tygodnie staliśmy. Po tygodniu mówię do starego, że muszę. No, do miasta. Zimno było jak cholera, motorówka z redą raz dziennie tylko miała połączenie. Wskakuję do motorówki, wiatr gwizdże jak cholera. Do Świnoujścia przepłynąłem nie ja, a wielki soplek lodu z moją książką żeglarską. Wypatoczyłem się na ulicę, taką główną do knajpy prowadzącą, idę, idę, a właściwie ślizgam się, a tu — to było już niedaleko knajpy, zapach piwa czułem i bigosu — pod drzwiami na schodach bóstwo-sopeleczek, ręka jej drży, w dziurkę kluczem nie może. Podchodzę, z zimna słowa wydobyć nie potrafię, ale grzecznie biorę od niej klucz, otwieram drzwi. Ona słowa nie może wykrztusić, kiwa tylko głową tak jakoś dziwnie, ale ja nie rozumiem, więc ona tą drżącą ręką bierze mnie i prowadzi do środka, a w środku — Jezus, Maria! — zimno jak cholera! bo piece, a kto miał palić, gdy jej w domu nie było, bo — jak się po wszystkim dowiedziałem, z redy od męża wracała — więc ja do piwnicy po węgiel, po drzewo, a ona wodę w czajniku na herbatę nastawia. Jaśminową, pachnącą jak cholera i gorącą jak cholera —



Fot. Bohdan Kowalski ŚWIAT ZA BURTA



znów uśmiechnął się do wspomnień. — Na imię miała Janka, Janeczka. Też czarna.

— Erotoman! — na to drugi.

— Chciałem tylko powiedzieć, że wtedy było zimno, cholernie zimno. Mewy zamarzały w locie. Ale wolałbym przeżyć taką zimą, niż tkwić w tym tropiku, w tym słonecznym pięknie, za którym inni tęsknią, ale ja nie.

W szybie drzwi pojawiła się twarz marynarza zwanego Tarzanem, Casanova zasłonił ją sobą.

— Tam można było pić, co? — drugi oficer aluzyjnie.

— Nieraz całą noc grzaliśmy — z entuzjazmem marynarz — a rano jakby nigdy nic przegryził człowiek kawałek chleba, by chuch był regulaminowy i do roboty. Zimno nas trzymało, a słońce rozkleiło. Powyłaziły z nas choroby jak z mięsa na słońcu robale. — Nagle zmartwił się, stanął. — Drugi, ja z tobą na tej cholerniej redzie już szósty miesiąc. Dwa razy na dobę po cztery godziny. To cholernie dużo. Można przez te godziny nie tylko swoje życie opowiedzieć, ale także innych. A ty stoisz ze mną po osiem godzin na dobę i ja nic więcej o tobie nie wiem prócz tego, że jesteś drugim na statku, zaraz po chieffie i że nie lubisz chieffa. Dlaczego go nie lubisz? Powiedz, dlaczego? Kiedyś szanowałem go, teraz twoja niechęć udzieliła się. Nie lubię go, ale nie wiem dlaczego. Nawet bardziej niż kapitana.

Tarzan coraz natrętniej począł się dobijać do drzwi.

— Na wachtę za godzinę! Krzyknął w jego stronę Casanova przez uchylone drzwi.

— Każ wszystkie moje nadgodziny w tym tygodniu zapisać na siebie — jęknął ten zza drzwi — każ w kantine z mojego konta wziąć dla siebie dwa kartony fajek, ale nie ukrywaj przede mną ochmistrza. Suszy mnie, a w nim tylko ratunek.

3.

W kabine ochmistrza mroczno od tytoniowego dymu.

— Odszedł — szeptem radiooficer zwany Dudim, z głową nad stołem, z uchem w stronę drzwi. — Na pewno już odszedł.

— Ale może wrócić — sceptycznie gospodarz.

— Na całym statku nigdzie przed nim ucieczki.

— Nieraz mam już tego dosyć.

— Nalej, puste drażnią moją wyobraźnię. Gdy tak patrzę na nie z kroplą na dnie, ostatnią kroplą, która ściec nie mogła, w mojej głowie lęgną się myśli tak ponure, że tylko naczyniem o stół.

— Komediant z ciebie, Dudi.

— A niech tam, myśl, że jestem komediantem, ale nalej.

— Rozmawiałem wczoraj z Grekiem. Jego statek stoi na zachód od naszego. Tak jak my szósty miesiąc załoga wpatruje się w horyzont i czeka.

— Okropna jest ich meta. Ouso też nie lepsze.

— Otóż to. A myślisz, że nasi potrafią docenić, że nie muszą pić metaxy czy ouso?

— Od kogo oczekujesz wdzięczności? Czy myślisz, że mnie ktoś postawi kielicha za to, gdy połączę go z krajem, z chatą? Normalka.

— Na tej greckiej łajbie nikomu by do głowy nie przyszło, żeby walić do kabiny ochmistrza. Jest kantyna, tam załatwiał, tak jak dla petenta na lądzie biuro. A kabina ochmistrza to miejsce święte. Nawet gdybym przez tydzień nie miał ochoty otwierać kantyny, powinni czekać. Na Greku czekają.

— W mózgu mi strzyka, jak przychodzi taka łajza, szmirus i jęczy: połącz mnie z chatą, z moją żoneczką, gołabeczką, żabeczką, z moją kikunią, psipsunią, cipunią, lalunią, cipeczką... Tak mi nad uchem, tak mi w słuchawkę. A jaki ja mam w tym interes?

— Na Greku ochmistrz to pierwszy po kapitanie. Steward mu buty czyści, wannę myje, koję ściele, a kucharz specjalne smakołyki wypichca. A tu? Nawet kabiny nie ma kto odkurzyć. Idź, zajrzyj do jego kabiny — bankiet. Festiwal młodości i wiecznej radości.

— Po co? Żle mi tu u ciebie? Nasza narada produkcyjna gorsza od ich złotu?

Ochmistrz wziął do rąk butelkę. — Gdyby nie ona, życie by obmierzło. Orędowniczko nasza, pocieszycielko nasza. — pocałował korek. — Cudowny, kształtny okapniku, obyś nigdy nie zaznał suszy. Sutka na piersiach kobiety nie ma tej słodyczy, jaką ty masz, rozkoszny okapniku. — Zakorkował, przesunął ręce wzdłuż szyjki. — Szyjeczko, przedsonku do skarbeczka, mienisz się kolorami kropel, podniecasz, że zębami chciałoby się przebić ciebie, wedrzeć do środka. — Uniósł butelkę. — Maciczko złotonośna, perłonośna, dzwoneczku z sercem wielkim od ścianki do ścianki... Chlup, chlup. Tap, tap. Cmok, cmok... — Ktoś zastukał do drzwi. — Pst, profany

Odwiedziliśmy Twoją żonę i matkę. Sam wiesz, że dzieli nas od nich kawał świata, więc nie jest nam łatwo wybrać się do nich. W końcu jednak zebraliśmy się i pojechaliśmy na trzy dni. Przyjęły nas gościnnie, ale wspólnego języka nie znaleźliśmy. Ani o co spytać, ani co poradzić. Ich świat inny, nasz inny. Więc żegnaliśmy się zawiedzeni, że na nic nie przędaliśmy się. Tak myślę z Twoją matką, że nie mają łatwego życia. Ale co począć? Tylko od Ciebie zależy czy będą miały lepsze. Może byś przestał wałęsać się po świecie i zajął domem? Dom bez gospodarza — to nie dom. Pomyśl o tym. Nigdy nie mówiliśmy Ci, co masz robić. Ale swego sumienia spytaj, gdzie Twoje miejsce: w domu czy gdzieś tam u brzegów obcego świata?

Zaraz po wejściu naszego statku na redę, najbliższej kotwiczące powitały nas syrenami. Wylegliśmy na pokład. Był to najsmutniejszy widok, jaki dotąd widziałem na morzu. Jak okiem sięgnąć kołyszące się statki. I daleko, bardzo daleko smużka lądu.

Kiedy nocą patrzę w radar — widzę setki jasnych punkci-ków. Każdy taki punkt — to kotwiczący statek. W tej chwili jest ich około 500. Pięćset statków od miesięcy czekających na wejście do portu. I nie wiadomo, kiedy wejdą. Za pół roku, za rok?

Przysyłam Wam zdjęcie zrobione z ekranu radarowego. Małe punkciki to statki, ciągła linia u góry to ląd, a duży jasny punkt po lewej stronie to nasz statek.

Co robię?

Trudno mi odpowiedzieć Tobie, Jolu na to pytanie. Na statku zawsze jest dużo zajęć. Czas oczekiwania na wejście do portu wypełniamy pracami związanymi z konserwacją statku, wachtami i alarmami.

Fot. Bohdan Kowalski SAMOTNOŚĆ

chcą cię zbeszcześcić, wyrwać z moich rąk. — Odstawił butelkę na stół. — Kogo diabli niosą?

Radiooficer nie potrafił już ukryć rozdrażnienia. — Oj, jak ty potrafisz drażnić, Wielki Okapniku. Niech sobie ktoś tam stoi pod drzwiami, nalej, nalej!

— W tym całym bezsensie, jaki człowieka otacza, tylko w tym jest sens.

— Więc nalej.

— Zdenerwował mnie. Ręce mi drżą, a każdej kropli żal.

— Więc daj, ja.

— Znam obowiązki gospodarza.

— Zadręczasz mnie. Ile minut już siedzę, patrzę w ten pusty kielich, a ty gadasz, gadasz. Skończ z gadaniem, nalej, bo z nerwów dostanę wrzodów żołądka, albo nerkowej nerwicy.

— Bez paniki, Dudi, tylko bez paniki. Nie lubię, jak się butelkę opróżnia na łapu, capu. To profanacja jedynej naszej świętości przed jaką my gotowi na kolana. Więc trzeba z szacunkiem do każdej kropli, z nabożeństwem do każdego kieliszka.

— Okapniku, opadam już z sił.

— Będzie pora, to cię podniesie. — Począł nasłuchiwać. — Znów ktoś pod drzwiami...

Radiooficer wstał. — W ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy bieżącego roku w Nowym Jorku co trzydzieści sekund popełniono ciężkie przestępstwo: morderstwo, gwałt, rabunek.

— A tu spokojnie, jest tak spokojnie, jakbyśmy byli międzyplanetarnym statkiem przelatującym nad Ziemią.

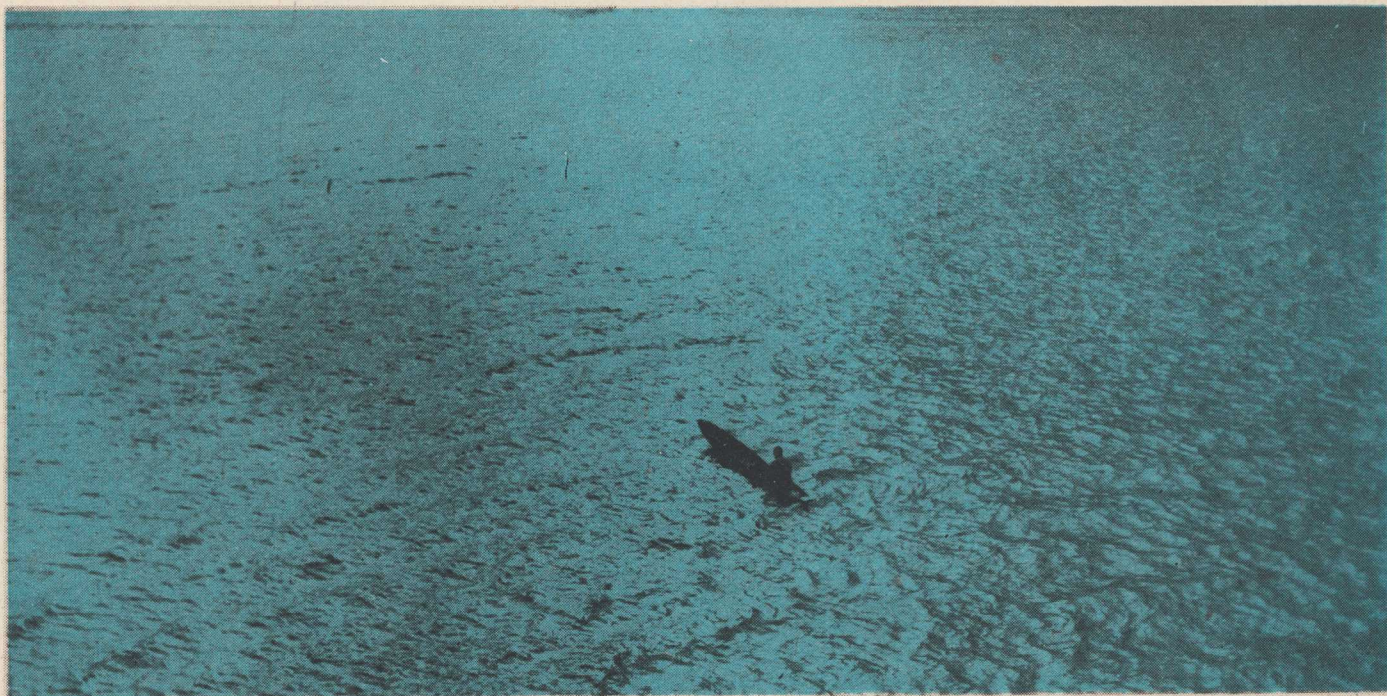
Radiooficer podszedł do ochmistra. — Spójrz, już noc. Jak zwykle nieoczekiwanie, nagle. Nieraz zastanawiam się czy między tym co jest, a tym co nas czeka, istnieje jakaś wyraźna granica? Kiedy nagle zapada noc, myślę, że śmierć może nas przenosić delikatnie, niepostrzeżenie... Wówczas wątpię czy naprawdę istnieje.

Ochmistrz odsunął się, wyciągnął w stronę radiooficera rękę z butelką. — Masz, nalej.

4.

Na Tarkwa Beach w ciemność nocy strzelił płomień ogniska. Jak sygnał spod palm kokosowych, z nastroszonych pióropuszcami dachów kleci, znad wyciągniętych na brzeg oceanu czarnych łodzi dla tych na redzie na pięciuset rozkołysanych pokładach statków, które dzień po dniu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu obłaskawiane atlantycką falą czekają na wprowadzenie do portu.

Kapitan wniósł na wysokość ust szklanekę z sodową wodą, przymknął oczy. Kiedy je otworzył, płomień ogniska przybladł, przesunął się na lewą burzę. Na odsłoniętej przestrzeni, na wyniesieniu fali, w świetle lamp rozwieszonych wzdłuż fałszburt zamajaczył kształt łodzi. Ale zaraz poddał w wątpliwość to spostrzeżenie: przecież port jest zamknięty, nikt z lądu nie może płynąć. Nawet gdy rozległy się dzwonki alarmowe, gdy ktoś na korytarzu krzyknął: — piraci! — nie chciał wierzyć, nie ruszył się z miejsca.



KONTROWERSJE

DLACZEGO
KOMANDOR SIĘ NIE CZERWIENI

Właśnie — dlaczego? Bo skoro wszystkie, ale to dosłownie wszystkie postacie tej arcymarynistycznej powieści czerwieni się na potęgę, to dlaczego akurat jeden jedyny komandor ma być szlachetnym wyjątkiem i nie zaczerwienić się ani razu na jakiejś stronie książki?

I dlaczego wszystkie postacie powieści czerwieni się, a nie, na przykład — „paśowieją” czy „rumieniają się”? Dlaczego w tej bublopodobnej powieści, wznowionej niedawno w nakładzie 30 000 egzemplarzy, czerwieni się zarówno prosta dziewczyna portowa, jak i perwersyjna nieco (ale tylko nieco!) refrenistka z portowej knajpy i mat-dobry brat, i bosman-chwat, i marynarz-zuch, i dziarski porucznik patrolu marynarskiego i dzielny starszy mechanik i — ahój, ahój! — sam główny bohater powieści, szlachetny kapitan marynarki wojennej, dowódca łodzi podwodnej?

Można nawet bez przesady powiedzieć, że postacie powieści wraz z jej autorem są tak obsesyjnie i dziewięćdziesiąt wrażliwe, że czerwieni się jak przedwojenne postacie wszystkich powieści Mniszkówny, Zarzyckiej i Szpyrkówny razem wzięte. Nic dziwnego zatem, że gdy autor każe posuniętemu już mocno w latach kapitanowi łodzi podwodnej pocałować perwersyjną nieco (ale tylko nieco!) refrenistkę, wówczas jedyną myślą tego gdyńskiego wilka morskiego jest oczekiwanie czy dziewczucha się zaczerwieni czy nie.

„Nawet nie wiedział — myśli kapitan — czy się zaczerwieniła, bo było ciemno”. (s. 211).

A gdy marynarz, podwładny owego kapitana, okłamuje go, znów jedyną reakcją starzejącego się kapitana, jest oburzenie, że marynarz ów się nie zaczerwienił.

„Łobuz, nawet się nie zaczerwienił!” (s. 67)

Kiedy indziej znów ten sam kapitan tak oto duma nad rumieńcem młodej dziewczyny portowej.

„Dziewczyna zaczerwieniła się, co go zdziwiło, bo skoro zdecydowała się do niego podejść, to nie powinna się czerwienić” (s. 118).

No cóż, nie powinna, ma się rozumieć, że nie powinna. Cóż jednak robić, skoro nie tylko ona, ale sam wyga morski, starzejący się kapitan i to dowódca łodzi podwodnej, czerwieni się nie tylko przed perwersyjną nieco (ale tylko nieco!) refrenistką, lecz nawet przed samym komandorem.

„Widzę, że pan jest nieśmiały — rzecz ów na stronie 20 znakomi-

tej powieści, na co onże, również na tej stronie, tak oto „czuje”:

„Kapitan poczuł, że się czerwieni”.

Słowo w słowo dzieje się to samo przed nigdy nie czerwieniącym się komandorem i to dwukrotnie. Na stronie 20 i 130.

„Dziękuję — kapitan poczuł, że się czerwieni”.

Identycznie czerwieni się przez „poczucie” dziarski porucznik patrolu marynarskiego:

„Porucznik poczuł, że się czerwieni” (s. 33)

Raz tylko, na str. 62, ów dziarski porucznik zaczerwienił się inaczej. Ze złości!

„Korwin widział, że Lewin (porucznik) zaczerwienił się ze złości”.

Bosman natomiast czerwieni się z trzech powodów — ze złości, z nieśmiałości i z zadowolenia.

„Zaczerwienił się ze złości i Necel trochę się przestraszył”.

„Panie kapitanie — bosman zaczerwienił się. Nie był przyzwyczajony dyskutować z dowódcą” (s. 164).

„To niegłupie — odezwał się dowódca, a Kurek (bosman) znów poczerwieniał, tym razem z zadowolenia” (s. 165)

Inaczej mat. On czerwieni się widząc coś niedobrego.

„Mat podszedł bliżej, zajrzał Necelowi w oczy. Musiał w nich zobaczyć coś niedobrego, bo zaczerwienił się, cofnął o krok i bąknął” (s. 66)

Kiedy tak łatwo czerwieni się wysoka szarża marynarska (z wyjątkiem oczywiście komandora), cóż mówić o zwykłych marynarzach. Ci czerwieni się przy byle okazji, jak podpieczone raki. Z tym tylko, że po zaczerwienieniu się marynarze już nie „bąkają”, jak ich zwierzchnicy, lecz zacinają się:

„Marynarz zaczerwienił się i ze zdenerwowania zaczął się zacinąć”.

W tym bogactwie czerwieni jedna tylko czerwien jest bez precedensu. Tego nie zdołały wymyślić łącznie nawet trzy przedwojenne panie — Mniszkówna, Zarzycka i Szpyrkówna, a także pewna powojenna współczesna pisarka wybrzeża. Oto nie tylko podwładni czerwieni się przed zwierzchnikami, ale także zwierzchnicy przed podwładnymi!

Jest to „novum” w całej marynistyce światowej, o czym zapomniano choćby napomknąć na ostatnim zjeździe marynistów polskich w Szczecinie, kiedy to stowarzyszenie owo, mające być w zasadzie związkiem twórczym, a nie propagandowym, omal nie przekształciło się po cichu

w jakąś Ligę Morską (bez kolonialnej oczywistości) na skutek rzuconego triumfalnie i przyjętego z entuzjazmem hasła — „Wszyscy rodacy w szeregach marynistów — w szkołach, gminach, fabrykach, w górach i nad morzem, na nizinach i na wyżynach”!

A jeśli nawet nie przekształciło się, to zamarło po cichu, wstydliwie, ale za to z królewską miną i Bramą Królewską w Szczecinie.

Ale to już inna sprawa, a na nas czeka niezwykle odkrycie autora o zwierzchnikach, którzy czerwieni się przed swymi podwładnymi. Oto jeden z przykładów tak demokratycznie pojętego obyczaju w naszej marynarce wojennej.

„Trochę za mała (ta czapka), gniecie w czoło — niemal wesoło odparł marynarz. Porucznik poczerwieniał”. (s. 68)..

Jeśli tak szlachetnie dzieje się w naszej zaczerwienionej marynarce wojennej, to cóż dopiero mówić o kobietach, spotykających się z przedstawicielami tyłu odmian czerwieni! One czerwieni się niemal z zasady, powszechnie i chyba także dlatego, aby nie wprowadzać w zakłopotanie czerwieniących się przed nimi kapitanów, poruczników, bosmanów, matów i zwykłych marynarzy (z wyjątkiem oczywiście komandora)

Można jeszcze zrozumieć, dlaczego czerwieni się np. taka perwersyjna nieco (ale tylko nieco!) refrenistka, gdy przychodzi na kawalerkę do starszego kapitana łodzi podwodnej.

„Przepraszam — zaczerwieniła się i odwróciła wzrok”. (s. 241)

No dobrze, w takiej sytuacji mogła się „babka” zaczerwienić, ale dlaczego czerwieni się stara barmanka, która w knajpie widziała rzeczy, od których by naszym autorowi oko zbieleło? Tymczasem autor pisze:

„Barmanka wprawnym ruchem napełniła dwa kieliszki. Szybko ujęła jeden i trącając o drugi powiedziała czerwieniąc się i krygując” (s. 23)

Nie jest to pierwsza książka tego autora, tym niemniej ktoś może bezstronnie pomyśleć, że te wszystkie czerwienie przydarzyły się po prostu autorowi z powodu jakiegoś fatalnego zbiegu okoliczności, z roztargnienia, gdyż piastował wówczas wiele wysokich stanowisk i to przydarzyły się akurat tylko w tej jednej, jedynej książce. Czyż wszystkie książki naszych pisarzy muszą być bez zarzutu, bez skazy, zwłaszcza że te wszystkie odmiany czerwieni nie raziły, nie uderzały, nie zniechęcały ani redakcji

wydawnictwa, ani recenzentów przed wydaniem książki i recenzentów po jej wydaniu.

O nie, drodzy czytelnicy, to nie fatalny przypadek, to zasada, autor bowiem już z natury, z urodzenia i pochodzenia ma taką szczególną predykcję do czerwieni. Dość przypomnieć jedną z jego pierwszych powieści o rybakach dalekomorskich, w której czerwienią się także i ci synowie wiatrów i sztormów, i to czerwienią się nawet podczas pożaru statku! (nie mylić z odbłaskiem pożaru na twarzy!).

Zagadką natomiast jest co innego, to mianowicie, dlaczego spośród tych wszystkich postaci, tak licznie występujących z czerwienią na twarzy, jeden tylko, jeden jedyny komandor się nie czerwieni? Właśnie — dlaczego? O nie, kochani, nie oczekujcie teraz ode mnie odpowiedzi, potrudźcie się trochę sami, rozejrzyjcie się w Szczecinie, Koszalinie czy Gdańsku po naszej wspaniale rozkwitającej marynistyce, a jeśli przysłacie trafną odpowiedź, gotów jestem wręczyć każdemu z osobna „szereg cennych nagród książkowych”. Cennych i bibliofilskich, bo pochodzących z czasów, kiedy to za przeczytanie kilku powieści czytelnicy więcej otrzymywali z różnych organizacji takie nagrody jak donice, garnki, stołki kuchenne, wałki do ciasta itp., a nam jako ofiarnym bibliotekarzom i propagatorom czytelnictwa wręczono uroczyście grube, monumentalne księgi oprawne w skórę, na czepianym papierze, o pewnym wybitnym prominencie historycznym! Mam kilka takich cennych ksiąg, dziś już nieuchwytnych w antykwariatach i chętnie je rozdaję za trafne odpowiedzi, fundując nagrodę pod nazwą „Cień rumieńca”!

Właśnie, ten „cień rumieńca” brzmi dumnie, a wzięty został z samego jądra omawianej tu powieści, gdy jeden z zaczerwienionych facetów patrzy na drugiego, też często się zaczerwienił i tak oto duma nad nim:

„Miał przed sobą starannie ogoloną, otwartą twarz o piwnych, uważnie patrzących oczach. Na tej twarzy nie było cienia rumieńca”.

Ano, cóż robić, nie było! Ale za to po raz pierwszy i jedyny pojawia się w tej arcymarynistycznej powieści rumieniec, a nie jakieś zwykłe „zaczerwienienie się”.

Tak oto doszliśmy pokrótce, a właśnie dotknęliśmy zaledwie jednej tylko warstwy powieści, która najsilniej określa arcyzm każdego dzieła literackiego, mianowicie warstwy stylistyczno-językowej. Jest to w tym wypadku warstwa nieprawdopodobnego banału, nieudolności stylistycznej, naiwnego powtarzania się, po prostu kompromitacji artystycznej.

Parę lat temu, w dyskusji w „Literaturze” na temat najlepszych książek danego roku, H. Zaworska wyjątkowo sumienny krytyk literacki, powiedziała wprost, że na 250 przeczytanych w owym roku, czy tylko przejrzanych przez nią książek określić można zaledwie kilkanaście jako dobre, resztę zaś jako „bezwartościowe pozycje”!

Po cóż zresztą sięgać tak daleko. Mamy jeszcze w świeżej pamięci

wypowiedzi pisarzy i krytyków w „Życiu Literackim” przed ogólnopolskim zjazdem pisarzy w Katowicach i wypowiedzi na samym Zjeździe. Trzy z nich wydają mi się bardzo znamienne i współbieżne z tym, co można powiedzieć o omawianej tu książce.

Oto K. Koźniewski na pytanie, „co w literaturze polskiej ostatnich lat uważa za zjawisko cenne i inspirujące” oświadczył wprost — „Wzdrygam się napisać, a napisać chyba winienem, jeżeli mam być ze sobą zupełnie szczery, że — nic! I to jest właśnie — dla mnie przynajmniej — bardzo przykre... (pisarze) unikają i konfrontacji i obrazowania naszego wspólnego czasu. I to właśnie, że pisarze nasi stoją bezradni przed wrotami współczesności — to jest smutne i złe”.

Wi. Maciąg natomiast jako krytyk uważa, że najlepsze książki ostatnich lat to niemal bez wyjątku powieści historyczne, gdyż „autor więcej ma tu do powiedzenia, bo staje się samodzielnym i nieskrępowany. Konflikt tragiczny na przykład jest przy temacie współczesnym nie do pomyślenia”. A jeszcze gorzej jest z krytyką, bo nie spełnia ona swoich zadań obawiając się nazwania po imieniu. Píše więc o niej w ten sposób.

„W świecie wartości (krytyk) uprawia raczej gimnastykę słowną, unika także ocen opartych na wartościach istotnych... Bo jak ma (krytyk) podejmować spór z postawą pisarza, jeśli ten pisarz robi wszystko, by ta jego postawa pozostała niejasna i zatarta. I tak z lęku przed taktycznymi i koterijnymi uwikłaniami życie literackie staje się ubogim salonem...”

Podobnie wypowiada się także M. Bordowicz, poeta i dramaturg młodego pokolenia. Uważa on, że literatura nasza zadawała się tylko „poprawnością”, że nie chce żadnej „zadry”, żadnego „ryzyka”, dlatego np. tomiki poezji są zadziwiająco podobne do siebie

i różnią się tylko graficznym układem wersetów.

Z opinii tych wylania się obraz literatury współczesnej jako wizja „ubogiego salonu”. I rzeczywiście w tym „ubogim salonie” prosperują najlepiej powieści tego typu, co omawiana tu powieść marynistyczna o czerwieniących się postaciach świata morskiego i nadmorskiego, z wyłączeniem oczywiście wysokiego komandora. Książki te prosperują tak dobrze, że omawiana tu powieść ukazała się już w drugim wydaniu, w nakładzie 30 000 egzemplarzy. Bo też autor nie tylko nie zadaje sobie trudu „konfrontacji i obrazowania naszego współczesnego świata”, nie tylko nie szuka „zadry” czy „ryzyka”, nie tylko nie zaciera swych postaw ideowych, bo ich w ogóle nie ma, ale nawet nie sili się na zwyczajną poprawność stylistyczno-językową. Bo po co? Wie przecież dobrze o tym, że krytycy jego książki będą przecież uprawiali gimnastykę słowną, byle tylko nie nazwać po imieniu jej karykaturalnych wartości.

W „ubogim salonie” o takich rzeczach się nie mówi.

Powiedział kiedyś J. Brzękowski, wybitny współtwórca awangardy, że dawniej, to znaczy przed wojną, można było poznać grafomana po paru liniach czy stronach książki, obecnie zaś widzi się to dopiero po przeczytaniu połowy książki. No cóż, podniosła się dziś wysoko kultura czytania i samo czytelnictwo, powszechność książek jest olbrzymia i na dobrą sprawę każdy kulturalny i wrażliwy czytelnik może spreparować powieść, jeśli tylko będzie pisał jako tako poprawnie, nie będzie niczego krytykował, nie wychylał się na prawo, ani na lewo, a i w środku nie będzie pozostawał zbyt długo. Tak, tylko „co to za przyjemność pisać słabe książki”, jak mawiał mój, nieodżałowanej pamięci, profesor literatury, Stefan Kołaczkowski!

TADEUSZ KLUSIK

PRZECIW STEREOTYPOM

Warszawski znajomy powiedział mi: Piszę morską piosenkę. Zbliża się termin konkursu, trzeba więc zaznaczyć w nim swoją obecność. Zaprezentował wywód na temat procesu tworzenia marynistyki w rodzaju uniwersalnej formuły. Najważniejsze jest biurko, biurko i spokój, i... trochę marynistyki. Takiej specjalistycznej: o szpringach, relingach, kluzach, szotach i baumach.

Z pejzażem nie ma kłopotów, bo to się zna z literatury, geografii i wakacyjnej autopsji nad morzem. A więc albo zielonkawa gładź, a na niej kilwaterny ślad, albo dziesięć w skali Beauforta czyli piekło wśród morskich odmetów. Są jeszcze stany pośrednie pogodowo-pejzażowe, jak wschody i zachody słońca na morzu, spokojne lub złowieszcze, balety z chmur lub lazury wy błękit nieba. Jest też i fauna morska. Białe lub szare mewy z zakłętymi w nich duszami marynarzy, delfiny idące po wiatr i cały wystrój morskiej

mitologii, z syrenami, Prozerpiną, Posejdonem na czele.

Zapytałem przyjaciela o człowieka. Człowiek? A, marynarz — dodał, filuternie mrugnawszy okiem. Z tym najmniejszy kłopot. Wiadomo, że albo typ conradyczny, twardy, tajemniczy i refleksyjny, albo nasz rodzimy spod żagla „Zawiszy” czy „Daru Pomorza”. Z miłością do mórz w oczach i z piosenką na ustach: Hej, chłopcy, morze ma barwę zieloną... Oczywiście, jeszcze są przygody portowe, tawerny, dziewczyny żegnające swoich Odyseuszów, cały świat stojący otworem przed zejmanem i zejmańską legendą.

W tym miejscu składanej recepty znajomego oczekiwałem najgorszego. Na szczęście nie wspomniał nic o marynarzu, który „dolarów pełno ma w swym worku”...

II

W czasie wystarczająco długiego obcowania na morzu z ludźmi morza niewiele widziałem takich, których wygląd zewnętrzny i osobowość przypominałyby dawnych wilków morskich, noszących na sobie i w sobie wpisane na zawsze stygmaty morza. O tych nielicznych, jakich się jeszcze spotyka, chciałoby się powiedzieć, że są ostatnimi, „co tak poloneza wodzą”. Zle znoszą rozstanie z morzem i szybko umierają pozbawieni z nim kontaktu. Coraz rzadziej pasuje też do rzeczywistości definicja marynarza ze starej encyklopedii angielskiej jako „indywiduum mocno ziejącego rumem i zdolnego do manewrowania sterem”. Znałem marynarza, który między wachtami pisał prawniczą pracę magisterską. Coraz częściej nad mapami w sterowniach naszych statków pochylała się młodzi ludzie, wychowankowie szkół morskich. Pływają już pierwsi absolwenci dwóch polskich liceów morskich, w morzu, na m/s „Kapitanie Ledóchowski” studenci przygotowują materiały do prac magisterskich. Do pracy na morzu przystąpiło nowe pokolenie. Czasem w morzu jednak coś nie tak... Coś w nich pęka. Za dużo mówią o tych tam, na lądzie. Tacy jaćś dziwni, jakby pęknięci na pół, jedną nogą tu, a drugą tam...

III

Na stalowych kolosach coraz większa automatyzacja, w siłowni i na mostku kapitańskim. I tu, i tam coraz mniej pracy fizycznej. Komputery, nawigacja satelitarna, postęp, specjalizacja. Na morzach robi się ciasno. Niektóre przejścia przypominają trochę wąskie gardła miejskich komunikacji. Znikły gdzieś conradowskie „białe ptaki”, nie ma ich tajemniczych i romantycznych kapitanów. Pierwsi po Bogu są dziś zaledwie i nie zawsze pierwszymi po armatorze. Z całym bagażem spraw socjalnych i administracyjnych, eksploatacyjnych przypominają czasem znerwicowanych dyrektorów z lądu. Zmienia się radykalnie mentalność marynarza naszej floty handlowej. Nikt go nie przywłócił siłą na statek, zamroczono rumem w portowej knajpie, rzadko kiedy zniewolił go zew morza. Po prostu wybrał ten zawód spośród ty-

siąca innych, bo uznał go za intratny lub ciekawy. Często decydował o tym przypadek. Ambitniejsi dotkliwie odczuwają brak wykształcenia i podejmują naukę na wydziale zaocznym średniej szkoły morskiej. Inni próbują zabezpieczyć się „drugim fakultetem”. Najmłodszy skończyli szkoły morskie i z mniejszą lub większą świadomością swego losu rozpoczęli pracę na morzu. Nim ją podjęli, korzystali ze wszystkich przywilejów lądowego życia. Mielili swoje pasje sportowe i kulturalne, przyjaźnie i sympatie. Wielu z nich założyło rodziny. Tymczasem w ich życie wkroczyło morze. Skrócił się czas pobytu na lądzie. Wzrosła bolesna świadomość rozdziału między życiem zawodowym a rodzinnym, ciągle wzmagana powitaniami i rozstaniem. Zaczął się marynarski „czas oczekiwania”, zejmańska choroba, którą można załagodzić, ale z której nie można wyleczyć nawet tych najtwardszych.

IV

Zmieniają się warunki pracy i odpoczynku na morzu. Mniej lub bardziej komfortowe kajuty z klimatyzacją w tropiku, czytelnie z telewizorem i sprzęt sportowy, filmy i różnego rodzaju turnieje gier zespołowych — wszystko to jest tylko namiastką „normalnego życia”. Morze jest tylko morzem, przestrzenią, którą trzeba przeorać w określonym czasie, często wydłużającym się przez postoje na krajowych i zagranicznych redach. Właśnie redy wprowadzają w atmosferę statkowego życia najwięcej nerwowości, dyskusji, stanów napięcia i maniakich kalkulacji w rodzaju: Jeśli nic się nie zdarzy nowego, to za tyle a tyle dni będziemy w kraju”. ...Sprawą z ludzkiego i zawodowego punktu widzenia na statkach staje się problem odporności psychicznej marynarza, który przestał być trampem-wagabundą, jest natomiast człowiekiem zawodu morskiego. Dodajmy, człowiekiem XX wieku, a więc kimś z pełną świadomością praw egzystencjalnych jednostki, z jej współczesnymi problemami i egotycznym parciem do szczęścia. Tymczasem trzy czwarte swego życia spędza marynarz na morzu. Niczego lub prawie niczego nie załatwiają tu kontakty radiowe z rodziną, listy, prasa, itd. Współczesny marynarz przeżywa kompleks, że życie prawdziwe przechodzi obok niego. Może jest ono przez niego zbyt wyidealizowane przez sam fakt oddalenia od lądu i rodziny, ale to niczego nie zmienia.

Wymownym pod tym względem staje się przykład z mapą nawigacyjną. Od zewnętrznej strony linii brzegowej

jest ona prawie pusta, im głębiej lądu, tym mniej na niej informacji. Nie są one potrzebne dla nawigacji. I odwrotnie — białe i niebieskie obszary morza na mapie lądowej na mapach nawigacyjnych zapelnione są znakami, liniami, cyframi, bogactwem informacji oznaczającymi przejścia, mielizny, boje, kursy na morskim szlaku. To jest ten najbliższy świat marynarza, w którym tkwi on przez całe tygodnie, miesiące i lata. W krótkich postojach wraca do domu i zachłystuje się dawką skondensowanego, święteckiego życia, przylapując się na tym, że nie bardzo może uczestniczyć w dyskusjach o sprawach, które przechodzą „obok niego”. Denerwuje go to, z ulgą wraca na statek, by odczuć brak tego, co pozostawił na lądzie. Tę świadomość wewnętrznej rozdarcia w mniejszym lub większym stopniu mają wszyscy marynarze. Nie piszę tu o jednostkach znerwicowanych czy hamletycznych, ale o normalnych ludziach, lubiących swój zawód, wykonujących go bez zastrzeżeń ze strony przełożonych, rekompensujących swe straty skromnymi możliwościami zwiedzania obcych krajów i miast. Nie interesują mnie tacy, którzy nie mają ze sobą żadnych problemów, bo przyszłość naszej floty należy nie do prymitywnych monolitów, ale do tych drugich. Nie uskarżają się oni na swój los, a jeśli już, to nie różnią się w tym bardzo od ludzi trudnych zawodów na lądzie. Myślący marynarz zdaje sobie sprawę z ceny takich predyspozycji i cech w swoim zawodzie, jak wytrzymałość fizyczna i psychiczna czy wartości duchowe żeglarza spod znaku „Daru Pomorza”. W walce z żywiołem mimo zmieniających się warunków żegluga zawsze decydować będzie człowiek. Ma on tego świadomość, że musi ktoś ten trudny zawód wykonywać i zna cenę, jaką za to się płaci.

V

Na morzu dochodzą do głosu małe i wielkie dramaty ludzkie, wątpliwości i ambicje, zahamowania i pytania, na które nie ma odpowiedzi filozof. Morze ma wszystkie barwy świata i ma tę samą ponadczasową zdolność wywoływania ludzkich przeżyć od zachwyty po nieme porażenie strachem. Marynarze odczuwają piękno tego zjawiska na swój sposób, chociaż nieliczni potrafią o tym mówić i pisać. Za to wszyscy wyczuwają każdy fałsz i „wazelinę” w sztuce im poświęconej. Nie pragną oni mitologizowania ich zawodu. Denerwują ich stereotypy lub legendy o beztrojskim żeglownianiu po „zło-te runo”.

Warunki pracy na morzu

Weryfikowanie naszych sądów o rzeczywistości jest rzeczą konieczną. Niekiedy jest to niemożliwe z braku obiektywnych informacji, a czasami podyktowane niechęcią do zmieniania utartych już sądów i przekonań, nawet jeśli mijają się one z prawdą. Zawód marynarza i praca na morzu jest właściwie taką dziedziną rzeczywistości, której towarzyszą swoiste interpretacje i uogólnienia. Dotyczy to szczególnie ocen sytuacji zawodowej osób pracujących na statkach, potocznie nazywanych marynarzami. Nazwa „marynarz” współcześnie bardziej przysługuje osobom ze względu na miejsce wykonywania pracy niż z powodu specjalnych kwalifikacji. Obecnie statek morski jest podobny pod wieloma względami do najnowocześniejszych zakładów pracy. Szerokie zastosowanie mechanizacji prac, automatyzacja, wykorzystywanie wyników elektroniki i cybernetyki stwarza sytuacje, w których od ludzi tam pracujących wymagane są wiadomości i umiejętności właściwe dla wysoko kwalifikowanej kadry inżyniersko-technicznej. Wiedza specjalistyczna stanowi coraz mniejszą część wiedzy, którą powinien posiadać marynarz. Nie oznacza to deprecjacji wiedzy fachowej. Nie każdy specjalista, szczególnie z zakresu nauk technicznych, mógłby bez przygotowania wywiązywać się z powodzeniem z obowiązków marynarza. Statek jako miejsce pracy, mimo wielu podobieństw z zakładem pracy na lądzie, zachował swoją odrębność. Sprawia ona, że sytuacje, w jakich człowiek musi działać, są wyjątkowe, nietypowe. Człowiek ten powinien z tego względu posiadać, oprócz wiedzy i umiejętności specjalistycznych, również określone właściwości psychiczne.

Psychologia pracy na morzu, a w jej obrębie badania nad zachowaniem się ludzi pracujących na statkach, pozwala bliżej poznać specyficzne właściwości środowiska pracy.

Prawidłowe funkcjonowanie człowieka w znaczeniu psychologicznym oznacza zachowanie się celowe, czyli racjonalne. Musimy jednak zdawać sobie sprawę z tego, że postulat racjonalności może być spełniony przy zaistnieniu optymalnych warunków. A zalicza się do nich przede wszystkim harmonijnie ukształtowana osobowość, prawidłowy stan organizmu oraz normalną sytuację zewnętrzną. W praktyce nieczęsto się zdarza, aby wymienione czynniki osiągały równocześnie stan optymalny. Zależą one bowiem, chociaż każdy pod innym względem, od środowiska przyrodniczego i społecznego, oraz warun-

kują się wzajemnie w procesach adaptacyjnych. Ten system wielorakich i wzajemnych zależności powoduje, że nie wszyscy i nie zawsze są w stanie funkcjonować prawidłowo.

W tym miejscu chciałbym uwagę skupić na jednym tylko czynniku determinującym zachowanie się człowieka, a mianowicie na sytuacji zewnętrznej.

Termin „sytuacja” jest pojęciem wieloznacznym. Najczęściej przez to pojęcie rozumie się zespół warunków i bodźców zewnętrznych, które oddziałują na człowieka wywołując jego zachowanie się. Nierzadko „sytuację” określa się mianem okazji, dla podkreślenia że jest to zjawisko trwające w określonym przedziale czasu, zjawisko niestabilne.

W znaczeniu psychologicznym „sytuacja” oznacza spłot konkretnych bodźców (przedmiotów, osób, zdarzeń), które posiadając określoną wartość, wpływają na kierunek i intensywność zachowania się człowieka.

Na ogół wyróżnia się dwa rodzaje sytuacji zewnętrznej: normalną i niestandardną, czyli tzw. sytuację trudną. Sytuacja normalna oznacza taki spłot bodźców, który sprawia, że osoba działająca jest głęboko przekonana, iż cele ku którym zdąża, są osiągalne.

Sytuacja trudna natomiast oznacza, że w istniejących okolicznościach osoba działająca wątpi w możliwość osiągnięcia celu, na którym jej zależy. Cechą charakterystyczną sytuacji trudnej jest to, że cel działania jest atrakcyjny, pożądanym, a równocześnie towarzyszy temu brak pewności, że zostanie on osiągnięty z powodu przeszkód fizycznych, organizacyjno-prawnych lub kulturowych. Sytuacja trudna ogranicza więc dostęp do wartości. Zależnie od stopnia ograniczenia dostępu do wartości wyróżniamy w obrębie sytuacji trudnej trzy typy sytuacji. W przypadku całkowitego ograniczenia dostępu do wartości sytuację nazywa się deprywacyjną. Częściowe ograniczenie tworzy sytuację frustracyjną, natomiast zapowiedź ograniczenia możliwości realizacji celu tworzy sytuację zagrożenia.

W pracy na statku morskim występują zarówno sytuacje normalne jak i trudne. Zdecydowanie jednak przeważają sytuacje trudne. Każdy doświadczony marynarz jest świadom przeszkód, które nieodmiennie towarzyszą pracy na statku, utrudniają dostęp do celów naturalnych oraz celów wtórnie ukształtowanych przez społeczeństwo.

Człowiek żyjący i pracujący na lą-

dzie styka się ze znacznie mniejszą ilością tych przeszkód i innym ich rodzajem.

Głównymi czynnikami obniżającymi prawdopodobieństwo realizacji celów przez marynarza są: czas, przestrzeń, organizacja pracy oraz techniczne warunki życia i pracy. Odległość od lądu i czas rozłąki z najbliższymi uniemożliwia zaspokajanie pragnień związanych z potrzebą kontaktu emocjonalnego. Hałas i wibracja pogarsza warunki ekologiczne, a obcowanie z żywiołem zagraża stale poczuciu bezpieczeństwa. Poczucie to nasuwa ponadto świadomość możliwości awarii, katastrof, konfliktów itp. Wachtowy system pracy oraz przemieszczanie się w przestrzeni powoduje naruszenie naturalnego rytmu biologicznego organizmu.

Należy również uświadomić, że człowiek na statku pozbawiony jest możliwości oddziaływania na cele grupowe. Statek posiada zadania ustalone przez armatora, a załoga zobowiązana jest je realizować. Sposób zachowania załogi w czasie pobytu na statku ujęty jest w formalny zestaw reguł i zasad, który odbiera możliwość zachowania autonomicznego.

W czasie pracy na statku ograniczone są również możliwości rekreacji i wypoczynku, zabawy, dostępu do informacji oraz doskonalenia zawodowego i moralnego.

Na skutek istnienia tak wielu ograniczeń zdarza się, że osoby niecierpliwie, nieprzygotowane do wyrzeczeń, szybko rezygnują z pracy na morzu.

Przykładowo wymienione przeszkody w realizacji celów w czasie pracy na statku oraz ogólna charakterystyka sytuacji trudnej pozwalają uświadomić, że warunki pracy na statku są bardzo odmienne od warunków lądowych. Dlatego też analizując zachowanie marynarzy w czasie pobytu na lądzie nie powinniśmy się dziwić, jeśli zauważymy jakieś nietypowe formy. Mimo że człowiek może kształtować środowisko, w którym pracuje, to również warunki, jakie sam sobie stwarza, znacząco wpływają na jego zachowanie. Wpływ ten jest czasami tak duży, że nawet po zmianie warunków, człowiek zachowuje się tak, jakby ta zmiana nie nastąpiła.

Optymalizacja warunków pracy na statku, przygotowanie ludzi do pracy w zawodzie marynarza, wpływ postępu technicznego na role zawodowe oraz szereg innych zagadnień wchodzą w zakres problematyki różnych dziedzin nauki i praktyki społecznej. Zagadnienia te być może poruszymy w innych artykułach.

HENRYK

Nie zliczysz, ilu ludziom wskazała drogę życia. Były lata, że tysiące przychodziło do niej bez kwalifikacji, wyuczyła ich zawodu i wędrowali dalej. Daje i dziś pracę kilkunastu tysiącom. W jednym tylko mieście. Dodajcie do tego murarzy, którzy budują dla nich domy, ekspedientów sprzedających im towary, tych którzy szyją dla nich ubrania, uczą ich dzieci, wożą do pracy, leczą. Dodajcie do tego pracowników pół tysiąca zakładów pracy w całej Polsce, które budują maszyny i urządzenia, kłamki i radary, blachy i kable, silniki i lusterka nad umywalki.

Połączcie na mapie świata prostymi liniami kraje, do których trafiły jej wyroby, a przetniecie wszystkie morza i oceany, złączycie ten świat liniami ludzkiej pracy promiennie rozchodzącymi się ze Szczecina.

Ludziom dała egzystencję, zawód, satysfakcję. Ludziom odebrała zdrowie w kolorowej feerii iskier aparatów spawalniczych, poraziła ich oczy, odebrała słuch w huku stalowych blach, poskręcała reumatyzmem, kiedy zimą leżeli na piekącym od mrozu żelazie.

ONA.

Wywołała nowe kierunki nauki, stworzyła instytuty i biura projektowe, zatrudniła w nich ludzi wrażliwych na piękno, obdarzyła ich wyobraźnią stwórcy, nauczyła opanowania żywiołu wody, ognia i stali, wyzwoliła z kompleksu parweniusza, dała szansę zmierzenia myśli z najtęższymi głowami w świecie.

ONA.

Żywicielka, organizatorka, nauczyciel. Duma i ból, nadzieja i rozczarowanie.

ONA.

Z gruzów powstała przed trzydziestu laty, dźwignęta potężną ręką ludzi radzieckich, niosąca sławę po morzach i oceanach ludzi upartych, ambitnych i mądrych z zielonego miasta nad Odrą, sławę tworzenia rzeczy, budowania społeczeństwa, rozwoju techniki i wiedzy.

SZCZECIŃSKA STOCZNIA IM. ADOLFA WARSKIEGO.

*

Był wysoki i chudy. Ilekroć przemawiał z trybuny, opierał się łokciami o pulpit, wystawiał jak najdalej nogi, plątał je w przedziwny sposób, aby zmieścić się między mikrofonem a podłogą. Najczęściej nie mieścił się jednak w tezach aktualnego referatu.

„Wy, towarzyszu Jendza, zawsze z czymś wyskoczycie”.

„Widocznie jestem taki długi, że muszę się wychylać. Nie mówię tylko w swoim imieniu. Przyjdźcie do nas, pogadajcie z ludźmi, to się przekonacie, czy nie mam racji”.



Spotykaliśmy się czasem późnym wieczorem w gabinecie, w którym przez wiele lat później wisiał jego portret. Miałem obiekcje, że zatrzymuję go dla dziennikarskiej ciekawości po godzinach pracy.

„Taka, przyjacielu, dola dyrektora, że nie ma ustalonych godzin pracy. I tak bym tu siedział”.

Per „przyjacielu” zwracał się do wszystkich od nitera do ministra. Przez cały dzień drzwi od jego gabinetu stały otworem dla każdego, w każdej sprawie. Chyba, że bocianymi krokami przemierzał stoczniowe gospodarstwo. Większość stoczniovców znał z nazwiska i imienia. Dwa i pół tysiąca ludzi.

Bywało, że podchodził do niego umorusany człowiek i oświadczał:

„Mam, dyrektorze, ślub, potrzebuję parę groszy. Nie dałoby się załatwić jakiejś pożyczki?”

Henryk Jendza sięgał do własnej kieszeni i proponował pożyczkę od ręki.

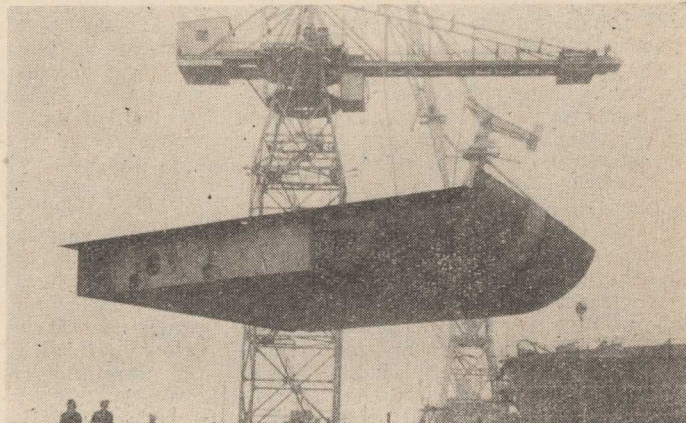
„Bierz, przyjacielu, ja zarabiam więcej”.

Pytałem czy zna tego komu pożyczał. „Przecież to stoczniovec”. Było kilka przypadków, że go ktoś naciągnął, zginał ze stoczni z roboczą odzieżą i dyrektorską pożyczką. „Widocznie nie był to prawdziwy stoczniovec”.

Bywało, że podczas takich obchodów Henryk Jendza zatrzymywał się przy grupie robotników i wypytywał o szczegóły pracy, dyskutował nad szczegółami technicznymi rozwiązań, przynaglał. Jeżeli komukolwiek coś obiecał — wiadomo było że mur. Nie prowadził podczas tych codziennych obchodów notatek. Pamiętał.

Kiedy zaczęto wprowadzać system NTU (kto pamięta, że chodzi o tak zwane normy technicznie uzasadnione?), kiedy spadały stoczniowe zarobki i to w okresie najtrudniejszego dla stoczni przechodzenia z produkcji parowców na motorowce, z nitowania na spawanie, w okresie reorganizacji, która dokonywała pierwszego etapu scalania stoczniowego organizmu, dawała samodzielność wydziałom, nakładała nowe obowiązki na kadry kierownicze, kiedy zaczęto uważnie liczyć koszty materiałowe (chyba po raz pierwszy) tylko on, Henryk Jendza, mógł stanąć przed stoczniovcami i wyjaśnić, że nie chodzi o ich krzywdę, lecz o dobro ich i całego kraju.

„Uczymy się, a do nauki trzeba dopłacać. W 1952 roku w grudniu zwodowaliśmy «Czułyma», nasz pierwszy statek budowany od stępki. Robiliśmy kadłub osiemnaście miesięcy, 600 tysięcy roboczogodzin. Rok i dwa tygodnie trzymaliśmy go na wyposażeniu. Ponieśliśmy w tym roku prawie 11 milionów złotych straty. W 1953 nasze straty wyniosły 20,5 miliona złotych. Pierwszy zysk daliśmy dopiero w roku 1955. Teraz też się uczymy. Jeszcze nie uniwersytet, ale już technikum budowy okrętów. Po raz pierwszy musimy



HENRYK

budować na klasę międzynarodowego towarzystwa klasyfikacyjnego. Nawet nasi armatorzy stawiają nowe, wyższe zadania. Ale teraz już nikt nie rezygnuje z naszego zysku. Nie możemy się cofać w wydajności pracy. Znalezione do tego drogę przez śrubowanie norm. A my musimy pracownikom przyuczonym u nas do wykonywania zawodu dać papiery rzemieślnicze, zorganizować technikom wieczorowe, pomóc politechnice w utworzeniu zaocznych studiów dla pracujących. Tu nie chodzi tylko o doskonałe produkowanie statków bardziej skomplikowanych od naszych B-32. Chodzi o przyszłość stoczniovców”.

Tłumaczył mi, a może tylko przekonywał siebie: „Powiadają: jesteś dyrektorem — masz dać zysk. Możemy zrobić tylko jedno: apelować do ludzi, żeby chcieli pracować po godzinach. I tak niektórzy idą do domu tylko po to, aby się przespać. Do kogo mam apelować? Do tych starych, złotych pracowników? Ich poganiać nie trzeba. Młodzi chcą od nas zarobku, wiedzy, mieszkania, stołówek, rozrywek. Znowu najofiarniejsi będą najmocniej ciągnąć”.

Pamiętam ten monolog dyrektora. Był zmęczony. W kręgu światła biurowej lampy widziałem jego podpartą pięścią głowę i zmęczone oczy. Otworzył szufladę biurka i wyciągnął dwa pliki papieru. Większy stanowiły nagany i ostrzeżenia, które udało mu się zebrać od zwierzchników. Mniej — to były pochwały.

„Widzisz, jak się równoważy moja praca? I kim ja jestem, że odważyłem się dziś powiedzieć do stoczniovców: «Zróbcie to dla mnie»? Jestem demagogiem? Może i jestem, ale to naprawdę nie dla swojego dobra”.

Henryk Jendza był niezrównowagowany. Jego spokój, życzliwość dla ludzi, uśmiech krzesali energię. Nie miał stoczniovców wykształcenia. Był technikiem kolejowym. Posiadał przyrodzony dar przewodzenia ludziom. Dziś pewnie nazwano by go menadżerem. Otaczał się fachowcami najwyższej klasy. Do kierownictwa stoczni wprowadził inżyniera Eugeniusza Skrzymskiego, później, kierownika instytutu budowy okrętów Politechniki Szczecińskiej. Zwerbował na stanowisko naczelnego inżyniera Stanisława Nowickiego, który po kilku latach został dyrektorem departamentu Ministerstwa Żeglugi. W trójkę opracowali koncepcję przesunięcia na odległość kilkudziesięciu metrów 35-tonowego dźwigu. Przeprowadzenie tego umożliwiło uruchomienie ośrodka pochylniowego Wulkan jeszcze w roku 1958, przekonanie władz, że warto zainwestować w stoczniovców astronomiczną na owe czasy kwotę 40 milionów złotych i rozpoczęcie jeszcze w 1959 roku budowy pierwszego dziesięcioletniego, dzięki któremu stocznia awansowała do grupy średnich w skali światowej.

„Człowieku, przecież ja się nie znam na przesuwaniu dźwigów, ale ja muszę ponieść całkowite ryzyko tego przedsięwzięcia. Ludzie muszą wiedzieć, że ja się pod tym podpisuję. Koncepcję opracowaliśmy wspólnie, wyliczenia robili fachowcy. Ja im wierzę. Chcę, żeby wszyscy mi wierzyli”.

Pamiętam słowa, gesty i decyzje Henryka Jendzy. Pamiętam też jego pogrzeb. To nieprawda, że zmarł na skutek zatrucia organizmu po pęknięciu ropnej ślepej kiszki. Zmarł na stoczniovców. Tyle razy widząc go związającego się z bólu, przyjaciele kierowali go do lekarza. Nie miał czasu. Owszem pójdzcie, jak tylko jeszcze załatwi jedną sprawę.

Ostateczny atak chwycił go w drodze na jakąś konferencję. Wrócił z niej, aby domowym sposobem przynieść chwilową ulgę cierpieniu. Ulga oznaczała początek rezygnacji organizmu z samoobrony. Głupia sprawa. Wielka sprawa?

Na centralny cmentarz odprowadzało go całe miasto. Znało go tylu ludzi, tylu miało mu coś osobiście do zawdzięczenia.

*

W 1978 roku przy nabrzeżu wyposażeniowym stoczni im. Warskiego stoją ciasno stłoczone statki. Największy z dotychczas zbudowanych w Szczecinie „Walka Młodych” ma wymalowane białą farbą „3 000 000 ton”. Tyle ton nośności mają wszystkie zwodowane na szarozieloną Odrę statki od Warskiego. Obok krzątanina na dwóch pierwszych zbudowanych przez Polaków statkach pasażerskich: promy „Pomerania” i „Silesia”. Ponad nich sięgają pokłady statku „J. Conrad Korzeniowski”. Będzie największym i najszybszym statkiem Polskich Linii Oceanicznych. Statek na skrzydłach: 25 węzłów, ponad pięćset kontenerów, chłodzone ładownie, zbiorniki ze stali kwasoodpornej do przewozu chemikaliów.

Do niedalekiej huty przywiózł rudę parowiec „Bielsko”. Jeden z trzech do dziś pracujących statków z pierwszej serii B-32. Ledwo wystaje ponad betonowy próg nabrzeża, statek, którego blachy połączone nitami.

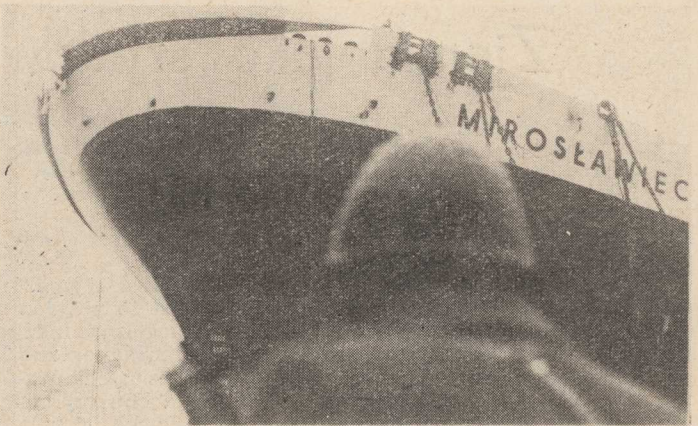
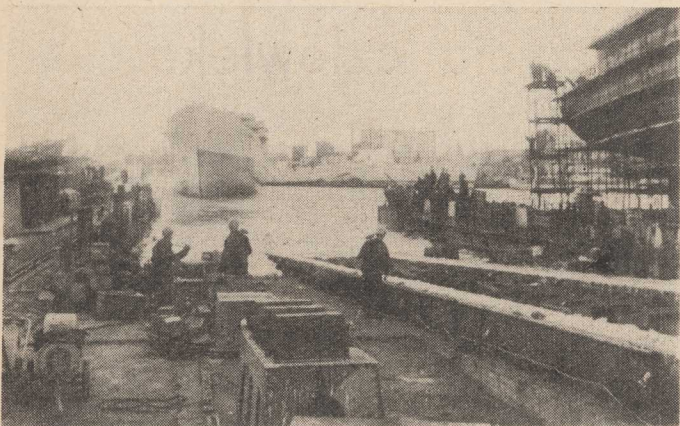
Na pochylni „Wulkan” stutonowe dźwigi unoszą ogromne sekcje nowych statków. Stąd poszła w świat słynna seria chemikaliowców.

W ośrodku obróbczo-prefabrykacyjnym pracowite maszyny realizują program zapisany na taśmach komputera.

Dzisiejsza stocznia przeobraża się w fabrykę do produkowania statków. Pół tysiąca fachowców tworzy własny ośrodek projektowo-konstrukcyjny. Setki stoczniovców ukończyły inżynierskie studia. Tysiące ma dyplomy techników.

*

Z dyrekcyjnego gabinetu wyniesiono portret Henryka. Będzie umieszczony w stoczniovców domu kultury. Jest symbolem tego, że za lepsze jutro ginęli nie tylko bohaterowie na bitewnych polach. Jest dowodem pamięci o tysiącach stoczniovców, którzy przez lata pracowali na mrozie i słońcu bez dachu nad głową, dla których nigdy nie było rzeczy niemożliwych. Imię Henryka jest symbolem stoczniovców oddania robotniczej sprawie, doskonalenia umiejętności, opanowywania coraz trudniejszej techniki, widzenia perspektywy kraju, zakładu i własnej.



MIĘDZY NATURĄ A KULTURĄ

(dokończenie ze str. 25)

wy. Dla pełnego obrazu struktury i funkcjonowania człowieka trzeba zintegrować i uogólnić ich wyniki, a procedura integracji nauk przyrodniczych, rozpoczęta faktycznie dopiero w bieżącym stuleciu, natrafia na trudności innego typu. Ale człowieka nie można zamknąć w wymiarze rzeczywistości określanym (dokładniej: w wymiarach określonych) w badaniach nauk przyrodniczych. Psychiki człowieka i jego świadomości refleksyjnej nie można zbadać bez nauk społecznych oraz zintegrowania wyników badawczych tych nauk z wynikami całej grupy nauk przyrodniczych. Główne zadanie psychologii sprowadza się zapewne do powiązania ze sobą tych dwóch grup nauk (sami psychologowie tracą czasem orientację w sprawie przynależności pewnych działań psychologii do jednej z dwóch wspomnianych grup nauk).

Nauki społeczne badają człowieka w innym wymiarze, niedostępnym badaniom przyrodniczym. Brak powiązania między nimi grozi podwójnym niebezpieczeństwem. Po pierwsze, niekończącym się sporem o kompetencje w przedstawieniu naukowej teorii człowieka. Niebezpieczeństwo to stało się już w nauce faktem w postaci roszczeń do wyłączności posiadania naukowych uprawnień do tłumaczenia wszystkich faktów związanych z człowiekiem. Faktem stał się wszak i „biologizm” charakterystyczny dla wielu biologów chociaż nie tylko biologów, i „fizykalizm”, i „psychologizm”, i „strukturalizm”, i „cybernetyzm”, a tu i tam przebiega także szereg innych „izmów”, wyprowadzonych z nazwy i treści jakiejś dyscypliny nauki. Nie wchodząc w szczegółowe ich charakterystyki, zwrócić uwagę na to, że „biologizm”, „fizykalizm”, „psychologizm”, itd., to stanowiska filozoficzno-metodologiczne wykraczające w swych interpretacjach człowieka poza treść twierdzeń i teorii odpowiednich nauk szczegółowych i roszczące sobie bez dostatecznych podstaw uprawnienia naukowo-teoretyczne. Są to zazwyczaj uroszczone uprawnienia do przeprowadzenia redukcji opisu wszelkich własności i prawidłowych zależności związanych z człowiekiem (pojętym bądź jako jednostką, jako społeczeństwo lub gatunek) do opisu przeprowadzonego w języku danej dyscypliny szczegółowej. Redukcji językowej towarzyszą naturalnie określone deformacje w wyjaśnianiu merytorycznym. Drugie niebezpieczeństwo sprowadza się do tendencji traktowania sposobów ujęć człowieka (jego wymiarów) charakterystycznych dla różnych dyscyplin jako odrębnych ontologicznych warstw, poziomów lub składników człowieka. Skrajnym przypadkiem takiej zmistyfikowanej składanki jest tradycyjny dualizm ciała i umysłu, prowadzący do różnych wersji supranaturalizmu. Wersję współczesną natomiast reprezentuje np. teoria „integronów” zaprezentowana przez F. Jacoba w książce „Historia i dziedziczność”. Teoria ta posiada szereg zalet metodologicznych, jest jednak wątpliwe, czy może pełnić funkcje uniwersalnej koncepcji człowieka.

Marks położył załedwie podwaliny nauk społecznych. W ciągu ostatnich stu lat rozwinęły się one znacznie, lecz całą przyszłość mają jeszcze przed sobą. One także nie są zintegrowane, powstają coraz to nowe szczegółowe dyscypliny społeczne, często jako samodzielne działy dyscyplin już rozwiniętych. Specjalizacja dokonuje się w procesie dezintegracji, a ponieważ jest niezbędna i nieuchronna, wymaga dodatkowych wysiłków integracyjnych. Funkcje takie spełniała zawsze i nadal spełnia filozofia naukowa, w dzisiejszej dobie głównie filozofia marksistowska; nie ma obecnie zintegrowanej wiedzy społecznej poza materializmem historycznym. Z kolei rozwój przyrodznawstwa, nauk społecznych i psychologicznych związany jest ze stosowaniem logiki, matematyki i językoznawstwa. Organizacja badań naukowych i sterowanie nimi dla potrzeb społecznych stwarza zapotrzebowanie na rozwój

metodologii badań naukowych, filozofii nauki i nauki o nauce. W rezultacie tych procesów sytuacja w nauce XX w. jest już zupełnie inna w porównaniu z wiekiem XIX. Supranaturalizm przestał funkcjonować w świadomości społecznej, jako adekwatna interpretacja człowieka, a tym samym dyskusja z tym stanowiskiem nie jest interesująca ani dla nauki, ani dla naukowej filozofii. Pozostał jednak naturalizm, który w tradycji filozoficznej pojawił się od dawna w postaci rozmaitych wersji niedialektycznego materializmu. Jako stanowisko filozoficzne nie interesował on ówczesnej nauki. Współczesne przyrodznawstwo teoretyczne jednak, zmierzając do sformułowania możliwie pełnej naukowej teorii człowieka, samo zwraca się ku filozofii, wchłania filozofię człowieka najbardziej płodnie, przesiąka jej ideami i samozwrotnie je modyfikuje. Nigdy dotąd uczeni dyscyplin przyrodniczych i technicznych nie publikowali tylu rozpraw, artykułów i książek filozoficznych, co w ostatnich dziesięcioleciach. Książki Jacoba, Piageta, Lorenza, Morina i wielu innych znane są czytelnikowi polskiemu z wydawnictw Biblioteki Myśli Współczesnej PIW-u, biblioteki „Omegi” i innych wydawnictw.

Można żywić nadzieje, że spotkania nauki z filozofią będą dla obu stron owocne. Już owocują. W ostatniej książce Lorenza „Odwrotna strona zwierciadła, próba historii naturalnej ludzkiego poznania” (PIW, 1977) autor, znany z obrony, w swych wcześniejszych pracach, stanowiska „biologizmu”, tj. poglądu o możliwości zinterpretowania zjawisk społeczno-kulturowych w języku nauk biologicznych i o niemożliwości dokonania zmian w mechanizmie instynktownego zachowania człowieka przez procesy społeczno-kulturalne, znacznie osłabił swe stanowisko i z gorliwością filozofa — neofity podjął rozważania klasycznej problematyki filozoficznej, głównie epistemologicznej (charakterystyczna jest w szczególności obrona realizmu i krytyka subiektywizmu immanentnego, przy próbach zachowania dla potrzeb teoretycznego przyrodznawstwa kantowskiego transcendentalizmu i aprioryzmu). Pozostali autorzy czerpią swe wątki filozoficzne z innych źródeł lub tworzą własne szerokie koncepcje, (np. koncepcja Teilharda de Chardin).

W każdym razie ani egzystencjalizm, ani personalizizm nie inspirowe biologów (może w przyszłości oddziaływać na psychologię?), a coraz większa liczba wątków teoretyczno-filozoficznych pozostanie w bezpośrednim związku z marksistowską teorią społeczeństwa i kultury społecznej.

Głównym problemem obecnej dyskusji w obrębie naukowych i filozoficznych dociekań nad człowiekiem są następujące pytania: jakie są losy ewolucji człowieka, gatunku *homo sapiens*? Czy została zakończona, czy trwa nadal? Czy *homo sapiens* jest już faktycznie *sapiens*? Czy dopiero nim się staje? Jak uwarunkowana jest przyszłość człowieka? Jaką rolę dla jego przyszłości odgrywa kultura, a jaką program genetyczny, ukształtowany w wyniku doboru naturalnego?

Wiele przemawia za tym, że ewolucja człowieka nie została zakończona, że trwa nadal, że człowiek gatunkowy nie jest jeszcze w pełni rozumny, że żyjemy w okresie ewolucji intelektu gatunkowego. A jeszcze więcej przemawia za poglądem, że w aktualnym przebiegu ewolucji jej siłą napędową stopniowo przestają być czynniki genetyczne i środowisko biologiczne, że motorem ewolucji stają się czynniki kulturowe (społeczno-polityczne), że kultura społeczna staje się coraz bardziej (już jest!) bezpośrednim ośrodkiem życia człowieka, nie mniej dla niego niezbędnym niż Słońce i tlen. Uargumentowanie tak zarysowanej perspektywy wymaga już jednak osobnego wywodu i osobnej porcji uwagi czytelnika.

Ziemia jako środowisko życia człowieka

(dokończenie ze str. 27)

dawna istnieje świadomość niebezpiecznego zbliżenia się ludzkości do punktu, w którym krzywa wzrostu populacji załamuje się gwałtownie w sposób obiektywny. Ludzkość jako gatunek rozmnaża się jednak zupełnie tak, jak populacja myszy, czy lemingów, która nie ma świadomości swego losu.

Co można zrobić dla uratowania sytuacji? Dwa czynniki powodują szkodliwe zmiany w środowisku. Jest to przyrost liczebny populacji ludzkiej i rozwój technologiczny ludzkości. Dla poprawy sytuacji środowiskowej można ograniczyć jeden lub drugi element. Wielu jednak uczonych uważa, że aktualna sytuacja wymaga ograniczenia obu czynników. Przeciętny Amerykanin „używa” środowisko 50 razy

szybciej niż przeciętny Hindus i to właśnie na skutek różnego poziomu technologii. W krajach wysoko rozwiniętych produkuje się cały szereg przedmiotów bezużytecznych a inne wycofuje się z eksploatacji przed ich faktycznym zużyciem, tylko na skutek mody. Powoduje to oczywiście zużycie zasobów i zanieczyszczenie środowiska ponad istotną potrzebę. Technologia, która wyzwoliła człowieka spod bezpośredniej zależności od natury, kępuje go obecnie nadmierną łatwością eksploatacji środowiska. W tym sensie można i trzeba ją ograniczyć.

Czy zahamowanie eksplozji demograficznej i ograniczenie wybujałej technologii jest możliwe przy politycznym podziale ludzkości, przekonamy się jeszcze za naszego życia.

Z deszczowego lata: 77

Lipienie lipca lekko powodzią
siewały na urodzajny ubytek lata
w mdle nad Odrą coraz deszcze.

Od południa nużyła niżem północ
moszcząc kamyki wilgoci
w szczuplenie bioder kalendarza.

Oto dłażego sierpień
sierpy upałów
tepi na grzybobraniu w lasach
piaszczystych na szklane igielki
zieleni niżących
stukot bursztynu
o bursztyn
i brzeg.

O lata tego roku
ryby nie rozmienia
na wysokie wedy słońca.

Powodzi im się bardziej
w powodzi rzeki Regi
gdyż powietrza rzeszoto
miełe sypki mak ulewy.

A w poecie susza że suszyć
grzyby gdyby borowiki grubiały
z atramentu.

Więc na polach bywa szarej przeniicy
wyobraźni i przelicza chęci w obfite żniwa.

Autorka wiersza „Z deszczowego lata: 77” zdradza niewątpliwie pewną kulturę literacką. Wie np. że język obok zadań głównych: symbolizowania świata zewnętrznego w stosunku do wypowiedzi, sam może stać się jej bohaterem — informować o swej urodzie. Konsekwentnie stosuje więc instrumentację głoskową. Okazuje się, że te zabiegi językowe nie zawsze posiadają istotną wartość znaczeniową — czyli nie zmierzają do tzw. metafor dźwiękowych. Odnosi się wrażenie, że zostały one w wierszu użyte jedynie po to, by było bardziej poetycko, odświętnie. Przykład pierwszy: „Lipienie lipca lekko powodzią”. Pogoń za efektem muzycznym zaprowadziła Poetkę w banał semantyczny. „Lipień” to ryba — jak leszcz czy szczupak — zawsze więc dotyczy go cecha lepkości bądź wilgotności, bez konieczności deszczowego lata i powodzi. Czasem jednak muzyczność wiersza zyskuje głębsze uzasadnienie: „nużyła niżem (...) moszcząc kamyki w szczuplenie bioder kalendarza”. Nagromadzenie spółgłosek szumiących: „sz”, „cz” — niewątpliwie imituje tu szum deszczu. Całość psuje jednak metafora właściwa: „biodra kalendarza”. Trudno o bardziej dowolne skojarzenie! W innym miejscu zdarza się Autorce pewna niekonsekwencja. Znów — jak się wydaje — zdeteminowana pogonią za konceptem językowym: „O, lata tego ryby nie rozmienia (na wysokie wedy słońca). Powodzi im się bardziej w powodzi rzeki Regi”. Dlaczegoż to „ryby” miałyby „rozmieniać lato na wedy” — chociażby tylko słoneczne, trudno dociec. Tym bardziej, że homo-

nim „powodzi” — jak Autorka sama zauważa, w rybim świecie zmierza do swoistego synonimu (nadmierny przybór wód to jednocześnie dla nich dobry los)...

Zdecydowanie zaś rażą w „Deszczowym lecie” dziwolągi językowe typu: „na polach bywa szarej pszenicy) wyobraźni i przelicza chęci w obfite żniwa”? Napisać zgodnie z prawidłami języka polskiego: „na polach bywa szarej pszenicy wyobraźnia” — to prawie tyle, co przyznać się, że niewiele ma się o owym deszczowym lecie do powiedzenia. To jednak chce Autorka za wszelką cenę ukryć. Ale tak postępując, trudno się będzie doczekać żniwa: „borowików z atramentu...”

TADEUSZ BRZOSOWSKI

ANALIZY

Płyną statki

Do nabrzeży wielu krajów/ nasze statki do-
ga hen do gwiazd/ płyną statki peżetemu
w dzień i w noc/ nie ma większych port-
tów świata/ w których choćby raz nie
wzłatał/ biały orzeł/ tam gdzie maszt się-
ga hen do gwiazd/ płyną statki peżetemu
płyną statki peelo!/ kursem jutra wciąż
do celu/ wciąż naprzeciw nowym dniom/
nazwy polskich miast/ regionów, gamą
barw na kurtach lśnią/ sławia kraj nasz
przyjaciele/ odwiedzając portów sto/.

Z ojców rąk/ powstałe skarby/ płyną pro-
sto/ z nowych fabryk/ a wraz z nimi/ ply-
nie w świat/ „maluch” —/ polski fiat/ w
dal odpłyną/ by z powrotem/ przywieźć
rudę/ przywieźć ropę/ i bawełnę/ tony
fig.../ wróca/ do nas w mig/.

Płyną statki PŻM-u/ płyną statki PLO/
kursem jutra, wciąż do celu/ wciąż na-
przeciw nowym dniom/ nazwy polskich
miast, regionów/ gamą barw na burtach
lśnią/ sławia kraj nasz, przyjacielu/ odwie-
dzając portów sto/

Czy teksty piosenek to także poezja? Bywa i tak. Wiadomo jednak, że tzw. uznani poeci do muzycznego opracowania przekazywali swe bardziej łatwe, przejrzyste dla znaczenia utwory. Na ogół musiały być to także wiersze o klarownej strukturze rytmicznej, już podczas głównego czytania „wpadające w ucho”. Cóż jednak oznacza „przejrzystość” czy „łatwość” w odniesieniu do poezji? Najczęściej nawiązania do znanych i uznanych wcześniej sposobów kształtowania mowy poetyckiej. Wszystko, co nowe, jest nieznanne, wymagające wysiłku interpretacyjnego i odwrotnie. Na tej zasadzie funkcjonują też teksty piosenek. Znajdziemy w nich wiele nieprymarnych dla poezji współczesnej elementów: regularny rytm, rymy, popularne poetyzmy — często całe zwroty frazeologiczne, tradycyjnie używane w poetyckich kontekstach.

Tę ogólną zasadę potwierdza też tekst „Płynących statków”. Utwór ten mający w przybliżeniu postać peanu na cześć naszej floty handlowej, mimo naturalnego uwspółcześnienia realiów (maluch — polski fiat, ropa, PLO, PŻM itp) — zawiera także wszystkie te elementy, które ten gatunek cechowały od jego twórców, starożytnych Greków, aż po „Ode do młodości” A. Mickiewicza. Łatwo także zauważyć, że w rytmie językowym tego tekstu zachowała się tamta, różna od naszej, świadomość społeczna, w ramach której wierzyło się w cudowne wydarzenia, ludzi — półbogów itp. Wszystko zaś, co ich otaczało, musiało być wielkie (jak góry np.), piękne i kolorowe. W „Płynących statkach” mamy: „Nie ma większych portów świata (w których choćby raz nie wzłatał) (biały orzeł (tam gdzie maszt sięga aż do gwiazd)”. Któż dzisiaj, w epoce lotów kosmicznych, uwierzy w tak hiperbolizującą metaforę? Okazuje się, że w piosence to tylko pozorne nadużycie. Na ogół łatwo, można by powiedzieć „śpiwnie”, przechodzimy nad tym do porządku dziennego.

Oczywiście, trudno aż tak generalizować, uważam jednak, że wszelkie odstępstwa od tej normy, są już odejściem w kierunku poezji wysokiej.

O „Płynących statkach” powiedzieć więc można tyle: łatwo mieszczą się we wzorze. Pytanie tylko czy nie zanadto łatwo? Czy tym samym nie przyczyniają się do zafalszowania naszego obrazu świata? Pytania te stawiam pod rozwagę Autora i czytelników. A może po prostu je zaśpiewać i nie łamać sobie głowy? Tak, bo omawianie słów piosenki bez muzyki, musi być zawsze zabiegiem nieco sztucznym.

SYSTEM ZINTEGROWANEJ NAWIGACJI

W ciągu ostatnich 20 lat intensywność ruchu w portach europejskich wzrosła 2 do 10-krotnie. W okresach szczytu przez tor wodny w pobliżu japońskiego portu morskiego Akashi przepływa co 45 sekund statek. Na uczęszczanych kanałach morskich intensywność ruchu osiąga maksymalne nasycenie poddyktowane względami bezpieczeństwa i technicznym stanem kanału.

Konieczność zdyscyplinowanego ruchu w strumieniu statków, podporządkowywania się prawom rządzącym takim ruchem, wymaga pełnej świadomości możliwości i reakcji własnego statku oraz statków sąsiednich.

W tej sytuacji sztuka manewrowania statkiem jest praktyczną wykładnią precyzyjnych operacji kierowania statkiem, wykonanych w oparciu o zasady fizyki, kinematyki i dynamiki. A więc nie fantazja, swoboda działania, ale analiza i synteza zjawisk mechaniki ruchu, precyzja i dyscyplina, wyobraźnia i pomysłowość muszą być treścią „sztuki” manewrowania współczesnym statkiem morskim.

Obecnie kierowanie ruchem nie tylko dużego tankowca czy chemikaliowca, stawia zwiększone wymagania wobec moralno-zawodowych, sensorycznych oraz intelektualnych cech oficera, przytłoczonego ciężarem olbrzymiej odpowiedzialności za monstrualne szkody, które mogą powstać w wyniku rozlania ładunku do morza. Z własnego doświadczenia wiem, że nie jest to odpowiedzialność, do której można się przyzwyczaić.

Pomimo wyposażenia stanowisk kierowania statkiem (mostków nawigacyjnych) w kilkadziesiąt różnorodnych przyrządów do kierowania i kontroli ruchu, łączności, sygnalizacji, obserwacji ruchu innych obiektów, określania pozycji itp. praca na mostku nawigacyjnym często przebiega w sytuacjach stressowych, braku czasu i dostatecznej informacji. W takich warunkach oficer nie zawsze jest w stanie ograńić szybko zmieniającą się sytuację oraz reagować poprawnie i bezzwłocznie na działanie wszystkich źródeł informacji. Wiadomo też, że możliwości człowieka w zakresie odbioru i przetwarzania informacji są ograniczone. Dlatego powszechnie wprowadzane są na dużych statkach pomocnicze systemy elektroniczne oraz coraz częściej elektroniczne maszyny umożliwiające szybką obróbkę informacji i symulację skutków planowanych manewrów.

-W polskiej flocie handlowej pracują aktualnie cztery komputery pokładowe wchodzące w skład tzw. systemu zintegrowanej nawigacji. Komputery takie dają możliwość pełnego i szybkiego wykorzystania informacji różnych systemów i urządzeń nawigacyjnych (w tym i systemów antykolizyjnych) oraz możliwość rozszerzenia źródeł informacji.

Kompleksowa automatyzacja prowadzenia statku ze względu na dużą ilość i różnorodność informacji podlegających szybkiemu dokładnemu i niezawodnemu opracowaniu staje się w pewnych sytuacjach koniecznością i jest możliwa dzięki adaptacji podobnych systemów stosowanych dla celów militarnych oraz dla potrzeb lotnictwa i astronautyki. Należy jednak podkreślić, że systemy zintegrowanej nawigacji nie są przynajmniej na obecnym etapie radykalnym rozwiązaniem wszystkich problemów nawigacji i bezpieczeństwa żeglugi. Jest też pewien niepokojący objaw wprowadzanej masowo automatyzacji na statki morskie — sprowadzającej działalność człowieka do poziomu elementarnych czynności regulacyjnych, eliminującej pierwiastki działalności twórczej.

Stawka na absolutyzację techniki jest też często próbą zrekompensowania niskiego poziomu moralnego i zawodowego załóg, co można zauważyć na statkach tzw. „tanich bander”.

Odrzucając ten sceptyczny i obcy nam stosunek do człowieka, będącego twórcą i władcą techniki, nie można nie dostrzeżać istotnych przemian, jakie zaszły w dziedzinie relacji i związków łączących współczesnego oficera nawigacyjnego z kierowanym przez niego statkiem. Systemy zintegrowanej nawigacji i automatyzacji prowadzenia statku nie wyeliminują potrzeby dobrze przygotowanych oficerów, lecz przeciwnie — wymagania w tym zakresie rosną.

morze i ziemia

● Olbrzymią popularnością widzów cieszy się sceniczna adaptacja „Pana Tadeusza” w Teatrze Polskim. Autorem scenariusza jest J. Adamski, reżyserem J. Bukowski, w rolach głównych występują m. in. A. Lenartowicz, A. Oryl, J. Kownas, J. Bukowski, J. Opolski.

Na scenie Teatru Polskiego po „Przedwiośniu” St. Zeromskiego jest to już druga adaptacja wielkiej literatury narodowej. Oba dzieła, tak mocno wpisane w kulturę polską, sprzyjają pogłębianiu refleksji historyzoficznej.



● Spośród piętnastu książek pisarzy szczecińskich, jakie się ostatnio ukazały na rynku czytelniczym, najbardziej zauważalną był „Homunculus z tryptyku” B. Wuttke. Autobiograficzna opowieść mieszkanki Międzyzdrojów, która stojąc przed problemem określenia tożsamości narodowej wybrała polską, zyskała sobie opinię jednego z ciekawszych debiutów w literaturze powojennej.

Maszynopis został nagrodzony w 1975 r. w szczecińskim konkursie, autorka po jego opublikowaniu otrzymała dołączoną nagrodę „Spojrzeń”.

● Zakończono odbudowę ostatniego skrzydła Zamku Książąt Pomorskich w Szczecinie. W południowej części otrzymała swą siedzibę Państwowy Teatr Muzyczny. Zamkowe pomieszczenia zostały zmodernizowane, przystosowane do potrzeb nowego użytkownika.

Symbolicznego otwarcia teatru dokonał wojewoda szczeciński J. Kuczyński. Staropolski „Kulig” wg L. Schillera, barwne widowisko muzyczne, otwierał nową kartę w historii Teatru z ulicy Potulickiej pod dyrekcją T. Bursztynowicza.

● W tegorocznym konkursie plastycznym o nagrodę Konika Morskiego 78 jury pod przewodnictwem L. Orłowa z Warszawy, po zapoznaniu się z 59



KRONIKA

pracami malarskimi, 25 grafikami, 19 pracami rzeźbiarskimi, w dziale malarstwa pierwszą nagrodę przyznało Barbarze Warzeńskiej ze Szczecina, drugą Józefowi Czerniawskiemu z Sopotu, trzecią Krystynie Chojnackiej z Gdańska; w dziale grafiki pierwszą nagrodę otrzymał Wiesław Demski z Sopotu, drugą Cezary Paszkowski z Gdańska, trzecią Franciszek Czernous z Gdyni. W kategorii prac rzeźbiarskich wszystkie nagrody otrzymali szczecinianie: pierwszą Stanisław Biżek, drugą Sławomir Lewiński, trzecią Jakub Lewiński.

● W tym roku za wybitne osiągnięcia w dziedzinie nauki i kultury wojewoda szczeciński, Jerzy Kuczyński, przyznał nagrody następującym osobom i zespołom: A. Ajsowi — kierownikowi GOK w Czarnogłowach, R. Dżamanowi — pisarzowi, M. Gruszczyńskiemu — aktorowi Państwowego Teatru Współczesnego, Z. Jachimczyk — bibliotekarce z Gołańczy Pomorskiej, M. Kaczanowskiemu — redaktorowi „Wiadomości Zachodnich”, D. Kaczorowski — aktorce Państwowego Teatru Lalek „Pleciuga”, Ł. Niewisiewiczowi — plastykowi, J. Oczkowskiej-Najdowej — kustoszowi Działu Sztuki Współczesnej Muzeum Narodowego w Szczecinie, J. Pachlowskiemu — pisarzowi, R. Trzebiatowskiemu — pracow-

nikowi naukowemu Akademii Rolniczej oraz Domowi Kultury „Hetman”, Ośrodkowi Badań i Kontroli Środowiska, Wojewódzkiemu Archiwum Państwowemu w Szczecinie.

● W Auditorium Maximum Akademii Rolniczej w Szczecinie obradowali uczestnicy III Międzynarodowej Konferencji Archeozoologicznej. Projektor nad konferencją objął komitet honorowy pod przewodnictwem prof. dr hab. inż. W. Kujawskiego, podsekretarza stanu w Ministerstwie Nauki, Szkolnictwa Wyższego i Techniki.

Ponad stu specjalistów z 26 krajów Europy, Azji, Ameryki i Afryki skupiło uwagę na wynikach badań kształtowania form i ras zwierzęcych w okresie od neolitu do średniowiecza.

● Redakcja „Spojrzeń” wystąpiła z inicjatywą organizowania w Klubie „13 Muz” spotkań warsztatowych twórców środowiska szczecińskiego pn. „Warsztaty Muz”. Uczestnicy spotkań nie tylko informują zebranych słuchaczy w sali kominkowej o swej pracy, ale także próbują na nią spojrzeć w kontekście innych dyscyplin sztuki. W pierwszym spotkaniu udział wzięli: Aleksander Bogdan — artysta plastyk, Mirosław Gruszczyński — aktor, Ryszard Kwiatkowski — kompozytor, Stanisław Wit Wiliński — literat. W drugim spotkaniu uczestniczyli: Irmína Babińska — aktorka, Marian Kowalski — literat, Guido Reck — artysta malarz, Jan Szyrocki — muzyk. Impreza spotkała się z dużym zainteresowaniem szczecinian.

Nie mam takich dużych kolan

(dokończenie ze str. 21)

— Tak. „Kochana Basiu i wszystkie moje dzieci. Na pierwszym wstępie mego listu pozdrawiam was mile i serdecznie i całuję z całego serca ze łzami w oczach. Basiu napisz czy jest wam dobrze czy nie tęsknicie za domem i za nami, bo na przykład ja, wasza matka to bardzo tęsknię i serce mnie boli i często łzy wylewam za wami. Bo przez was to samo co po grobie. Basiu! Będę się starała ciebie zabrać do siebie. Wszystkich lubię jednakowo ale wszystkich zabrać nie mogę. Na tym kończę ten list i całuję was z całego serca. Nigdy was nie zapomnę chociaż bym umarła a was zawsze wspomnę”.

— Bo to wszystko przez tatusia, proszę pana. Jak by się nie awanturował to by mamusia nie wyjechała od nas nad morze i by było tak jak przedtem...

— Jestem ich opiekunem sądowym a poza tym wychowawcą w Domu Dziecka.

— Dużo ma pan takich podopiecznych?

— Jednego chłopca i te trzy dziewczynki. I dwójka własnych. Jednak nasuwają się tu pewne myśli, dlaczego te dzieci nie okazują tyle serca w stosunku do nas opiekunów, wychowawców ile byśmy chcieli. I to jest chyba to co nazywają fachowcy „chorobą sierocą”. Uczuć rodzinnych nie nabywa się w Domu Dziecka.

— Ale te dziewczęta bardzo głęboko przeżywają rozstanie z rodzicami, dziadkami, z wioską...

— Tak, ale one są tu krótko. Po jakimś czasie, po okresie nawet półrocznym te uczucia rodzinne będą zanikać. I siostra na przykład nie powie do siostry po imieniu ale po nazwisku, „taka i taka mnie bije”, albo „ona mi zabrała książkę”. Nie rozumiem. Dlaczego tak szybko te uczucia giną? Dla nas wychowawców to najtrudniejszy problem.

Pod datą 23 grudnia 1977 roku zanotowałem: rozmowa z kuratorem Sądu Rejonowego Wydziału dla Nieletnich.

— Jeśli chodzi o tę rodzinę, to nie jest pierwszy przypadek — powiedziała mi młoda kobieta pełniąca funkcję kuratora. — Może akurat pan po raz pierwszy zetknął się z takim problemem ale mamy ich znacznie, znacznie więcej.

— Zadają sobie wciąż pytanie: dlaczego tak się dzieje, właśnie w środowisku wiejskim?

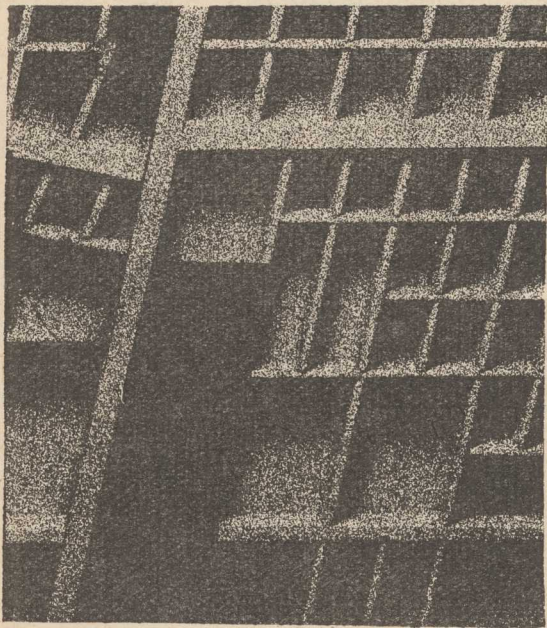
— To co się na wsi kiedyś nie zdarzało — teraz tak. Kobiety piją i to jak, piją... Tu mam drugi taki przypadek, nawet w sąsiedniej wsi. Umieściliśmy w Domu Dziecka trójkę, bo ani warunków do nauki w domu ani nawet do życia. Brutalne jest to co powiem ale... Umieszczamy jedne dzieci, następnie już się w tej rodzinie rodzą i to jest błędne koło.

Pod datą 24 grudnia 1977 roku zanotowałem: „Odwiedziny w Państwowym Domu Dziecka w Stargardzie. Spotkanie z Basią, Bożenką i Jasią. Rozmowa z dyrektorem Domu Dziecka.”

— Nie sposób wziąć na kolana wszystkie dzieci na przykład z grupy przedszkolnej. Nie mam tak dużych kolan a wszystkim muszę powiedzieć: Tak, dzwoniłem do twojej mamy, tak twoja mama przyjedzie, na pewno przyjedzie. Czekają! Czekają na telefony, listy, na odwiedziny, na najmniejszy gest ze strony tych rodziców. Czekają długo, rok, dwa, pięć, dziesięć... Rysują kartki „Dla mojej Mamy”, „Dla mojego Taty” — wysyłają. Nie dojdą nigdy bo nie znamy najczęściej adresów tych rodziców. Nie wiemy gdzie są. Nikt się o te dzieci nie pyta.

Tylko pięć procent wychowanków Państwowego Domu Dziecka w Stargardzie to sieroty. Dziewięćdziesiąt pięć procent posiada, albo inaczej, posiadało rodziców. W tym reportażu była mowa o tej naprawdę ciemnej stronie życia społeczeństwa. Jest to tylko fragment tego społeczeństwa — ale jest! Ale jest!

W. KACZMAREK



MISCELLANEA

OGÓLNOPOLSKI KONKURS LITERACKI IM. JANA PAPUGI

Związek Literatów Polskich w Szczecinie, Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, Szczecińskie Towarzystwo Kultury, Morski Ośrodek Kultury, Wojewódzka Rada Związków Zawodowych, Wydawnictwo Poznańskie

ogłaszają stały, odbywający się co dwa lata

OGÓLNOPOLSKI, OTWARTY KONKURS LITERACKI IM. JANA PAPUGI

na małe formy prozatorskie: nowela, opowiadanie, cykl małej prozy, miniatury o szeroko pojętej tematyce i problematyce współczesnej.

Utwory przysyłane na konkurs nie powinny przekraczać 10 stron maszynopisu. Organizatorzy przewidują następujące nagrody:

Pierwsza nagroda	— 15 tys. zł
Dwie drugie po	— 10 tys. zł
Trzy trzecie po	— 7 tys. zł
10 wyróżnień po	— 5 tys. zł

Zastrzega się prawo innego podziału nagród w ramach przyjętej kwoty. Skład jury, który jest kompletowany spośród czołowych krytyków literackich, będzie podany w terminie późniejszym. Maszynopisy utworów w trzech egzemplarzach, opatrzone godłem, należy nadsyłać do 31.XII.1978 r. na adres: **Związek Literatów Polskich Oddział w Szczecinie, 71-317 Szczecin, ul. Łukasiewicza 8** z dopiskiem: „Konkurs literacki im. Jana Papugi”. Do pracy konkursowej należy dołączyć zalakowaną kopertę z uwidocznionym na niej godłem — zawierającą imię, nazwisko i adres autora. Utwór konkursowy nie może być nigdzie dotąd publikowany w całości lub we fragmentach. Każdy autor ma prawo nadsyłania dowolnej ilości prac. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w ciągu trzech miesięcy od daty jego zamknięcia. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo pierwszeństwa druku prac nagrodzonych i wyróżnionych.

„GŁOS SZCZECIŃSKI” ogłasza konkurs na reportaż pod hasłem: „MORZE I ZIEMIA”

Organizatorzy nie ograniczają ani objętości reportaży, ani nie określają ściśle kręgu tematycznego. Ze szczególnym zainteresowaniem oczekują prac ukazujących dzisiejsze przeobrażenia w życiu szczecinian, dzieła ich rąk i umysłów, ich problemy i ambicje, związane z ponadregionalnymi, geopolitycznymi, turystycznymi funkcjami Szczecina. Reportaże powinny ukazywać życie tutejszych ludzi w pełnym obrazie naszej polskiej współczesności. Konkurs ma charakter otwarty i zamknięty. Jury przyzna następujące nagrody:

- I — 15.000 złotych
- oraz pięć nagród po 6.000 zł

Termin nadsyłania prac upływa 15 listopada 1978 r.

Uczestnicy proszeni są o nadsyłanie tekstów podpisanych godłem w trzech egzemplarzach na adres redakcji „Głosu Szczecińskiego”, 70-550 Szczecin, pl. Hołdu Pruskiego 8, z dopiskiem „Konkurs Morze i Ziemia”. Do przesyłki należy dołączyć zaklejoną kopertę zawierającą: imię, nazwisko i adres autora. „Głos Szczeciński” zastrzega sobie pierwszeństwo druku prac oraz przewiduje wydanie zbioru reportaży — plonu konkursu, nakładem Krajowej Agencji Wydawniczej.

CO Z PŁONAMI KONKURSÓW?

Morski Ośrodek Kultury w Szczecinie od wielu lat jest organizatorem konkursów między innymi i literackich. Niektóre nagradzane prace były publikowane w prasie codziennej, na antenie Polskiego Radia, można więc mieć pewne wyobrażenie o ich poziomie artystycznym, o wartościach po-

zawczych. Ubolewać należy, że organizatorzy napotykają na przeszkody w próbach ich wydania w publikacji zawartej. A kto wie czy ta pozycja, gdyby się ukazała, nie byłaby równie cennym dziełem jak pamiątki pionierów na Pomorzu Zachodnim?

APEL DO SZKÓŁ

Od kilku lat młodzież ostatnich klas pisze prace dyplomowe. Wielu podejmuje tematy z zakresu piśmiennictwa na Pomorzu Zachodnim. Zbierane materiały, wywiady mogą stanowić cenne źródło informacji o rozwoju środowiska literackiego na Pomorzu Zachodnim i kto wie czy nie powinny znaleźć się w bibliotece ZO ZLP. Dlatego zwracamy się z gorącą prośbą do Autorów prac dyplomowych, którzy pisali na tematy literatury, czapopiśmiennictwa o udostępnienie odpisów swych prac. Prace prosimy kierować na adres: **Dom Pracy Twórczej ul. Łukasiewicza 8, Szczecin.**

W TROSCE O SPUŚCIZNĘ

Z prawdziwą satysfakcją człowieka rozkochanego w regionie i z uwagą śledzącego wszystkie cenne inicjatywy wzbogacające życie duchowe na Pomorzu Zachodnim przyjąłem w ubiegłym roku wiadomość o otwarciu w Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. St. Staszica sali im. Stefana Flukowskiego. To bardzo dobrze, że pamiątki po poecie, członku grupy „Kwadryga”, jeńca obozu w Woldenbergu (Dobiegniew) znalazły się w Szczecinie. W ten sposób tworzy się kulturalne tradycje tak niezbędne do normalnej egzystencji miasta. Myślę, że wcześniej czy później WiMBP w Szczecinie przyjmie do zakresu swych obowiązków te zadania, jakie na przykład ma w Warszawie Muzeum im. Adama Mickiewicza. A pora ku temu jest już chyba odpowiednia, jeśli nie chce się dopuścić do zatarcia śladów po pionierach kultury na Pomorzu Zachodnim. Uważam, że najwyższy już czas, aby kompetentni pracownicy zajęli się:

1. spuścizną twórczości i pamiątkami po Fr. Gilu, J. Papudze, E. Rajzmanie, N. Rydzewskiej. Z wielką przykrością z prasy pozaszczecińskiej dowiedziałem się, że np. spora część publicystycznych materiałów Fr. Gila, która dotąd nie była udostępniona czytelnikom, znajduje się w niewłaściwych rękach.

2. zebraniem materiałów anegdotycznych o plastykach, aktorach, pisarzach pierwszych lat po wojnie. Niejednokrotnie materiał ten wzbogacałby wiedzę o minionym okresie, ubarwiał życiorysy ludzi w nim działających;

Piszę o tym dlatego, że w Szczecinie problem ten oficjalnie został już wywołany, niestety osobiście nie widzę jego realizacji.

jm

pm



